GAWĘDY I POWIEŚCI.

GAWĘDY

I POWIEŚCI

Seweryny z Żochowskich

PRUSZAK.

TOM I.

WARSZAWA

NAKŁADEM G. SENNEWALDA, KSIĘGARZA.

1854.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 21 Sierpnia (2 Września) 1853 roku.

Cenzor, *F. Sobieszczański.*

W Drukarni *J. Unger.*

I.

PODRÓŻ RZEMIENNYM DYSZLEM.

GAWĘDA CIOTUNI.

PODRÓŻ RZEMIENNYM DYSZLEM.

GAWĘDA CIOTUNI.

Chwalcie tam sobie jak chcecie tę waszą kolej żelazną, a ja wam powiadam, że to wymysł szatański, mówiła zażywając tabaczkę z srebrnéj tabakierki podeszła pani Wojska, wdowa od lat kilku, po zacnym i szanowanym powszechnie obywatelu.

— Ależ droga ciotuniu, nie uprzedzaj się zbytecznie, zastanów się tylko, ile ztąd wypływa korzyści: ludzie zbliżają się mimo woli do siebie, ztąd wzajemna miłość, braterstwo!

— Miłość, braterstwo, odparła wstrząsając głową pani Wojska—piękne to słowa za prawdę, ale

dziś czcze i puste, jakoby kłos bujny a bez ziarna. Smiaćby mi się szczerze chciało, gdyby tu raczéj nie było nad czém zapłakać. A któż dziś nie kocha siebie najlepiéj, a drugich o tyle tylko, o ile mu są potrzebni?

— Podobno to tak zawsze bywało ciotuniu, a ci którzy inaczéj postępowali, wyjątkami byli tylko. Ale wszakże i dziś nie brak nam podobnych wyjątków, a gdybyśmy chcieli sumiennie obliczyć, liczba ich okazałaby się może większą niż dawniéj.

— Gadasz sam nie wiész co, mój kochany, rozum dzisiejszy niemiecki zajechał ci w głowę, a wszystko co dawne, nie ma u ciebie waloru. Nowe sitko na kołek a stare pod ławę, dobreć to przysłowie. Gdyby z grobu powstali pradziadowie twoi, umarliby powtórnie z żalu i zgryzoty, że tak poniewierasz przeszłością.

— Szanuję ja przeszłość, Bóg mi świadkiem, czuję i wielbię całą poezyę, jaką w sobie mieści, ale obok tego widzę, o ile świat dąży naprzód.

— Radabym tylko wiedzieć, jak daleko zajedziecie z waszym postępem.

— Jusciż przyznaj ciotuniu, że kto jedzie koleją, daléj się posuwa od tego, co się wybiera w drogę

obładowanym wozem, po błotnistéj drodze: wiek nasz pędzi koleją, przeszły wlókł się na kołach.

— Tak, ale jak kółko u machiny pęknie, to długo trzeba stać w miejscu i czekać.

— Ależ to jak się naprawi, to jedna chwila nagrodzi czas stracony.

Pani Wojska zamiast odpowiedzi, zażyła tabaczki, skinęła tylko głową z powątpiewaniem, i białemi, pulchnemi jeszcze paluszkami otrząsła z piersi pozostały proszek.

— Alboż i co do czasu,—ciągnął daléj Karol, ileż go się to dawniéj bezużytecznie straciło. My naprzykład do Wólki, potrzebowaliśmy przynajmniéj trzy dni jechać, gdy tymczasem dziś, wyjechawszy rano z Warszawy, staniemy na południe.

— Czas o tyle ma ceny, o ile go człowiek pożytecznie użyć umié, odparła ciotka, rada, że znalazła przekonywający argument na zbicie upartego bratanka,—a i cóż waszmości z tego przyjdzie, że sobie oszczędzisz dwa dni czasu, chyba to, że uszczujesz chartami z parę zajęcy, albo téż, że ziewając pod piecem, wypalisz z tuzin cygar. Myślałby kto, że zamierza budować wieżę Babel, tak mu idzie o to, żeby dwóch dni nie zmarnował.—I rozśmiała się staro-

wina złośliwie, pokazując dwa ostatnie na przodzie zęby.

Karol tymczasem wypuścił z ust tuman dymu, nie mając snać co odpowiedzieć.

— A miłeż to były te noclegi ciotuniu? rzekł wreszcie, zwłaszcza zimą po żydowskich karczmach, zimno, dymno, brudno, aż dreszcz przejmuje pomyśléć.

— Oj! boście téż strasznie waszmoście podelikatnieli; dawniéj lada baba miała więcéj energii i wytrwałości niż dzisiejsi panicze, nie przymierzając, jak i wasze, panie Karolu.

Karol skrzywił się nieco, starowina rozśmiała się i zażyła tabaczki.

— A potém, myśli wasze, dodała, że to się tylko po karczmach nocowało? co nie, to nie; dawniéj mości panie, szanowano parentele, a wszyscy niemal w powiecie byli z sobą zkoligowani; coby to było, żeby komu przejechać pod nosem a nie wstąpić, ba! czasem się i dwie i trzy mile składało na bok z drogi, i to się nazywało jeździć rzemiennym dyszlem.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę, odparł Karol, wycierać przez kilka dni cudze kąty, to mi dopiero przyjemność.

— Nie zazdrościsz! odparła ciotka skłaniając smutną głowę. Aj! źle mój kochany, bardzo źle, a byłoby czego pozazdrościć! Ależ wasze żal się Boże i mówić o tém jak dawniéj bywało, wy tego nawet i pojąć nie potraficie. Chcąc wiele rzeczy zrozumiéć, nie dosyć miéć rozum, trzeba miéć i serce, a u was serce przewędrowało do głowy, wszystko obliczacie samolubnie i porównywacie co wam więcéj przynosi korzyści. Jużciż ja sama wiem, że wygodniéj wyspać się na swojém łóżku, aniżeli w gościnie, gdzie wiązka słomy lub siana, nieraz zastępowała materac i poduszkę; ale gdy cię przyjęto z otwartém objęciem, gospodarstwo wyszło oboje przed sień na twoje przybycie z rozradowaną twarzą; gdyś w poufnéj gawędce wygadał wszystko co ci ciężyło na duszy, toś i o wszystkiém zapomniał, a tylko Pana Boga chwalił za to, że stworzył zacnych i poczciwych ludzi. Oj pamiętam ja dobrze, jak my to raz rzemiennym dyszlem jechały z Warszawy z nieboszczką ciotką, Panie daj jéj niebo, podkomorzyną Widawską: to mi to była uciecha; ale co tam waści o tém gadać, — to tak, jakby groch na ścianę rzucał, ty tego nawet i nie rozumiész.

— O już zrozumię, zrozumię, ciotuniu jedyna, tylko powiedz mi, jakże to było, rzekł Karol biorąc niuch tabaki z ciotczynéj tabakierki, gdyż to był najpewniejszy sposób wprowadzenia jéj w dobry humor.

— No, toć ci i powiem, ale teraz już czas nie po temu, koléj nadejdzie niezadługo, a co jadąc, to żal się Boże jeno piersi zrywać daremnie.

Rozmowa ta toczyła się u wagonu na stacyi Skierniewickiéj, w oczekiwaniu dalszéj drogi. Podróżni powysiadali wszyscy, została tylko podeszła ciotka z siostrzeńcem.

Tymczasem przyczepiono lokomotywę, świeżo zasiloną w drzewo i wodę, podróżni wsiadali spiesznie do wagonu, maszynista z świstem wypuścił parę i pociąg posunął lotem orlim ku Łowiczowi.

— Bywałam ci ja tu na zabawach u nieboszczyka księcia prymasa, rzekła wskazując ręką na piękny pałac wychylający się z po-za zielonych kląbów.

— Jakto? tak daleko? zapytał Karol zdziwiony, wiem przecie, że ciotunia mieszkałaś zawsze w Kujawach.

— Tak, ale przez trzy miesiące byłam tu na kuracyi u nieboszczyka Twardochlebowicza; zacny to

był człowiek, lekarz zawołany: to téż zjeżdżało się do niego obywatelstwo z całego niemal kraju, jak na odpust. Oj! wesoło to było i gwarno w Skierniewicach, a książę prymas sute wyprawiał gale, ba! i niemal co niedziela wszystkich do siebie zapraszał, i kapela rżnęła tęgo, a my tańcowaliśmy do upadłego.

— Dobra to była choroba,—rzekł z uśmiechem Karol, kiedy ją można było takiém lekarstwem zbywać. To téż Twardochlebowicz niewiele sobie złamał głowy, i pewno prymasowskie gale więcéj pomagały, niżeli wszystkie uczone recepty sławnego Eskulapa. Oj! prawda ciotuniu, lepiéj przedtém bywało.

Ciotunia zażyła tabaczki i odchrząkła. Nie słyszę co waszmość gadasz, bo tu hałas i tartas jak na sądzie ostatecznym, próżno waszmość nie drzyj sobie gardła.

Milczeli chwilę oboje, parochód pędził szybko, zostawiając za sobą szeroki ślad czarnego dymu. Na lewo w oddaleniu ukazała się powabna Arkadya.

— I tu podobno dobrze się bawiono swego czasu, rzekł Karol. Nieprawdaż ciotuniu? oj co lepiéj to lepiéj przedtém bywało.

— Mój kochany! rzekła ciotka, skłaniając głowę, zawsze podobno bywał kąkol pomiędzy zbożem.

— Nie przeczę kochana ciotuniu, i teraz ci go nie brakuje, przyznaję chętnie, ależ trudno przecie przypuścić, żeby i dziś nie było już nic dobrego.

— Przedtém bywał gdzieniegdzie kąkol między zbożem, teraz zostało tylko gdzieniegdzie ziarnko zboża pomiędzy kąkolem i chwastem, przerwała ciotka.

— Dobrze i to, wystarczy przynajmniéj na zasiew, rzekł z uśmiechem Karol.

— Tak, jeżeli zielsko nie zagłuszy go do reszty.

W téj chwili okazały się wieże łowickiéj kollegiaty, parochód zwolnił bieg, zaświstał i zatrzymał się przed dworcem.

Pani Wojska wysiadła ostrożnie, wspierając się na ramieniu siostrzeńca, weszła do sali, gdzie żydzi rzempolili na skrzypkach i basetli aryę z „Napoju miłosnego": usiadła pod oknem, Karol tymczasem zajął się odebraniem pakunków.

W pół godziny potém, posiliwszy się nieco, ciotka siedziała obok siostrzeńca w małym koczyku, zaprzężonym w cztery fornalskie konie, i jechali spiesznie bitą drogą do Kutna.

— A cóż, kochana ciotuniu, jakże to było, kiedyś jechała z nieboszczką podkomorzyną rzemiennym dyszlem do Warszawy?

— No, proszę, jaki on ciekawy, a wiész wasze, że ciekawość pierwszy gradus do piekła? Tak mawiali ojcowie nasi.

— A my mawiamy, że ciekawość pierwszy stopień do doskonałości, i mamy podobno słuszność.

— Oj co nie, to nie; gdyby nie ciekawość pierwszéj naszéj matki, lepiéjby nam dziś było w raju, niżeli oto tłuc się po drogach żelaznych, aż kości trzeszczą człowiekowi. Waszeć zwłaszcza nie gniewałbyś się pewno, żebyś sobie całe dnie leżał na miękkiéj murawie pod gołém niebem, a same gołąbki leciałyby jeno do gąbki.

— Chyba figi i pomarańcze, kochana ciotuniu, boć przecie wtenczas pradziadowie nasi nie jadali jeszcze mięsa.

Pani Wojska w miejsce odpowiedzi dobyła tabakierki. Sięgnął do niéj Karol.

— No, i jakże to było, ciotuniu jedyna?

— Wyciągasz już mię wasze na słowa, ażeby potém drwinki sobie stroić ze staréj. Oj, starość nie radość. Na pochyłe drzewo, to i kozy skaczą.

— Oj że nie, to nie, droga ciociu; radbym tylko wiedziéć, jak téż to bywało: bo że jedno było lepiéj, trudno temu zaprzeczyć.

— Ha! przyszła koza do woza, rzekła ciotka z rozjaśnioném obliczem, wyciągając do siostrzeńca otwartą tabakierkę.

Karol sięgnął do niéj, pocałował ciotkę w rękę, ona oddała mu pocałunek w czoło.

— Owóż powiadam waszmości, miałam naówczas lat szesnaście, i dobre to były czasy; w głowie jeszcze świtało: za tańcem, za muzyką, poleciałoby się było i w piekło, a tu jakby na złość, nie często zdarzyła się gratka po temu. Nieboszczka matka owdowiała rychło, bo jeszcze byłam w pieluchach, kiedy Pan Bóg powołał nieboszczyka ojca do swéj chwały. Smutno więc było w rodzicielskim domu. Matczysko krzątało się jak mogło około gospodarstwa, zabiegało wszystkiemu. Bracia byli w szkołach u księży Pijarów w Łowiczu, mnie jeno co matka odebrała z klasztoru panien Cystersek Ołobockich, gdzie nieboszczka babka była przełożoną. Owóż, choć to jak ludzie mówią, wszędzie dobrze, a w domu najlepiéj; ja przecież ledwiem ze skóry nie wyskoczyła, kiedy jak dziś pamiętam, w tydzień po Nowym roku, przyje-

chała do nas nieboszczka ciotka podkomorzyna widawska i naparła się koniecznie, żeby mnie matka pozwoliła jechać z nią na całe zapusty do Rudnik. Moja pani siostro, mówiła nieboszczka ciotka, dobrze wasani mówić pacierze od rana do wieczora, czego ja wcale nie ganię, aleć to młode potrzebuje się trochę wyskakać i obejrzéć po świecie; skwasisz jeno dziewczynie młode lata, a te już nie wrócą, tak jak i woda wstecz nie popłynie.

— Co jéj to po tém, mówiła nieboszczka matka, albo to ona stworzona na wielką panię? Jeżeli Bóg pobłogosławi, to się i tak mąż trafi, choć głowy z zapieca nie wytknie. A jak zakosztuje świata, to potém nie będzie się chciało rano wstać do krów i dojrzéć kur i gęsi.

— Ej! nie gadałabyś napróżno pani siostro, przypomnij jeno sobie asińdźka młode lata, bywało się tu i owdzie, a przecież nie zaspałaś gruszek w popiele; a kiedy Pan Bóg zesłał nieszczęście, toś się dźwignęła na nogi i niesiesz krzyż swój jak możesz.

— Oj nieszczęśliwa moja dola! odparła matka rozrzewniona słowy ciotki, niech ręka boska broni ją od takiego, o to dzień i noc majestat boski błagam.

— Cóż robić? Bóg daje, Bóg bierze, trzeba Go chwalić za wszystko, rzekła ciotka, tandem pozwólże wasani jechać dziewczynie do Rudnik.

— Moja pani siostro, kiedy to u jéjmości sami panowie bywają, chudo-pachołek ani zajrzy; dziewczynie się jeno głowa czém niepotrzebném nabije, a potém będzie biéda.

— Gadasz asińdźka, gadasz, przerwała ciotka, już ja jéj strzedz będę jak oka w głowie, a może téż Pan Bóg dopomoże i nastręczy jakiego uczciwego człowieka. No, namyśl się jeno asani i nie broń dziewczynie jechać, bo inaczéj, daję słowo, noga moja nie postanie więcéj w asińdzki domu. A trzeba wiedziéć waszeci, ciągnęła pani Wojska, że nieboszczka ciotka była u matki w wielkiéj estymie. Bo téż ona skoligacona była z pierwszemi w kraju domami przez nieboszczyka swego męża podkomorzego widawskiego, człowieka zacnego i wielce uczonego. Matka nie mogła więc dłużéj się opierać jéj woli, na takie zwłaszcza zapowiedzenie. Ja w czasie téj całéj rozmowy siedziałam jak trusia, założywszy ręce w małdrzyk, i smutno patrzałam w ziemię, oczekując na którą się téż stronę szala przeważy; ależ jak matka pozwoliła nakoniec po długich korowodach, skraśniałam jak

wiśnia, pociemniało mi w oczach od wielkiéj radości, chociem się odezwać ani ruszyć nie śmiała, dopiero gdy ciotka rzekła do mnie: no, podziękujże matce Anusiu; padłam jéj do nóg jak długa i rozpłakałam się z ukontentowania.

— Pamiętaj jeno dziewczyno, żeby ci się w głowie nie przewróciło, żebyś mi nie nabrała jakicheś tam fumów i ceregieli, ale żebyś mi zawsze była równie potulna i posłuszna jak teraz.

— Przyrzekłam wszystko święcie, ale gdy mi matka kazała iść zebrać swoje manatki, zaledwiem przestąpiła próg pokoju, latałam jak szalona, nie wiedząc sama od czego zacząć przygotowanie do podróży.

I w kilka dni potém jechałam z ciotką do Rudnik poszóstną karetą. Ciotka odmawiała pacierze, przesuwając w palcach kokosowy różaniec, który dziad jéj nieboszczyk przywiózł przed laty z Rzymu, mnie zaś w głowie uwijały się cudowne rzeczy, coby tego na wołowéj skórze nie spisał.

Tegoż samego dnia wieczorem, ściągnęliśmy na noc do Rudnik, aż tu nowa radość. Ciotka zastała listy z Warszawy tyczące się procesu, który się od dawnych lat toczył o znaczną sukcessyę po kasztelanie gdańskim. Podkomorzy siedział za nim w Warsza-

wie od pół roku, aż tu pokazało się, że potrzeba było ciotczynego podpisu. Mąż wzywał ją, żeby nic zwłócząc, przyjeżdżała do niego. Zadrżałam z razu, mniemając, że jak niepyszna powrócę do domu, gdy tymczasem ciotka zawołała mnie do siebie.

— Pojedziesz waspanna ze mną. Anusiu, rzekła głaszcząc mnie pod brodę, zabierz z sobą co masz najlepszego; mówiłam téż pannie Krynickiéj, żeby waspannie dała z mojéj garderoby salopkę gradeturową w kwiaty z królikami i spodnicę błękitną z takąż jubką, obszytą brabanckiemi koronkami, bośbym się nie chciała powstydzić za waspannę, a może wypadnie z powrotem zawadzić i tu i owdzie do krewnych.

Rzuciłam się do nóg ciotki i całowałam serdecznie jéj stopy i kolana.

— No, idź teraz waspanna spać, a jutro skoro świt, trzeba już być gotową do drogi.

Położyłam się uradowana, ale sen ani postał mi na oczach. Jak żyję na świecie, nie byłam jeszcze w Warszawie, a potém toćto w młodych inaczéj wówczas krew krążyła niż teraz; dziś, Panie odpuść, nic was ani bardzo ucieszy, ani zasmuci: żyjecie sobie ot tak, jako żółwie albo ślimaki.

— Oj ciociu! ciociu! nie taki djabeł straszny jak go wystawiasz, i dziś krew nie woda, gra jeszcze w młodém sercu.

— Jest-ci gdzieniegdzie ziarnko między kąkolem, jak mówiłam, odparła ciotka, i dobyła tabakierkę, zażyła sama i podała Karolowi.

— Owóż, mówiłam waszeci, żem ledwie nie wyskoczyła ze skóry, dowiedziawszy się, że jadę do Warszawy, istnie jakby mię kto ukropem oparzył. Nad rankiem zasnęłam dopiero, a gdy mi się w najlepsze śniły jakieś dziwy, którychbym i nie spisała, pokojówka weszła do mojéj komnatki ze świecą w ręku, pociągnęła mnie za rękaw i oznajmiła, że już ciotka wstała, i że karetę i sanki zatoczono. Porwałam się z łóżka piorunem, i w mgnieniu oka byłam gotowa do drogi.

Oj! pamiętam jak dziś, wyjechałyśmy o świcie: ciotka, ja i panna służebna jechałyśmy w karecie na saniach, zaprzężonéj w sześć koni. Strzelec Jędrzéj siedział na koźle, za nami w saneczkach jechał stary kredencerz i kuchta. Sanna była wyśmienita, śnićg upadł właśnie w nocy jakby umyślnie dla nas, nad rankiem przymarzło nieco, ruszyliśmy więc jak strzała, coby nas i waszą koleją żelazną nie prze-

ścignął. Ciotka zaczęła śpiewać cienkim głosem: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ ja z panną Kunegundą wtórzyliśmy jéj obiedwie. O! taki to był zwyczaj mospanie, że wyjeżdżając w drogę, każdy musiał od Pana Boga zaczynać. I dobrze było za prawdę, to też i Pan Bóg błogosławił. Kto z Bogiem, Bóg z nim, mówi stare przysłowie.

— Toście musieli państwo, przerwał Karol, tego samego dnia zjechać do Warszawy, kiedyście tak prędko jechali jakby koleją żelazną.

— Pleciesz wasze sam nie wiesz co, teraz tobyście może tak i zrobili, bo dziś to się wszystko u was w głowach pomieści, ale wtenczas, to powiadam waści, było wyrozumienie i nad ludźmi i bydlęty. Mój nieboszczyk dziadek, Panie daj mu niebo, nim gościa przywitał w domu, zawsze wprzódy wydał rozkaz, żeby koniom jego dać gołego owsa i świeżego siana. Taka to była gościnność mospanie, a nie odsyłał koni do karczmy, jak dzisiaj niemieckim obyczajem; oj! lepiéj bywało za prawdę.

No, ale na czémże ja to stanęłam? zapytała starowina Karola, zażywszy znowu tabaczki.

— Na modlitwie kochana ciociu.

— A prawda. Owóż, jakeśmy skończyli pieśń pobożną, ciotka wyjęła okulary z kieszeni, dobyła ołtarzyk złoty z woreczka, otworzyła w założoném miejscu.

— No, zmówcie ze mną litanię do Boskiéj Opatrzności, rzekła do nas, żeby Pan Bóg pobłogosławił w sprawie, i żeby ta droga z łaski Jego najświętszéj nie poszła na marne.

— Niech ciotunia dobrodziéjka nie trudzi sobie oczów, to ja ją wyręczę, rzekłam nieśmiało.

— I owszem, moja panno, odparła.

Drżałam cała, żeby się nie pomylić, ale jakoś Pan Bóg dopomógł; zmówiłam bowiem w duchu przed zaczęciem krótką modlitewkę do Ducha świętego, i łaska Jego znać sprawiła, że do końca poszło gładziuchno, jakby chleb z masłem.

— Bardzo dobrze moja panno, rzekła ciotka głaszcząc mię po twarzy; ja pocałowałam ją w rękę w milczeniu.

Zaledwie skończyłyśmy litanię i godzinki, wjechaliśmy do Kutna. Licha to była wówczas mieścina, domy drewniane, ulice niebrukowane, karczma brudna, pełno w niéj dymu, żydziąt i śmieci. Piotrek woźnica, stosownie do poprzedniego rozkazu złożył

konie na bok, i wjechaliśmy do owéj karczmy. Kuchta zajął się czémprędzéj przyrządzeniem obiadu: zgrzał spory garnek piwa, dobył z faski dobrą misę bigosu, odgrzał, aż zapach buchnął na całą izbę. A żydzi aż zatykali nosy, aby ich nie strefić. Sporządził nadto przysmarzanie z pieczonéj indyczki i miskę klusek ze słoniną: posililiśmy się więc należycie i ruszyli w dalszą drogę.

— Jak się dowie wojewoda Gadomski, żeśmy mu przejechali pod nosem, rzekła ciotka, będą śmiertelne gniewy, ależ trudno było wstępować, raz, że wiem, choćby go i świętemi słowami prosić, nie wypuściłby z domu, a tu czas nagli; a potém mąż pisał, żeby broń Boże nigdzie się nie zatrzymywać, a wszystkie wstępy zostawić napowrót. Może się téż i waspannie uda gdzie przeskakać, dodała ciotka spoglądając na mnie.

Skraśniałam cała jak malina, a serce biło mi jak młotkiem od wielkiéj radości.

Już dobrze zmierzchło, kiedyśmy ściągnęli na noc do Chruślewa, do nieboszczyków cześnikostwa Zabielskich; wieś ich leżała na saméj drodze, niepodobna było pominąć, a potém i konie zmęczone domagały się spoczynku. Państwo cześnikostwo, Panie

daj im niebo, przyjęli nas gościnnie, zapowiedzieli z góry, że nas nazajutrz nie wypuszczą, ale jak ciotka jęła prosić i molestować, jak przyrzekła na słowo uczciwości, że zjedzie do nich z powrotem, nie sprzeciwiali się jéj dłużéj. Nazajutrz dobrze przed świtem, puścilismy się więc w dalszą drogę, nie zagrzawszy nawet miejsca w domu cześnikostwa. Gospodarstwo oboje wstali przededniem, uczęstowali nas wyborną kawą, pobłogosławili na drogę, żeby Pan Bóg poszczęścił w sprawie i bronił od wszelkiéj przygody. Tylko cośmy wyjechali za wieś. aż tu jak zacznie sypać z nieba, to i bożego świata trudno było dopatrzyć; śniég zawiał drogę ze szczętem, pola, rowy, zagony i płoty nawet zrównały się, jednako śniég jakby puch biały, rozścielał się na wszystkiém. Piotr zgubił drogę, toru ani oka, strach na nas okrutny, ja w płacz niewiele myśląc.

— Wstydź się waspanna płakać, rzekła ciotka. lepiéj oto pomodlić się do Najświętszéj Panny i nie tracić otuchy, że ta Opiekunka nasza wstawi się za nami do Pana Jezusa i nic nam się złego nie stanie; zaczęłyśmy więc śpiewać: „Pod Twoję obronę“, i jakby cudownym sposobem, zaledwieśmy skończyły i zaczęłyśmy pierwszy wiersz godzinek: „Zacznijcie war-

gi moje chwaliś Pannę świętą", wnet Piotr wpadł na tór i śmiało zaciął konie drogą ku lasowi: zatrzymywaliśmy się jednak co moment, bo sanki, w których jechał kredencerz i kuchta, wywróciły się kilka razy: kury, gęsi i kaczki pobite, oraz naczynia kuchenne tonęły w śniegu; i nie obyło się téż bez szkody, ale cóż robić? Panu Bogu dziękować, że się i co gorszego nie stało, a nawet jak zobaczysz waszmość, Opatrzność święta wszystko na dobre obróciła.

Owóż, jechaliśmy przez las ze dwie godziny, ciągnęła daléj ciotka zażywszy tabaczki, jużeśmy skończyły i godzinki i litanie i różaniec, aż tu niéma i niéma końca boru; nowy strach, a do tego zima, wilki się wabić zaczynają, jedziemy wprawdzie drogą, znać to wycięciem drzew, ale gdzie i dokąd ta droga prowadzi, Panu Bogu samemu wiadomo. Oj! Jego to święta ręka prowadziła nas za prawdę, ale potém o tém, będzie czas na wszystko.

Około południa mosanie, wyjeżdżamy nareszcie z boru, śniég sypie coraz większy, wicher dmie w same oczy koniskom, strzelec Jakób i biedny Piotr biją jeno ręką o rękę, aż litość brała nad biednemi ludziskami, a tu ani karczmy, ani domostwa, tylko biało i biało. Ciotka kazała stanąć, panna służebna na

jéj rozkaz dobyła anyżówki, pokrzepili się wszyscy i rozgrzeli. Zaczęłyśmy znowu godzinki do świętego Antoniego, którego opiece matka mnie jeszcze w dzieciństwie ofiarowała, ba i nawet co rok dwie świece na moję intencyę posyłała do Łagiewnika; wtém, jakby za świętą jego sprawą, wjechaliśmy szczęśliwie do wsi porządnie zabudowanéj, obsadzonéj wierzbiną.

— Co to za wieś? zapytał Piotr idącego chłopka.

— A dyć to Wierzbowo, odparł zagadniony.

— A toć nas chyba złe tu przyniosło, ponowi. zafrasowany woźnica.

— Panu Bogu dziękować, rzekła ciotka, że jakąkolwiek wioskę nadarzył. Znam ci ja dobrze państwo żupnikostwo co tu mieszkają, poczciwi z kościami ludziska; a zajechać tam Piotrku do dworu.

Piotr skręcił w opłotki, i niebawem byliśmy przed dworem. Żupnik usłyszawszy zajeżdżających gości, wyszedł przed ganek, za nim wybiegła żwawo żupnikowa i dwie żupnikowny, dziewczęta jakby łanie.

— Bóg nam nadarzył przybycie jéjmości dobrodziéjki, rzekł żupnik wysadzając ciotkę z karety, to nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło: żeby

nie taka zawierucha, pewnobyśmy się jéj nie doczekali do sądnego dnia w naszym domu.

Żupnikowny wzięły mnie pod swoję opiekę, rozebrały z różnych podróżnych tabołów, zaprowadziły do swojéj izdebki, przygładziły włosy ponad czołem, żebym przecież podobnie do ludzi wyglądała, niech tam za to Pan Jezus świeci ich duszy, a widać, że to już tak ręka boska wszystko jakby umyślnie zrządziła, żeby spełniła to, co napisaném było w księdze odwiecznych wyroków. Otóż mówię waszmości, że mi serce odrazu przylgnęło jak wosk roztopiony do tych zacnych panienek, bo téż to były istne anioły. Starsza zwłaszcza, Marysia, dochowała mi serdeczną życzliwość do grobowéj deski, młodszą Kasię, Bóg zawczasu powołał do swéj chwały. Kiedyśmy wszystkie trzy weszły do alkierza, gdzie przy obszernym kapiastym kominie siedzieli żupnikostwo z ciotką, zastałyśmy tam dwóch urodziwych młodzianów. Byli to synowie gospodarstwa: starszy z nich, nadewszystko pan Wojciech, dziwnie mi przypadł do oka, zdawało mi się, że go już znam od niepamiętnych czasów, a jednak nie śmiałam sobie przypomnieć, kiedybym go widziała. W klasztorze nie zobaczyłabym mężczyzny ani na lekarstwo, strzegli

to tego jak ognia. W domu matki nie bywał nikt z gości, ja téż dotąd nie wytknęłam głowy na świat. Daremnie smarzyłam sobie mózg, gdzie ja to widziałam pana Wojciecha, a widziałam go gdzieś, jak słońce na niebie; gdy wtém myśl nagła oświeciła mnie: przypomniałam sobie, że tegoż samego roku w wigilię świętego Andrzeja, gdym w najlepsze zasnęła na kamieniu, śniło mi się oto, słuchaj wasze, że go widzę w takim samym kontusinie, jak oto teraz siedział pod oknem. Serce uderzyło mi jakby młotkiem, spojrzałam na niego zpod oka nieśmiało, i skraśniałam cała jak wiśnia, bom spotkała jego oko wlepione we mnie, jakby w święcony obrazek. Oj! nie zapomnę ja tego dnia, póki żyć będę na świecie; ale cóż wasze na to powiész? Wieczorem, kiedyśmy siedziały sobie wszystkie trzy w kąciku, bośmy już tego dnia nie ruszyły w dalszą drogę, dla sypiącego nieustannie śniegu, owóż Marysia szepnęła mi do ucha:

— A wiész téż panna Anna, dlaczego Wosio tak ci się przy obiedzie przypatrywał?

— A zkądże ja mam wiedzieć? odparłam zapłoniona.

— Oto, śniłaś mu się w wigilię świętéj Katarzyny.

— Wolne żarty pannie Maryannie, odrzekłam zmieszana, drżąc jak listek osiny.

— Oj co nie żarty, to nie żarty, nie darmo was ręka boska przyprowadziła do nas, kto wié co się z tego wyświęci.

Żupnikostwo radzi nam byli serdecznie, częstowali czém mogli, byliby sobie wszystko z pod serca wyjęli, żeby nas tylko uraczyć. Kasia usmarzyła chróściku i pączków. Wieczorem po wieczerzy, Marysia usiadła do szpineciku, zabrzdąkała mazura, pan Wojciech podał mi rękę, młodszy brat Antoni wziął Kasię i tańcowaliśmy we dwie pary do upadłego; o dziesiątéj ciotka powstała, zawołała mnie. Serce ścisnęło mi się okrutnie i jakiś ciężar spadł na nie kamieniem. Uściskałam serdecznie żupnikowny, dygnęłam panu Wojciechowi i Antoniemu, pocałowałam w rękę żupnikową i poszłam za ciotką. Ale w nocy sen ani mi postał na oczach, a gdym zasnęła nad ranem, już mi się nie śniło o Warszawie, ale mi brzmiał w uszach ów mazur Marysi, i zdało mi się, że trzymam za rękę pana Wojciecha, i że ochoczo pląsam obok niego.

Nazajutrz przed świtem wyjechałyśmy z Wierzbowa, po serdeczném pożegnaniu z poczciwém gospodarstwem. Śniég pruszył jeszcze nieco, żupnik kazał parobkowi jechać z latarką przed powozem, dla przeprowadzenia nas do traktu warszawskiego, od którego niemałośmy zboczyli. Na zakręcie drogi koło krzyża wychyliłam głowę, i wtém serce uderzyło mi na gwałt; bo wiész wasze, kogom zobaczyła, oto pana Wojciecha, który jechał przed powozem na siwéj klaczy, w miejscu parobka, i światło latarki padło mu na twarz i odbiło się w piękném jego oku; nie powiedziałam ciotce ani słówka o tém, ale gdy się nieco rozwidniło, a mnie ciotka kazała jak wczoraj czytać głośno modlitwy, głos mi drżał w piersi, i omyliłam się nawet kilkakrotnie.

— Oj! Anusiu, Anusiu! mówiła ciotka, waspannie coś w głowę wczoraj mazur zajechał, i pogroziła mi lekko na nosie.

— Zapłoniłam się cała jak karmazyn, wtém dojechaliśmy do traktu. Pan Wojciech ukłonił nam się grzecznie czapeczką, i popędził jak strzała drogą ku domowi.

— A to mi grzeczny młodzieniec, otóżto aż miło, rzekła ciotka, oj nie dalekoć to pada jabłko od jabło-

ni, Żupnik sam zacny człowiek, ona jedyna kobieta, jakich mało, to téż i dzieciska dobre i poczciwe. Mój Boże! byłabym mu przynajmniéj podziękowała, a on mi znikł jak kamfora.

Co się wtenczas działo we mnie, tego waszmości nie powiem, to wiem tylko, żebym za nic w świecie nie odważyła się wyjrzéć oknem za panem Wojciechem, choć miałam do tego serdeczną ochotę.

Z wielką biedą ściągnęliśmy na noc do Sochaczewa, a nazajutrz o zmroku wjechaliśmy do Warszawy. Ale co miasto, to mi się tak bardzo i nie podobało; wystawiałam sobie coś daleko większego i wspanialszego. A potém, mamże powiedziéć? oto mi się ciągle plątał po głowie ów sen nieszczęśliwy, a z nim i obraz pana Wojciecha; ja do kościoła, on tuż; ja do sklepów z ciotką, on trop w trop goni za mną w ślady. Już myślałam, że mnie złe nawiedziło, i spoczynku mi jakoś nie daje. Modliłam się też gorąco przed świętym Antonim w kościele bernardyńskim, i lżéj mi się jakoś na sercu zrobiło; ale jednak ów urok nie całkiem się rozproszył.

Zastaliśmy podkomorzego w złotym humorze, bo sprawa najlepszy obrót wzięła, obwoził nas po mieście, pokazał nam Łazienki królewskie, ale cóż, kie-

dy zimową porą nie wydawały się w całéj piękności; widziałam nawet króla nieboszczyka, jak z zamku jechał przez krakowską bramę. Podkomorzy odebrawszy summę, którą już poniekąd uważał za przepadłą, hojnie sypnął złotem; zaczął naprzód od Boga, i sprawił bogate srebrne lichtarze do kaplicy Pana Jezusa do Fary, oraz zapewnił fundusz wieczysty na dwie msze w tygodniu u świętego Krzyża. Potém dał żonie sto czerwonych złotych na jéj potrzeby. Mnie nawet, na dopomnienie się ciotki, dał dziesięć dukatów do ręki. Jak żyję na świecie, tyle razem nie miałam pieniędzy. Zdało mi sie zrazu, że za nie całą Warszawę zakupię, jakoż oporządziłam się wcale. Sprawiłam sobie białą sukienkę linową, obszywaną różowemi wstążkami, i drugą skromniejszą z zielonego kamlotu, z takąż jubką, pokupowałam nadto różne kobiece fatałaszki, a przedewszystkiém ładny kornecik z piórem dla nieboszczki matki w upominku. Byłam nawet z podkomorstwem na reducie, ale tam miałam więcéj strachu niż zabawy; dziwnie mi się wydawały owe przestraszne maszkary, a jak się która zbliżyła do mnie, to mię aż dreszcz przechodził od stóp do głowy. Myślisz waszmość, ciągnęła daléj starowina, zażywszy tabaczki i poczęstowawszy nią

Karola, że mi było markotno, jak podkomorzy zapowiedział ciotce, że nazajutrz wyjedziemy z Warszawy? Otóż wcale nie, wiedziałam dobrze że teraz oto pojedziemy rzemiennym dyszlem, i cieszyłam się na to, jak na lato.

Były to właśnie zapusty, jeszcze dwie niedziele brakło do ostatków, myślałam sobie, że z jaki tydzień przynajmniéj zejdzie w drodze, w ostatki zaś podkomorzy powiedział: że wyprawi sutą galę, in gratiam wygranéj sprawy. Było się więc zaprawdę na co cieszyć, może i pan Wojciech i żupnikostwo przyjadą do Woli, pomyślałam, ale nikomu nie rzekło się ani słowa.

Wyjechaliśmy z Warszawy w dzień mroźny i jasny, śnieg aż skrzypiał pod nogami koniom, a słońce odbijało się w drobnych pyłkach, błyszczących jakby dyamenty. Podkomorzy siedział obok ciotki w karecie i rozmawiał z nią o wygranéj sprawie, układając rozliczne projekta; panna służąca spała jak zabita, otuliwszy się w kąciku, ja zaś siedziałam jak trusia, ale w głowie snuły mi się niestworzone rzeczy.

Zajechaliśmy na noc do Sosnowa do czestnikostwa Wieluńskich, dalekich krewnych podkomorzego, ale ona sama leżała w łóżku; od pół roku jak nie

wstawała już z téj choroby, i w kwartał potém skończyła nieboga. Smutno więc było w ich domu. Bawiliśmy jednak cały dzień następny. Wyjechaliśmy z Sosnowa, ściągnęliśmy do Wólki, ot do téj Wólki, gdzie teraz z waszmością jadę. Ale ho! ho! inna to Wólka była przed laty, mieszkała tam naówczas pani starościna Malborska, wielka familiantka, zkoligacona przez matkę z królewskim domem. Wdowa i bezdzietna, prowadziła dwór na wielką skalę, a jak w niedzielę lub święto zajechała przed kościół do Kiernozi poszóstną karetą, którą poprzedzał zawsze koniuszy i huzar konno, jak zasiadła w pierwszéj ławce z panną podczaszanką bawiącą na respekcie, jak ją otoczył w koło liczny szereg dworzan, to było mospanie na co patrzéć. Znać pana po cholewach, mówi przysłowie, to téż i starościny z czoła patrzało państwo, aż strach mimowolny przejmował tego, na kim spoczęło jéj oko. Przyjechałyśmy więc po południu, ciotka weszła do bawialnego pokoju, a ja za nią. Starościna siedziała w obszernym fotelu przed krosnami i haftowała na aksamicie ornat do kościoła, złotemi jedwabiami. Powstała ujrzawszy ciotkę, postąpiła kilka kroków wolno, z powagą, ciotka pocałowała ją w białą i pulchną rękę, któréj starościna

bynajmniéj nie broniła, bo już taki był zwyczaj, że ją wszystkie panie bez wyjątku w rękę całowały.

— Któż to jest ta panienka? zapytała starościna, wskazując na mnie.

— To moja bratanka, odparła ciotka, córka nieboszczyka mego brata Jerzego.

— Znałam go dobrze, odrzekła starościna, miłe jakieś i potulne dziewczę, dodała głaszcząc mnie po licu. Panno podczaszanko, rzekła obracając się do panny respektowéj, siedzącéj z robotą w ręku: połóż asanna robotę i zabaw się z panienką. A ty Nastusiu idź do szafarki, i powiédz, żeby natychmiast przynieśli gorącą kawę z babą.

Nastusia, było to dwunastoletnie dziewczątko, które nigdy nie opuszczało pokoju starościny; obowiązkiem jéj było siedziéć ciągle na małym stołeczku przy kominie, i czekać na skinienie swéj pani. Nadto służyła ona za ekram chroniący starościnę od palącego płomienia, który podsycała nieustannie, przykładając co chwila suchych drewek na komin.

Starościna lubiła gości, wiek młody bowiem strawiła u dworu, rada więc była sąsiedztwu, które dosyć często zjeżdżało się do jéj domu; tego dnia jednak nie było nikogo z obcych, tylko ksiądz z Kiernozi

przyjechał przed wieczorem. Starościna jednak wystrojona była jak na galę, miała jak dziś pamiętam białą atłasową spodnicę i karmazynową jubkę z grodeturu obłożoną marmurkiem, na głowie zaś kornet koronkowy, ubrany w czerwone wstęgi, przypięty do głowy brylantowemi szpilkami. Panna podczaszanka mówiła mi, że tak się codziennie zwykła była ubierać.

Starsi państwo zasiedli do drużbarta, ja zaś z panną podczaszanką przegawędziłyśmy cały wieczór, a było o czém gadać, boć się przecie widziało i to i owo w Warszawie. Panna podczaszanka znacznie była odemnie starszą, ale dosyć jeszcze urodziwą i hożą. Nie znalazłać wprawdzie męża, boć to szlachciance trudno się wydać w magnackim domu. Pan nie chciał, a chudo-pachołek nie śmiał odezwać się o jéj rękę. Zmarnowało się téż nieboże, i poniosła biedaczka do grobu swój ruciany wianeczek. Nazajutrz z rana, podkomorstwo koniecznie wyjechać chcieli, boć mieli jeszcze wstąpić i tu i owdzie, a tu ostatki za pasem, ale cóż, kiedy staroscina puścić ich w żaden sposób z domu nie chciała, daremne były wszelkie przedstawienia, podstarości z koniuszym na rozkaz swéj pani, zdjęli karetę z sani, niepodobna się więc było ruszyć;

mnie się jakoś markotno zrobiło na sercu, boć już nie było i o czém gadać z podczaszanką, dorwałam się więc do krosien starościny, i wyszyłam kilka kwiatów złotem na aksamicie, i czas przy robocie zszedł przecież jakkolwiek. Starościna pochwaliła moję pracę, a nawet wpadłam u niéj w łaski, że mi podarowała złoty pierścioneczek z rubinkiem.

Wieczorem znowu starsi państwo zasiedli do drużbarta z księdzem proboszczem, który w dniu tym był na obiedzie, a ja z podczaszanką medytowałyśmy smutno przy kominie; gdy wtém szmer powstał w przyległym pokoju, koniuszy wpadł z oznajmieniem, że banda cyganów przyszła, i prosi o nocleg.

— Cóż to znowu nowego? rzekła starościna, czy to nie ma karczmy dla téj chołoty, żeby mi dom nachodzić mieli, z resztą dać im tam łyżkę strawy, ale niech sobie idą precz, a mieć tam baczność żeby czego nie ukradli.

Koniuszy skłonił się nisko, stał jednak w miejscu nieporuszony.

— Czegoż asan czekasz? Idź mi natychmiast wypełnić moje rozkazy.

— Oto jaśnie wielmożna pani rzekł z głębokim pokłonem, starsza cyganka chciała panienkom powróżyć.

Gdy to mówił, cyganie nie czekając pozwolenia, tłumnie wchodzili do sali, za niemi tłoczyło się chłopstwo przybrane w świąteczne szaty. Starościna powstała z groźną miną, ja tymczasem z podczaszanką skoczyłyśmy do drzwi. Wtém stanęłam jak wryta, poznawszy pod cygańską płachtą, dobrze mi znane oczy pana Wojciecha, a w ładnéj cyganeczce poznając moję kochaną Marysię. Skrzypki też, cymbałki i basetla odezwały się równocześnie. Starościna porzuciła gniewną minę, rozśmiała się nawet serdecznie, poznawszy żupnikostwo, którzy zmówiwszy się z sąsiedztwem, zjechali kuligiem do Wólki.

W mgnieniu oka oświecono wielką salę po drugiéj stronie dworu, który szumnie zwano pałacem. Pan Wojciech zrzucił z siebie cygańską płachtę i ukazał się w zręcznym mazowieckim stroju, przepasany kraśnym pasem. Marysia położyła mi kabałę, i wywróżyła wesele po wielkiéj nocy, a pan młody miał być do pana Wojciecha podobny, jakby dwie krople wody. Muzyka brzmiała ochoczo, my tańcowaliśmy do upadłego aż do białego dnia, wieczerzę nawarzono sutą, bez niepotrzebnych wymysłów, ale nie brakło na niéj: zrazów, kaszy, gęsi, indyków i kapłonów, boć tego każdy porządny dom miał podostatkiem.

Na drugi dzień przespawszy się nieco, znowu rozpoczęliśmy tany, a nazajutrz trzeci dzień dopiero mospanie, ruszyliśmy z kuligiem do żupnikostwa, gdzieśmy znowu trzydniówkę odprawili. A i cóż waszeć na to Karolu? nie lepszeć to były czasy?

— Oj! lepsze, lepsze ciotuniu, nie ma co mówić, odparł Karol; no, ale cóż potém było? Wszakże żupnikówna wróżyła wesele po wielkiéj nocy?

— Niezupełnie, odparła z westchnieniem ciotka, oj! nie innegoć to ta Wielkanoc wywróżyła; ale potém o tém; trzeba porządkiem przystępować do rzeczy.

— Owóż po trzydniówce u żupnikostwa, pojechaliśmy do domu. Zawadziliśmy już tylko o Zawady, gdzie mieszkał wojewoda Gadomski. A wielki to był pan mospanie! Trafiliśmy tam właśnie na niedzielę, a trzeba waszeci wiedzieć, że co niedziela zbierało się u niego całe sąsiedztwo. Szlachta piła, hulała jak za dobrych czasów, i ściskała nogi wojewody. Wojewoda podeszły już w latach, nie miał wcale żony, to też sąsiadki gospodarowały u niego na przemiany; pomiędzy innemi rej wodziła sędzina Kalinecka, przyjeżdżała zazwyczaj w sobotę i siedziała do środy; w środę jeździła do domu, ogarnęła drobne dzieci, zarządziła gospodarstwem, i znów na niedzie-

lę wracała do wojewody. Ludzie pletli, co im ślina do ust przyniosła, ale sędzia patrzał na wszystko przez szpary, bo mu się dobrze działo. A wojewoda, trzebà wiedziéć, był pan hojny i rozrzutny; u niego mospanie, był pokój wybity samemi pułkami, a na nich jak w sklepie, pełno było materyj, chustek i innych kobiecych rupieci, któremi hojnie szafował. Sędzina więc stroiła się jak cudowny obraz; sędzia rad był, że to go ani złamanego szeląga nie kosztowało. Jak to tam było, tak było, dosyć, że wszyscy byli radzi.

— A i cóż ciotuniu, lepiéjże było za dawnych czasów? podchwycił Karol, całując ciocię w rączkę.

— Toć i to był kąkol, mój kochany, cóż robić, kiedy się bez tego chwastu jakoś nigdy i nigdzie nie obejdzie.

— No, a teraz powiédz mi droga ciotuniu o ostatkach, bo już po-za strugą widać ot tam Wólkę, za pół godziny dobijemy do miejsca.

— Chwała Bogu, bo téż i kości nie czuję. Toć i ja téż zbliżam się do końca mego opowiadania.

— Powróciliśmy więc szczęśliwie do domu, dziesiątego dnia po wyjeździe z Warszawy, zdrowi jak ryby, choć się nieraz niedospało i użyło niewygody. Ale téż to wtenczas nie było tyle wymysłów, o cho-

robie nerwów ani było słychać, a spazmy nazywano po prostu grymasami. Podkomorstwo zaprosili do siebie wiele gości na ostatki, a między innemi i żupnikostwo. Ciotka napisała do mojéj matki list, w którym zaklinała ją na rany boskie, żeby także przyjechała do Rudnik. Matczysko nie zaraz się namyśliło, ale gdy bracia zjechali na dwa dni przed ostatkami do domu, jak jéj zaczęli leżéć u nóg i molestować, uprosili ją nakoniec, że wraz z niemi przybyła w sobotę.

Oj! byłoż to w Rudnikach rejwachu i tartasu. Boże zmiłuj się, cały dom przewróciłyśmy z ciotką do góry nogami. Podkomorzy in gratiam wygranéj sprawy, kupił nowe sprzęty, sprowadził nadto z dziesięć beczek wina z Warszawy, kapela wojskowa zjechała z Łowicza za pozwoleniem rotmistrza, który także zaproszony był wraz z kilku towarzyszami chorągwi. Na trzy dni przed ostatkami, zaczęłyśmy z ciotką piec baby, placki, pierniki, przyrządzać wódki i likwory. Wojewoda pozwolił swego kucharza i dwóch kuchcików do pomocy. Posłańcy rozjechali się na wszystkie strony z zaprosinami, oraz do okolicznych miasteczek po rozmaite sprawunki, których się w Warszawie przepomniało. Matczysko cieszyło się niewymownie jakiem jéj oddała śliczny kornecik z Warsza-

wy, a najwięcéj o to szło niebodze, że nie miała właściwego stroju, bała się pokazać przy ludziach, jakoby gęś szara. Ciotka zaradziła i reszcie, przywiozła jéj bowiem z Warszawy suknię ciemną grodeturową i takiż półsałopek w podarunku.

Oj byłoż to zabawy! ciągnęła daléj ciotka, dosyć powiedziéć waszeci, żem przez trzy dni ostatków zdarła sześć par trzewików, com sobie na cały rok kupiła. Podkomorzy częstował suto i panów i pachołków, i konie nawet gościnne. Wino lało się strumieniem, aż w ostatni wtorek trzeba było nowy zapas sprowadzić z Kutna, bo już warszawskiego nie było ani kropli, a przecież i piwnica podkomorzego niemało dawnych miała zabytków.

Ale wszystko ma koniec na świecie, tak téż minęły i ostatki. W ostatni wtorek o północy umilkła muzyka, ustały tańce. Podkomorzy podał z uszanowaniem rękę starościnie i poprowadził ją do jadalnéj sali; wszyscy parami ruszyli za niemi, mnie jakoś sama nie wiem, jak nawinęła się ręka pana Wojciecha. Żupnik prowadził moję matkę i coś jéj szeptał na ucho. Skraśniałam cała, bo o ilem dosłyszała, wymówił moje imię kilkakrotnie.

W jadalnéj sali czekała na gości suta wieczerza; na wielkich półmiskach poukładane były ogromnéj wielkości szczupaki i karpie, śledzie leżały stosami na innych, w środku stołu stała ogromna waza srebrna, a po jéj dwóch stronach wznosiły się wysokie sztucznie ułożone ciasta.

Gdy wszyscy obsiedli do koła, podkomorzy zbliżył się do stołu, podniósł pokrywy wazy, a wtém frrru... ćma wróbli rozleciała się po sali. Śmiéch powstał i wrzawa, aż starsi napominać musieli młodzież, i mnie się nawet dostała porządna repremenda od ciotki.

Pachołcy powypędzali wróble, i wszyscy zabrali się do wieczerzy, i cicho w milczeniu spożywali dar boży, witając się po przyjacielsku ze śledziem, który odtąd aż do wielkiéj nocy miał służyć za powszednią strawę.

— No, ależ owo wesele po wielkiéj nocy, ciotuniu jedyna, zapytał ciekawie Karol, czy się téż sprawdziła wróżba żupnikownéj?

— Oj, inne to było wesele mój kochany.. No, ale idźmyż porządnie do rzeczy. Po ostatkach odjechałam z matką do domu, bracia w swoję stronę pojechali do szkół do Łowicza, smutno mi jakoś było i markotno na sercu, sama nie wiedziałam dla czego.

— Oj! Anusiu, Anusiu, mówiła matka, waspannie jakoś zapusty zajechały do głowy; teraz nie smakuje chléb powszedni, jak się marcepanów zakosztowało. Okrutnieś mi pobladła i spaszowała.

Zamiast odpowiedzi, całowałam tylko nogi matki, i zapewniłam ją uroczyście, że mi nic a nic nie tęskno za ciotczynym domem. A jednak tęskniłam sama nie wiem dla czego, w nocy oczy się jakoś do snu nie kleiły, robota nie szła pomimo usilnéj chęci, zapominałam rozkazów matki, i nieraz aż sobie gorzko zapłakałam, że mi wszystko na opak idzie.

Na drugi tydzień po ostatkach, matka odebrała list od ciotki, że wraz z żupnikostwem zjedzie do nas na niedzielę; myślałam, że się pod ziemię schowam, jak mi matka z uśmiechem zwiastowała tę nowinę. Zajęłam się więc uprzątaniem domu, a gdy w sobotę o zmroku huk bicza oznajmił mi przybycie gości, wszystko już było na swojém miejscu i szło jakoby z płatka.

Zgadłeś już pewnie waszmość, że ciotka proszona była w swaty, owóż nie inaczéj; w niedzielę odbyło się wszystko jak należy. Pan Wojciech padł jak długi do nóg nieboszczki matki, gdy pan żupnik

oświadczył jéj afekt syna. Marynia ściskała mnie serdecznie.

— A widzisz, wszak prawdę mówiła cyganka, powtórzyło uradowane dziewczę.

Żupnikostwo wraz z ciotką wymogli na matce przyrzeczenie, że ślub odbędzie się po wielkiéj nocy. Ale inaczéj zrządziły wyroki Opatrzności. Bóg znać nie chciał mi dać zakosztować zbyt łatwego szczęścia. Okoliczności zrządziły, że pan Wojciech oddalił się na długo z rodzicielskiego domu, a mnie serce jeno pękało z tęsknoty i trwogi, i w rok dopiero niespełna stanęłam z nim na ślubnym kobiercu.

Może téż to Bóg zrządził dla tego, żebym potém lepiéj oceniła dolę, jaką mi z swéj łaski przeznaczył. Oj! byłać téż to dola, jakich mało!

Słuchaj waszmość, czterdzieści lat oto przeżyliśmy obok siebie wiernie i poczciwie, jak Pan Bóg przykazał, wyposażyliśmy czworo dzieci, drugie czworo zagrzebali w ziemi, żeby nas czekały u wrót Przedwiecznego, a nigdy ani jedna skarga, ani jedno narzekanie, ani jedno marne słowo nie wyszło z ust naszych; a kiedym trzy lata temu, żałosną ręką zamknęła oczy czcigodnego męża, kiedym pierwszą garść ziemi rzuciła na jego martwe zwłoki, wówczas pierw-

szy raz gorzko zapłakałam na niego za to, że mnie poprzedził w drogę wieczności. A cóż waszmość na to, czyż nie lepiéj przedtém bywało?

To mówiąc, starowina otarła nieznacznie łzy spływające cicho po zwiędłém licu.

— Oj! lepiéj, lepiéj ciotuniu, odparł rozrzewniony Karol, całując tkliwie ręce poczciwéj ciotki, ale i teraz dobrze będzie, byleśmy naśladowali przeszłość w dobrém, a chronili się tego, co godne nagany, byleśmy wyrywali chwast i kąkol, a zasiewali jak najwięcéj czystego zboża.

— Amen, odparła ciotka, błogosławiąc czoło bratanka.

W téj chwili powóz wjechał w opłotki, minął dziedziniec, i zatrzymał się przed białym dworem Wólki.

II.

NIE MÓW HOP, AŻ PRZESKOCZYSZ.

GAWĘDA CIOTUNI.

NIE MÓW HOP, AŻ PRZESKOCZYSZ.

GAWĘDA CIOTUNI.

Co tu począć? jak tu sobie poradzić? mówiła młoda i ładna pani Karolowa, siedząc przy kominku obok ciotuni, która żwawo przerzucała w palcach druty od pończoszki, podczas gdy pan Karol palił nieco o podal cygaro. Co tu zrobić z temi zapowiedzianemi odwiedzinami?

— Ha, i cóż odparła ciotunia, zażywając tabaczkę. Oto wam powiém krótko a węzłowato: przyjąć gościnnie, po dawnemu, i kwita.

— Tak! przyjąć, przyjąć kochana ciotuniu, odparła młoda kobieta, ale cóż na to świat powié? Pani Włodzimierzowa zgubiona zupełnie na sławie,

porzuciła męża dla innego, i w błocie tarza poczciwe imię kobiety.

— Aż zgroza pomyśléć, co mi o niéj nagadał mój brat Ludwik, za méj ostatniéj bytności w Warszawie, przerwał pan Karol.

— O! już to waszmoście najskorsi jesteście do potępiania drugich, mianowicie, gdy idzie o biédne kobiéciska. A pamiętasz waszo, co Chrystus powiedział w ewangelii: „Kto sam bez grzechu jest, niech pierwszy rzuci kamień“. Uderzylibyście się lepiéj oto sami w piersi, bo i któż zawsze daje pochop do złego? Kto uwodzi niewiasty fałszywemi słowy i przyrzeczeniami, których dotrzymać nie myśli? Kto za prawdę, jeżeli nie wy mężczyzni? A jak się któréj, Panie odpuść, jeno pośliznie stopa, to już tyle narobicie krzyku i hałasu, jakbyście w sercu ani kropli chrześciańskiego miłosierdzia nie mieli.

— Ależ moja ciotuniu, rzekł Karol, znasz przecie przysłowie: „Powiédz z kim przestajesz, powiem kto sam jesteś“.

— Nie naszeć to przysłowie, odparła ciotka wstrząsając głową, ale jakieś tam zamorskie czy francuzkie; człowiek sam za siebie tylko odpowiada przed Bogiem, a bliźniemu winien przedewszystkiém miłość

i pobłażanie. Pięknać mi miłość mospanie, popchnąć kogo w dół, dlatego, że mu się noga zachwiała. A pamiętasz téż waszmość, że Chrystus wziął bez odrazy rękę trędowatego, nie bojąc się zarażenia?

— O! to téż Chrystus zupełnie co innego, odparł Karol, przecież on był Bogiem.

— Prawda, że był Bogiem, ale trzeba waszeci wiedzieć, że Chrystus nic darmo nie czynił, ale we wszystkiém chciał, żebyśmy poszli Jego drogą.

Pan Karol skinął głową w milczeniu.

— A potém, ciągnęła daléj ciotka, zgnilizna chwyta się zgnilizny, choroba tam się udziela, gdzie trafi na złe usposobienie. Niech jeno twoje serce będzie czyste jak szkło, to go się zaraza nie imie, jak Bóg na niebie. Baczmy więc przedewszystkiém sami na siebie, a złe nie przyjdzie do nas od drugich.

— A jednakże, moja kochana ciotuniu, rzekła pani Karolowa, przyznajże sama, czyż można zarówno poważać złych i dobrych? A gdzieżby była naówczas (dodała z niewieścią dumą), nagroda dla nas cnotliwych kobiet, gdyby nas świat nie odróżniał od słabych i przekraczających jego prawa?

— Moja Tereniu, rzekła pani Wojska, gadasz o cnocie, a wiész-że ty, co to cnota?

— Jakto ciotuniu, alboż nie idę jéj drogą? cóż mi zarzucisz w tym względzie?

— Nie mów hop, aż przeskoczysz, moje dziecko, odparła pani Wojska, zwolna zażywając tabaczkę. Cnota, moja Tereniu, to wytrwanie w dobrém, pomimo sprzecznych okoliczności, to zwycięztwo nieraz ciężkie nad samym sobą; cnota, powtarzam, to cierpliwe dźwiganie swego krzyża w znoju i pocie czoła. Taka zaś cnota, co jeszcze nie przeszła żadnéj próby, oj! szerokoć to jeszcze Dawid o niéj pisał.

Pani Karolowa nie odrzekła ani słowa, ale po zapłonioném jéj licu, po poruszeniu drobnych paluszków, któremi kręciła róg chustki, znać było lekką urazę i niezadowolenie.

— Jużciż moja ciotuniu, rzekł Karol, prawda, że moja żona nie miała dotąd czasu przekonać świat o stałości swych zasad, ale przecież i za to co dotąd czyni, ma prawo żądać nagrody.

— Moje dzieci, odparła ciotunia, biada temu, ktoby się oglądał na nagrodę od świata. Cała zapłata leży tu moi kochani, (to mówiąc, wskazała na serce). Bóg za dobre uczynki zsyła swą łaskę jakoby rosę niebieską. Ale pamiętajcie dzieci, że tylko to popłaca u Boga, coście z miłości dla bliźniego uczynili;

inaczéj, cnota wasza będzie jak ów grób pobielany, o którym mówi ewangielia.

— Już to ja widzę, że kochana ciotunia kroi koniecznie na to, żebyśmy przyjęli w domu swoim panią Włodzimierzową, rzekł Karol biorąc tabaczkę z ciotczynéj tabakierki, a ja mam serdeczną ochotę wyjechać jutro rano z żoną na kilka dni z domu, a potém wytłumaczyć się grzecznie, żeśmy nie otrzymali listu z uwiadomieniem o jéj przyjeździe.

— Rób sobie waszmość jak chcesz, mój Karolu, nie jesteś przecie dzieckiem, ba! już ci się mléko pod nosem nie bieli, ale ja wam powiadam: pobłażajcie bliźnim waszym, jeżeli chcecie znaleść pobłażanie u Ojca niebieskiego. Oj! długieć to lata człowiek kołacze się już na świecie, widziało się i to i owo. Pamiętam jak w młodości mojéj, na taki sam własnemi oczami patrzałam wypadek, i przekonałam się, że nie należy nigdy zanadto sobie ufać, bośmy wszyscy słabi i ułomni; a kto pod kim dołki kopie, ten sam najprędzéj w nie wpada.

Karol przewidując jakąś nową dykteryjkę ciotuni, nałożył fajkę; pani Karolowa usiadła przy stoliku z robotą w ręku, oczekując na opowiadanie pani Wojskiéj.

— No, powiédz-że kochana ciotuniu, jak to było? rzekł Karol, może nas i przekonasz.

— Żal się Boże jeno psuć gębę, odparła starowina, wam młodym zdaje się, żeście wszystkie pozjadali rozumy, dlatego żeście z paręset książek przepytlowali; a ja wam powiadam, że żadna książka nie nauczy tyle, co własne doświadczenie.

— Nie przeczę droga ciotuniu, to téż dla tego proszę cię, nie ociągaj się dłużéj.

Pani Wojska zażyła tabaczki ze srebrnéj tabakierki, pomyślała chwilę patrząc w płonący na kominku ogień.

— Owóż powiadam waszmości, rzekła nakoniec, mieszkałam wówczas z nieboszczykiem mężem w Kujawach, pod Kowalem. O granicę od nas mieszkali stolnikostwo Brodzicowie. Zacni to byli ludzie, stolnikowa zwłaszcza, Panie świeć nad jéj duszą, nikomu wody nie zamąciła, jeno do rany przyłożyć kobiecisko. Stolnik także, nie pokrzywdził nikogo, ale miał jednę wadę, za którą tam już zapewne przed sądem boskim odpowiedział. Oto, kochał ci pieniądze nad wszystko; talary pleśniały u niego w okutéj skrzyni, którą trzymał zawsze w sypialni przy łóżku, a jak się przyszło z którym rozstać, to tak mu było

markotno, jakby się z rodzonym bratem żegnał. No, aleć i któż bez ale? to téż stolnik nie dybał na cudze, broń Boże! ale swojego nie rad komu użyczył. Teraz mospanie, nie byłoby i o czém mówić, boć to prawie wszyscy tacy; w młodości hulają, marnotrawią, a na starość skąpią, tam gdzie niepotrzeba; ale przedtém, powiadam, inaczéj mospanie bywało. Jaki taki rad poratował w złéj doli brata albo kuma, a Pan Bóg to jakoś obliczył w sprawiedliwości swojéj i w trójnasób z lichwą odmierzył. Owóż mospanie, stolnik więcéj żył dla siebie jak dla drugich, nie przymierzając, jak wy to teraz wszyscy czynicie. A mieli stolnikostwo trzy śliczne dziewczątka, istne aniołki. Liczka miały jakby malowane, oczki jak tareczki czarniuchne, a takie świecące, jakby dwoje gwiazdek. Włosy miały ciemne jak z jedwabiu, a jak rozpuściły bogate kosy, to aż do stóp im sięgały. Usteczka ich były drobne malinowéj barwy, a ząbki jakby dwa sznurki uryańskich pereł. A wszystkie trzy podobne były do siebie jak trzy krople wody, zwłaszcza dwie młodsze, boć to były bliźnięta. Oj! to téż w domu stolnikostwa gwarno było i wesoło. Młodzież przyjeżdżała jak na lep, boć wiadomo było, że u stolnika skrzynia niepróżna, że co roku przedawało się

kilkaset korcy zboża w Gdańsku, ba, i często gęsto przykupiło się jaką taką wioszczynę. Toć téż i stolnik sam nie wiedząc kiedy z prostego szlachcica jak i drugi wyszedł na pana. A łatwo mu było przyjść do majątku mospanie, bo się umiał dorabiać. Nie tak jak oto teraz waszmoście, co to na lada jakiéj szlacheckiéj fortunce, zaczynacie gospodarstwo od wygalonowanéj liberyi, powozu i mahoniów. U stolnikostwa siedziało się na dębowym stołku, i dobrze było każdemu. I liberya wisiała na kołku w komórce, ale pachołek w niéj chodził przy gościach; jak nie było nikogo, wdziewał siermięgę i wyganiał konie na łąkę, lub pasł trzodę na ugorze. A trzeba waszeci wiedziéć, że jak stolnik pojechał do Warszawy za interesem, to ani złamanego szeląga nie strwonił na darmo. Zajechał prosto jak w dym do ojców Bernardynów, gdzie miał brata gwardyanem. Na drogę poczciwa stolnikowa obładowała mu brykę bigosem, wędliną, chlebem i masłem. Wziął ci jeden i drugi worek obroku, a nawet i siana ile się pomieściło. Słowem, stolnik zanim grosz wydał, to go z dziesięć razy wprzód obejrzał dokoła, powtarzając często, że kto o grosz nie dba, to sam szeląga nie wart. I w gospodarstwie téż stolnik strzegł się wydatków jak

ognia. Mówił on zawsze mospanie, że lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku; i dobrze zaprawdę na tém wychodził. A takie miał szczęście, że mu wszystko, jak to mówią, drzwiami i oknami w dom lazło.

Owóż powiadam waszmości, panny stolnikówny miały niesłychane powodzenie. Jak się pokazały na reducie w Włocławku lub w Kłodawie, co się im często nie zdarzało, to choć i mniéj wystrojone od innych (bo stolnik żałował pieniędzy na fatałaszki), tańcowały przecież do upadłego.

— I cóż w tém dziwnego? kiedy były i piękne i bogate, przerwał Karol. Te dwie rzeczy zawsze popłacały podobno.

— Jużcić uroda jak uroda, ale co pieniądz, to za dawnych czasów nie miał takiego jak dziś waloru. Skromność, potulność, pracowitość, w to mi graj mospanie, te były niewieście zalety, za któremi się młodzież uganiała; ale co za posagiem, to za prawdę nietyle co dzisiaj. Mało téż było wówczas posażnych panien. Bracia zagarniali trzy części ojcowizny, czwarta część przypadała na siostry, choćby tego było i dziesięć. Było to i źle i dobrze; źle, boć przecież i kobieta i mężczyzna zarówno boskie stworzenia, dla czegóż więc takie jéj upośledzenie? Tego podobno

w prawie boskiém nie znajdziesz. Ludzieć to tak nakrzywili do swego widzimisię, boć mocniejsi pisali prawa. Ale z drugiéj strony, było to mówię i dobrze, bo dziewczęta wzrastały z przekonaniem, że się nie ma co oglądać na posag, starały się przeto o nabycie niewieścich zalet, były potulne i skromne. Mężczyzni zaś mając niewiele bogatych, pojmowali i ubogie, i więcéj się w wyborze żony rządzili sercem jak rozumem. Owóż powiadam waści, panny stolnikówny miały kawalerów co nie miara. Jak przyszła niedziela i święto, to aż czarno było na dziedzińcu od kolas; a jaki taki chudzina, to i na człapaku przyjechał, zwłaszcza kiedy miał niedaleko.

Poczciwa stolnikowa nieraz ze łzami obejmowała kolana męża, prosząc go nieboga, żeby pozwolił jechać z dziewczętami na redutę.

— Nie potrzeba moja panno, mówił stolnik, nie przymierzając tłuste cielę to i za piecem znajdą, nie ma co się z tém na targ wozić.

Milczała więc stolnikowa nieboga, boć to ona tak musiała skakać, jak mąż śpiewał, znała respekt mospanie.

Owóż tedy pomiędzy młodzieżą, co bywała w Kurowie, uczęszczał pan sędzic Stobnicki. A tęgi to był

chłopak, jeno skry sypały mu się z oczu. To téż ów pan Jędrzéj, bo tak mu było na imię, ujął za serduszko pannę Barbarę, starszą stolnikównę. Oj! śliczneż to była para zaprawdę, aż się oczy radowały mospanie, jak wywijali razem mazura. On chwat jakich mało, ona potulna jak trusia. Ale stolnikowi nie na rękę przypadły zaloty pana Jędrzeja. Staremu chciało się zięcia bogatego, a przynajmniéj skoligaconego wysoko; sędzic zaś nieborak nie miał się bardzo na co oglądać. Ojciec jego, Panie daj mu niebo, był sędzią grodzkim, ale że urzędował poczciwie jak Bóg przykazał, nie dorobił się wielkich rzeczy, nadto obarczony liczną rodziną, zaledwie że mógł wystarczyć na mnogie domowe potrzeby i na jakie takie wychowanie dzieci, których była łaska Pana Boga, bo aż podobno dziesięcioro.

W owym téż czasie biéda była na młodzież mospanie. Nie było już palestry, jak za dawnych czasów. Do pruskiego wojska jakoś sędzic nie miał ochoty. Siedział więc chudzina przy ojcu i gospodarzył z nim na jednéj wiosce.

Sędzia z swéj strony, równie jak i stolnik, niechętnie patrzał na zaloty syna. Sędzina perswadowała mu po macierzyńsku.

— Co ci tam po tém mój Jędrusiu. Za wysokie to progi na twoje nogi. Dostaniesz jeszcze odkosza, a potém i wstyd ci będzie nieboraku, a jak się to rozgłosi po świecie, to ci i wstręt zrobi u innych dziewcząt.

— Moja matko jedyna, mówił pan Jędrzéj, całując kolana poczciwéj niewiasty, kiedy mi tak serce lgnie, jakoby wosk do panny Barbary. Albo ta, albo żadna.

Matka smutno skłoniła głowę.

— Niech ci tam Pan Bóg dopomaga moje dziecko, mówiła, a łza łzę tylko potrącała, o to majestat boski prosić będę, ale mi się serce kraje, jak sobie pomyślę, żeć to gruszki na wierzbie, mój kochany. Nie będzie z téj mąki chleba.

A jednak biédne matczysko; gdy syn wyjeżdżał na szkapinie do Kurowa, żegnała go krzyżem świętym w powietrzu. Ba, i nawet zabrawszy się z dziewczętami, poszła piechotą do Brdowa, gdzie cudowny obraz Najświętszéj Panny, modlić się na intencyę syna. Ale inaczéj znać chciały wyroki Opatrzności. W Kurowie zjawił się nowy zalotnik mospanie. Nie młody prawda, ale za to bogaty co się zowie. Miał on za Włocławkiem dwie prześliczne wsie nad Wi-

słą, wdowiec, ale bezdzietny. Ze wszystkich trzech stolnikówien, jakoś mu panna Barbara najbardziéj wpadła w oko; bo téż lubo wszystkie podobne były do siebie, ona jednakże była z sióstr najurodziwsza.

Oj pamiętam jak dziś, było to w ostatki; stolnik rad, że Basia wpadła w oko cześnikowi, rozwiązał worek, co mu się nie często zdarzało, a sprowadził był jeszcze zeszłéj wiosny kilka beczek wina z Gdańska, dokąd chodził ze zbożem. Zaprosił więc do siebie całe sąsiedztwo; i ja tam byłam z nieboszczykiem mężem. Bawiliśmy się wyśmienicie, kapela z Włocławka rznęła tęgo od ucha, a my tańcowaliśmy do upadłego. Biédne Basisko tylko było nieboże jakby na torturach. Byłci także i pan sędzic wraz z innemi w Kurowie, boć nie wypadało go żadną miarą wyłączać, zwłaszcza, że rodzice ludziska poczciwi, szanowani byli w sąsiedztwie, i wraz z córkami zaproszeni zostali na ostatki przez stolnikostwo. Jednakże stolnik z ukosa poglądał na pana Jędrzeja, nie dolewał mu wina, choć kieliszek stał przed nim próżniuteńki, i przez całe trzy dni nie wyrzekł do niego ani marnego słowa. Łzy kręciły się w oku nieborakowi, ile razy spojrzał na śliczną Basię, zwłaszcza jak ją cześnik prowadził za rączkę w polskim tańcu. Odbił ci

mu ją wprawdzie kilkakrotnie, a jak kapela zabrzmiała mazura, tańcował z nią nieustannie, podczas gdy cześnik poważną z starszymi panami prowadził rozmowę i spijał starego węgrzyna, którego mu stolnik hojnie dolewał.

— Panno Barbaro, rzekł zcicha do swojéj bogdanki, upatrzywszy sposobną chwilę, z mojego szczęścia nic podobno nie będzie.

— Panu Bogu to tylko wiadomo, odparła zapłoniona Basia półgłosem.

— A jak pannę Barbarę wydadzą rodzice gwałtem za cześnika, to ja pójdę gdzie mnie oczy poniosą, mówił nieborak. Nie darmo téż biją się w obcych krajach, może téż mię pierwsza kula nie minie.

— Nie rób tego na miłość boską panie Jędrzeju, mówiła Basia, blada jak kalina, zakrwawisz jeno serce rodzicielskie.

I łza błyszczała w oku dziewczęcia, serduszko jéj biło, aż się podnosiła lekka chusteczka na jéj piersi.

Pan Jędrzéj jednak zrobił, jak zapowiedział. Jak się tylko rozgłosiło, że stolnik przyrzekł rękę córki cześnikowi, bez względu na jéj łzy i lamenta; w domu sędziostwa równy był płacz i lament, bo Jędruś znikł jak kamfora bez pieprzu.

Oj smutneć to było wesele Basi! a byłam na niém wraz z mężem. Poszła nieboga do ołtarza blada jak śmierć, wyrzekła słowa przysięgi zaledwie dosłyszanym głosem, a gdy ksiądz opat Ołobocki, daleki krewny stolnika, związał stułą jéj rękę z ręką cześnika, gdy włożył niebodze na palec złotą obrączkę, padła jak martwa na stopnie ołtarza, i napół umarłą ponieśli ją drużbowie do rodzicielskiéj landary.

Przyjechawszy do domu, panna młoda wpadła w straszną gorączkę, gadała w malignie cudowne rzeczy. Zabawa nie szła wcale. Daremnie stolnik jak mógł nadrabiał miną, daremnie gości zachęcał do kielicha, wszyscy byli jakby powarzeni. Po obiedzie poszłam ci i ja do choréj Basi; nie poznała mnie nieboga, chociesmy się serdecznie kochały. Aż się serce krajało patrzéć na biédaczkę.

— Jędrzeju! Jędrzeju! gdzie ty jesteś? mówiło biédne dziewczę, pójdź do mnie, pójdź, nie bój się niczego! Twoja Basia już nie żyje. Ojciec zabił mnie własną ręką!

Oko Basi pałało gorączką, krew omało że nie tryskała z jéj twarzy. Sprowadzono doktora, który puścił krew i przystawił do głowy pijawki.

Nazajutrz lepiéj się zrobiło niebodze. Osłabiona tylko była strasznie i blada jak mara z innego świata. Stolnikowa załamywała ręce z boleścią, siostry płakały gorzko.

— Oj nieszczęśliwa moja dola! mówiło biedne matczysko, zmarnieje mi próżno niebożątko; co jéj po majątku i dostatkach, kiedy sobie za nie kupi niedolę całego życia.

W tydzień po weselu wyprawił cześnik sute przenosiny. Stoły uginały się pod zastawą ze srebra. A dworno było i po pańsku w domu cześnika mospanie. Brakło jeno ptasiego mléka. Stolnik rósł jak na drożdżach, patrząc na zamożność zięcia. Stolnikowa jeno pobladła i wzdychała nieboraczka, ilekroć spojrzała na zapłakaną Basię. Młoda cześnikowa drżała jak liść osiny, ile razy zbliżył się do niéj małżonek. A ślicznie było niebodze w błękitnéj sukni z ogonem i w pięknym toczku ze strusiemi piórami. Wszyscy radzi poglądali na jéj nadobną twarzyczkę, jeno że każdemu aż się serce ściskało, widząc smutek wybity na jéj gładkiém czole.

Nieczęsto odtąd widywałam Basię, chyba jak czasem przyjeżdżała na święta do rodziców. Stolnikowa tylko kiedy niekiedy bąknęła mi na ucho, że pan

zięć niebardzo pilnuje żony, że jeździ jeno raz wraz do Warszawy za jakiemiś facyendami, i nigdy w domu miejsca nie zagrzeje.

Cześnikowa blada była zawsze i smutna, jakby lilia, kiedy ją deszcz spłucze i wicher nachyli ku ziemi. Bóg ją jednak pocieszył, bo jéj dał dwoje ślicznych dzieci, chłopczyka i dziewczynkę, a istne to były aniołki, wykapane wizerunki matki. Cześnikowa pieściła je i hodowała po macierzyńsku, nigdy jednak nie dopatrzyłeś wesela w jéj oku, ani serdecznego uśmiechu na ustach.

Kilka lat upłynęło, stolnika powołał Pan Bóg do swéj chwały. Dwie stolnikówny wyszły za mąż wkrótce po siostrze. Stolnikowa mieszkała jak zawsze w Kurowie, odwiedzałam ją często, bo mi żal było osieroconéj nieboraczki.

Wkrótce po śmierci stolnika, dziwne wieści zaczęły krążyć po świecie. Z razu nie chciało się uwierzyć wszystkiemu; aż tu gdy Francuzi weszli do kraju z Napoleonem, trzeba było nareszcie uwierzyć. Oj! byłaż to dopiero radość i wesele w domu sędziego. Pan Jędrzéj powrócił z innemi, widziałam go niezadługo po powrocie; zmężniał, wypiękniał. Ślicznie mu było w ułańskim mundurze z czerwonym kołnie-

rzem i żółtemi wyłogami. Krzyż legii honorowéj błyszczał na jego piersi, a sam cesarz przypiął mu go na polu bitwy. Głęboka tylko szrama, świeży upominek z pod Jeny, przecinała mu na dwoje prawy policzek, ale go to bynajmniéj nie szpeciło, owszem dodawało to męzkiego wyrazu jego twarzy.

Odtąd pan Jędrzéj został w kraju, ale nie chciało mu się opuszczać wojskowéj służby. Ojczysko radeby było zdać gospodarstwo na syna i usunąć się do drugiego małego folwarku; matka pragnęła gorąco ożenić go, a co teraz, toby można było upatrzyć nie lada żonkę, a trzeba wiedziéć waszmości, że pan Jędrzéj miał do kobiet niesłychane szczęście, może i dla tego, że stronił od wszystkich jak od ognia. Na niczém jednak spełzły mątczyne zabiegi, bo syn nie chciał nawet słuchać o żeniaczce i nie chciał porzucić żołnierskiego chleba, który mu dziwnie jakoś przypadł do smaku.

Cześnik tymczasem facyendował to drzewem, to zbożem, a szło mu znać dobrze, bo niezadługo kupił znaczny klucz w czerskiém, niedaleko Góry, po-nad samą Wisłą, dokąd się wraz z żoną i dziećmi niezwłocznie przeprowadził. Biédna cześnikowa coraz bardziéj żyła nieboga samotnie. Mąż bowiem raz na

raz jeździł do Gdańska, to w różne inne miejsca. Nadto przesiadywał często w dobrach swoich w Kujawach. Żal mi było okrutnie biednéj stolnikowéj, która oblewała się łzami, aż łza łzę potrącała na każde wspomnienie najstarszéj córki.

— Mój Boże! mówiła zacna niewiasta, cześnik wywiózł mi niebożątko w dalekie okolice, i sam nie patrzy domu, jeno wdaje się w jakieś tam frymarki i facyendy. Potrzebne to rzeczy dla szlachcica? żydom zostawićby lepiéj takie rzeczy. Basisko i życiem jeszcze gotowe przypłacić wielkie państwo. Oj! nie miałam ci ja instynktu do tego człowieka! mówiła matka ze łzami, i gdyby nie wola nieboszczyka męża, nigdybym mu była Basi nie dała.

Pocieszałam niebogę jak mogłam, odwiedzałam ją coraz częściéj w Kurowie, ale ciężko było ukoić srodze zakrwawione macierzyńskie jéj serce. A cóż dopiero, jak się rozpoczęła wojna 1809 roku! Wszelka styczność stolnikowéj z córką przerwała się na długo. Listy nawet nie dochodziły wcale.

Oj ta wojna! ta wojna! mówiła daléj ciotunia zażywszy tabaki i podsunąwszy tabakierkę słuchającemu pilnie Karolowi. Oj! ta wojna ciężką była dla bié-

dnéj Basi. Bóg srogą zesłał na nią próbę; ale idźmyż porządkiem do rzeczy.

Cześnik wyjechał był z domu na długo, cześnikowa została sama z dziećmi. Owóż wyobraź sobie waszmość, co się działo z biédną kobietą. Wojsko nieprzyjacielskie włokło się nieustannie przez Zagórze (tak się nazywała wieś, w któréj mieszkała). Raz na raz nakazywano podwody i liwerunki; biédne kobiecisko opędzało się jak mogło. Nakoniec jakby na dobitek, huk armat dnia jednego odezwał się w pobliżu; cześnikowa przerażona przytuliła do siebie dzieciny, uklękła wraz z niemi w sypialni przed obrazem Matki Najświętszéj Częstochowskiéj, i modliła się gorąco. Wtém hałas powstał na dworze, cześnikowa porwała się z ziemi, pobiegła do przyległego pokoju, dzieciska z płaczem trzymały się jéj sukni. Kiedy, słuchaj oto waszmość, otworzyły się drzwi sieni, i dwóch żołnierzy wniosło na noszach ciężko rannego człowieka. Był to znać wojskowy wyższéj rangi, widać to było po szlifach. Krzyż legii honorowéj błyszczał mu na piersiach. Ranny nie okazywał żadnego znaku życia, blady był i posiniały, istny trup, krew lała się strumieniem z przestrzelonego boku. Cześnikowa drżała jak liść osiny, nie straciła jednak

ducha w stanowczéj chwili, sama własną ręką rozpięła mundur rannego, nie przypatrzywszy się nawet jego twarzy, któréj śmiertelna bladość za pierwszym rzutem przeraziła ją strasznie. Zabrała się do obmycia rany zimną wodą, gdy wtém nadbiegł chirurg pułkowy, i opatrzył chorego jak należy.

Po chwili ranny odzyskał zmysły, nie wiedział jednak, co się do koła niego dzieje; przeniesiono go ostrożnie na wygodne łoże, a poczciwa cześnikowa czuwała nad nim, jak anioł nad dobrą duszą, nie pytając nawet o jego nazwisko.

Wkrótce potém ucichły działa, kilku jeszcze rannych żołnierzy przyniesiono do zagórskiego dworu, gdzie wszyscy znaleźli rychłą pomoc i wygodę. Samym wieczorem gorączka przystąpiła do rannego, zaczął mówić od rzeczy piąte przez dziesiąte. Cześnikowa zaglądała do niego nieustannie.

Wyszła właśnie z pokoju, aby położyć spać i utulić dzieciny. W jadalnéj sali, którędy przechodziła do sypialni, żołnierze nałożyli ogień na komin i grzeli sobie piwo.

— Oj! szkodać to, szkoda naszego kapitana, mówił jeden. A dzielny to był i bitny wojak; toć téż przyszła kréska i na niego.

— Chirurg powiada, że z niego pono nic nie będzie, mówił drugi.

— Ej gadacie, gadacie, rzekł trzeci, kapitan nasz chwat, nie da się śmierci, jako żywo.

— Oj bracie! przerwał pierwszy, licha się tam kto wykpi od Kostusi, jak naostrzy na niego kosę. A szkoda, szkoda, jak mi Bóg miły, boć podobno nie było i nie będzie wojaka, jak nasz kapitan Stobnicki.

Cześnikowa zatrzymała się nieco, słuchając gawędy żołnierskiéj, Usłyszawszy dobrze znane nazwisko, stanęła jak wryta, nogi zachwiały się pod niebogą.

Zebrała nareszcie całą siłę, poszła do sypialni, utuliła drobne dzieci, sama zaś biédaczka upadła na kolana przed obrazem Najświętszéj Panny. Modliła się długo, gorąco, myśli wirem kręciły się w jéj głowie, we dworze ucichło wszystko, jakby makiem zasiał. Padła w ubraniu na łóżko, ale sen nie skleił powiek biédaczki. O świcie wstała, pomyślała chwilę co czynić, nareszcie cicho, ostrożnie, poszła do pokoju chorego. Chirurg zasypiał smaczno nierozebrany na kanapie. Pan Jędrzéj, bo to był on, zasnął także spokojniejszy niż z wieczora. Gorączka opuściła go nieco, lica jego raziły śmiertelną bladością.

Cześnikowéj serce biło jakby młotem, świéca pa-

liła się w kącie pokoju i słabo oświecała twarz chorego. Spojrzała na niego nieśmiało, i łzy potokiem puściły się z oczów niebogi, gdy poznała dobrze znajomą twarz pana Jędrzeja.

Ale jabym tu gawędziła do jutra, rzekła ciotunia zażywając tabaczki, żebym się tak chciała nad wszystkiém zastanawiać Owóż mospanie, koniec końcem, pan Jędrzéj wyzdrowiał w miesiąc potém. Cześnik tymczasem wrócił do domu, a ponieważ jakiś ważny interes wzywał go do Warszawy, wyjechał z Zagórza, zostawiwszy żonę z dziećmi w towarzystwie kapitana, który jakkolwiek zdrowszy, nie mógł jeszcze wychodzić z pokoju.

Djabeł nie śpi mospanie, rzecz wiadoma. Oj! nie zaspał ci na biédę cześnikowéj. Panu Jędrzejowi téż, Panie odpuść, rozum obcy zajechał do głowy. Nowy kodeks pozwalał na rozwód; owóż mówię waszmości, jak jął jéj perswadować, gadać, namawiać, tak téż skłonił niebogę, że jéj się zachciało zmienić męża, ot tak nie przymierzając, jak się zmienia suknię albo kapelusz.

— Jużciż moja ciotuniu, lepiéj przecie, że się rozwiodła z cześnikiem, jakby miała marnować życie we łzach i tęsknocie, rzekł Karol.

— Panu Bogu to tylko wiadomo co lepiéj, mój kochany, sprawiedliwość Jego inna, niżeli mylne sądy ludzkie. Mnie się jednak widzi, że przysięga zawsze przysięgą, zawsze ją szanować należy, czy dobrowolna, czy nie. Nie będziesz brał imienia Pańskiego nadaremnie, mówi drugie przykazanie Boże. A nadewszystko szkodać było dziecisków niebożątek, co jeno Bogu duszę były winne, a przecież największa im ztąd dopiekła biéda.

Byłam właśnie w Kurowie u nieboszczki stolnikowéj, kiedy przyjechała do niéj cześnikowa, ze swoją małą Fruzią. Syna mąż oddał był do szkół do Warszawy. Upadła nieboga do nóg matce jak długa. Zacnéj stolnikowéj nie chciało się w głowie pomieścić jak to można opuścić męża.

— Moje dziecko, mówiła czcigodna niewiasta, złą obrałaś drogę, nie znajdziesz na niéj błogosławieństwa boskiego.

— Matko kochana, mówiła cześnikowa zastanów się jeno, przecież i kodeks nie broni rozwodu; a potém wiész dobrze, że nie poszłam za mąż z dobréj woli.

— Co tam kodeks moje dziecko, mówiła zacna matka, sumienie, to najpierwszy kodeks, tego prze-

dewszystkiém słuchać należy, a to pewnie ci nie chwali twojego postępku.

— Przecież, matko droga, każdemu na świecie należy się trochę szczęścia; a ja, czyżem go zakosztowała choćby odrobinę? Sama jesteś świadkiem matko!

— Moje dziecko, odparła stolnikowa, jedno jest tylko szczęście na ziemi, a tém jest świadectwo owego głosu, co ci powiada, żeś wypełniła to, co do ciebie należy.

— Co się stało, już się nie odstanie, matko jedyna, mówiła znów cześnikowa, ściskając macierzyńskie kolana. Mój mąż podpisał się na wszystko, jużby mnie nie przyjął, choćbym chciała do niego powrócić. O matko! matko! nie odpychaj mię od swego łona!

— A te biedne sieroty? rzekła stolnikowa z ciężkiém westchnieniem.

— Jasia mąż bierze na opiekę, oddał go właśnie do księży Pijarów, Franią ja się będę opiekować.

— Pięknyż to przykład dla dzieci! mówiła matka, biedne sieroty!...

Koniec końcem, mówię waszmości, póty biédna cześnikowa płakała i molestowała, aż się stolnikowa

dała nakoniec zmiękczyć. Nie chwaliłać ona nigdy postępku córki, ale ot, tak jak zwyczajna matka przebaczyła, i przygarnęła niebogę do siebie. Rozwód postępował spiesznie, już się skończył w pierwszéj instancyi, kiedy jednego razu pan Jędrzéj przyjechał do Kurowa.

Stolnikowa zrazu krzywo poglądała na niego, aleć na łzy i prośby córki ułagodziła się nakoniec. Z resztą, cóż było już robić? Jedyny sposób zamknięcia ludziom gęby, było małżeństwo cześnikowéj z kapitanem.

— Dobrze to wszystko ciotuniu, przerwał Karol biorąc tabaczkę z ciotczynéj tabakierki, aleć cóż to ma za związek z naszą panią Włodzimierzową?

— A cóżeś to waszeć w gorącéj wodzie kąpany? powoli, powoli wyjaśni się wszystko. Właśnie teraz przystępuję do rzeczy. Owóż mówię waszmości, cześnikowa zamieszkała przy matce, odżyła niebogа jakby kwiat na wiosnę, rumieniec znów zakraśniał na jéj okrągłéj twarzyczce, oczy świeciły jakby dwie gwiazdy, i była niemal tak ładna, jak owa niegdyś panna Barbara. Pan Jędrzéj się téż dosłużył pułkownikowskiéj rangi, i często gęsto zaglądał do Kurowa. Wówczas to właśnie żenił się kasztelanic

rawski z panną wojewodzianką brzeską. Oj! byłoż to dopiero wesele! gości zaproszono co niemiara, więcéj nawet, niżeli mógł pomieścić dom wojewody. Pani stolnikowa zaproszoną była z córką: z razu jechać nie chciały obiedwie, ale jak pułkownik jął prosić i namawiać, jak przyjechały do Kurowa dwie młodsze córki stolnikowéj, skłoniły ją nakoniec, że się wybierać poczęła do Brześcia. Pamiętam jak dziś, jeździłam właśnie z mężem do Warszawy. Cześnikowa prosiła mnie o kupienie potrzebnych strojów. Pułkownik chodził ze mną do sklepów i wybrał sam prześliczną suknię dla swojéj bogdanki, z którą radby się był poszczycić przed światem. Stroje kazałam porobić u Lida. Dla cześnikowéj kupiłam prześliczny kapelusik biały, podpięty wieńcem z drobnych różyczek. Oj! ślicznież jéj téż było, ślicznie, wszystkich oczy zwróciły się na nią, jak weszła do sali. Pułkownik ledwie że nie szalał z radości, aleć krótka to była uciecha. Owóż mospanie, nie wszyscy dobrém okiem patrzyli na cześnikową. Znalazły się i takie kobiety, coby ją i w łyżce wody utopić chciały, między innemi była tam starościna Rokitnicka wielka magnatka mospanie, z córką swoją młodą jenerałową Q. Cześnikowa wpadła im w oko. Jenerałowa

pożółkła aż ze złości, i aż przygryzała złośliwie usta, patrząc na hołdy składane ślicznéj Basi. Usiadła przy matce zasępiona, i przymrużywszy oczu, przypatrywała się przez szkiełko tańcującym. Ją jakby na przekorę nikt nie wziął do mazura, i nic dziwnego, bo téż była sucha i sztywna, a nadewszystko złość malowała się w jéj zielonkowatych oczkach, jakby u gadziny.

Cześnikowa tańczyła z pułkownikiem, po skończonym mazurze, pułkownik widząc próżne miejsca, przyprowadził ją i posadził obok jenerałowéj. Ona zmierzyła od stóp do głów biedną cześnikowę, i wzrokiem żmii patrzała na nią raz po raz z szyderczym usmiechem; powstała nakoniec z dumą, i usiadła po drugiéj stronie matki na kanapie.

— Czy to słychane rzeczy, moja matko, rzekła i niby zcicha, tak jednak, żeby mogła być dobrze usłyszaną, czy to wypada, żeby podobne kobiety przyjmować w porządnym domu? wojewoda chyba stracił głowę.

— Zapewne moje dziecko, muszę mu téż za to dobry pater noster powiedziéć, rzekła matka, niech mi się tylko nadarzy sposobność po temu!

— Jakaż to zniewaga dla nas cnotliwych, którym świat nie ma nic do zarzucenia, przerwała córka, żeby nas mieszać z takiemi awanturnicami! Gdzież nagroda za nasze poświęcenie?

— Jeżeli społeczeństwo tolerować będzie podobne bezprawia, rzekła matka, to wszystko się rozprzęże i upadnie. Dla dobra powszechnego powinniśmy być surowi w tym względzie.

— Bo powiédz tylko mama, jak to można zapomniéć się do tego stopnia, zupełnie tego nie rozumiem, opuścić męża, złamać przysięgę, mając do tego dzieci, to wstyd, hańba, sromota. Jabym tego nigdy nie zrobiła, gdyby mi przyszło nie wiedziéć jak cierpiéć.

Gdy tak rozmawiały między sobą, biedna cześnikowa to bladła, to rumieniła się, istny cudowny obraz. Chciała nieboga wstać, ale nie miała siły, nogi chwiały się pod nią i trzęsły. A trzeba waszmości wiedziéć, że niedaleko jenerałowéj, ku drzwiom, stał młody wojskowy, przyjaciel i kolega pułkownika. Było mu na imię pan Kalasanty, ba i tak ci go wszyscy nazywali. Owóż pan Kalasanty uważał dobrze każde słowo jenerałowéj i jéj matki. Przygryzł usta ze złości, bo kochał serdecznie pułkownika.

A gdy się jenerałowa zaczęła odrzekać, żeby tak sobie nigdy a nigdy nie postąpiła, uśmiechnął się złośliwie, skinął głową i pomyślał w duchu: „poczekaj, zjész ty licha, zawsze to tak bywało, że która się najbardziéj odrzeka, to ma najgorszego djabła za skórą“. A trzeba waszmości wiedziéć, dodała ciotunia zażywszy znów tabaczki, że pan Kalasanty śliczny był chłopak, a nie miał więcéj nad lat dwadzieścia i parę. Twarz jego, była to istna krew z mlékiem. Oczy miał modre, duże, brew ciemną, wydatną, wąsik ciemny zakręcał się prześlicznie po-nad rumianemi ustami. Włosy ciemne wiły się w pierścienie nad gładkiém czołem, nie przymierzając jakby u cherubinka. A takie miał szczęście do dziewcząt, że jak do któréj zaczął smalić cholewki, to już było po niéj, jakby ją czary urzekły, albo złe nawiedziło. Oj! znał ci to do siebie pan Kalasanty, i nie raz, Panie odpuść, nadużywał onych bożych darów, co i niekoniecznie było dobrze, bo zakłócił pokój nie jednego dziewiczego serduszka.

Owóż mospanie, po owym mazurze, kapela zagrzmiała polskiego. Mój Kalasanty niewiele myśląc, prosto jak w dym do jenerałowéj. A jak zaczął jéj szeptać na ucho, ściskać rączki, tak i owa, Panie od-

puść, niezdobyta baszta, zwolniała jakoś okrutnie. Czy się tam rumieniła czy nie, tegoby nikt nie widział, bo różu miała grubo na palec na twarzy; ale oczy jéj zawsze pochmurzone, latały jak błyskawice, a usta uśmiechając się, odkrywały czarne popruchniałe zęby. A trafiłoć się to niebodze, nie przymierzając jak ślepéj kurze ziarno, bo za zwyczaj nikt na nią i nie zważał, kiedy tyle było i urodniejszych i milszych.

Powiadam tedy waszmości, że pan Kalasanty cały wieczór nie odstępował jenerałowéj. Różni różnie o tém mówili; jednym się zdawało, że mu idzie o prędki awans, który zależał od męża jéj jenerała, mnie saméj, Panie odpuść, nieswiadoméj rzeczy, uwidziło się, że pański ton jenerałowéj ułudził nieboraka, i że rad był, iż tak wielka pani, a do tego familiantka raczyła spojrzéć na niego. Aż tu pan Kalasanty co innego miał w głowie.

Biédna cześnikowa tymczasem, jak się wszycy ruszyli do tańca, wysunęła się z młodszą siostrą do drugiego pokoju. Rozpłakało się niebożątko, chciało nie czekając odjechać do domu, aż wreszcie pułkownik uwiadomiony o wszystkiém, potrafił ją przekonać.

— Co ci tam Basiu idzie o ludzkie gadanie, mó-

wił, całując białe jéj rączęta. Wiész, że cię kocham nad życie, i ty kochasz mnie nawzajem, pobierzemy się jeno rozwód skończy, i zamkniemy wszystkim usta. Cześnikowéj trafiły jakoś do serca słowa pułkownika, otarła oczy, wróciła do sali i całą noc tańcowała do upadłego, uciekając tylko jak od ognia od jenerałowéj i jéj matki.

Jenerałowa téż zapomniała o cześnikowéj, bo i nie miała czasu o niéj pomyśléć, bo pan Kalasanty zamawiał ją do wszystkich tańców, ścigał ją okiem bez ustanku i szeptał jéj coś zawsze na ucho.

Przez trzy dni trwał festyn u wojewody, bawiliśmy się przewybornie, a jenerałowa pewnie nie gorzéj od drugich. Stary jenerał tymczasem grał w karty i spijał zapleśniałego węgrzyna, spokojny o żonę, boć jéj się dotąd nigdy nie trafiło popełnić żadnéj płochości, (Panie odpuść, mówiąc między nami, dopóki się nie zdarzyła okazya). Nikt mu téż nie bąknął ani słowa, boć to rzecz wiadoma, że o takich rzeczach mężowie najpóźniéj się dowiadują. Niedługo téż po weselu w Brześciu, cześnikowa dostała rozwód i stanęła na ślubnym kobiercu obok pułkownika. Płakała nieboga okrutnie przy ślubie, i nic dziwnego, boć przecież sumienie musiało się jakoś ode-

zwać. Nie było nikogo na weselu w Kurowie oprócz najbliższych krewnych i nas, którzyśmy w wielkiéj z stolnikową byli zażyłości. Stary sędzia, ojciec Jędrzeja, kręcił tylko głową, powtarzając niekiedy, „Mater Dei, dobrzeć to wszystko, ale tak się nie godzi“. Sędzina modliła się gorąco za pomyślność ukochanego syna. Stolnikowa nie domagała jakoś, i łzy ustawicznie kręciły się niebodze. Mnie saméj serce ścisnęło się, bom w tém wszystkiém nietęgą widziała wróżbę na przyszłość nowożeńców. Oj! sprawdziłyć się sprawdziły obawy wszystkich, boć to Pan Bóg żartować z siebie nie pozwala. Ale potém o tém.

— No, ale cóż się stało z jenerałową? zapytał ciekawie pan Karol, bo mi się jakoś zdaje, że ten pan Kalasanty, to łotr wierutny, pewno z niéj sobie zażartował.

— Nie inaczéj, odparła ciotunia dobywając tabakierkę. Owóż powiadam waści, po weselu u wojewody, jeneralstwo i starościna wyjechały do Warszawy; pan Kalasanty udał się także do pułku, który konsystował w stolicy. Zaczął więc często gęsto odwiedzać dom jenerała, a gdy rozamorował należycie jenerałowę, przestał bywać, jakby uciął. Jenerałowa płakała, lamentowała, aż zrzuciwszy pychę z ser-

ca, napisała czuły liścik do swego bogdana, wymawiając mu, że ją zaniedbuje. Ależ wystawcie sobie jéj zdziwienie, gdy zamiast czułéj odpowiedzi odebrała tylko kilka słów napisanych ręką pana Kalasantego:

„Kto pod kim dołki kopie, to sam w nie wpada; przypomnij sobie pani wesele u wojewody i własne zarzekanie, żebyś sobie nigdy tak nie postąpiła jak cześnikowa. Chciałem się przekonać, czy to wszystko prawda. A teraz gdy się dowiedziałem o co mi chodziło, żegnam panią, zostając jéj najniższym sługą

Kalasanty.“

— Dobrze jéj tak, przerwał śmiejąc się głośno Karol, pani Karolowa położyła robotę i uśmiechała się od niechcenia.

— Aha! widzicie, rzekła podchwytując ciotunia, a dopiero co nie chcieliście przyjąć do domu pani Włodzimiérzowéj. Terenia odezwała się istnie jak jenerałowa.

— No, jakoż wierz mi moja ciotuniu, rzekła młoda kobieta zbliżając się do kominka, żebym sobie nie postąpiła tak jak ona, choćby mi tu stu panów Kalasantych stanęło przed oczyma.

— Djabeł nie śpi moja żonko, już jabym tam ani jednego nie rad wpuścił do domu; strzeżonego Pan

Bóg strzeże, rzekł z uśmiechem pan Karol, obejmując kibić nadobnéj Tereni.

Ona pogroziła mu zlekka bieluchnym i delikatnym paluszkiem.

— Żart na stronę moje dzieci, mówiła ciotunia częstując oboje tabaczką, nie odrzekajcie się nigdy niczego, o jedno prosić Boga, żeby was strzegł w swém miłosierdziu. A nadewszyztko nie wyrokujcie zbyt ostro o bliźnim: wszelkie sądy zostawić Bogu, sami zaś miejcie w sercu miłość i pobłażanie dla słabych.

— Oj! zapewne, zapewne ciotuniu, rzekła młoda kobieta, już ja jutro nie wyjadę z domu..... Nieprawdaż Karolu?

— Zapewne, droga Tereniu, słuchajmy ciotuni, bo ona zawsze dobrze radzi.

— Nie darmom téż zjadła zęby, moje kochane dzieci, ocierając się o świat i ludzi.

— No, ale cóż się stało z pułkownikiem i jego żoną? zapytał Karol.

— Ha, żylić zgodnie i szczęśliwie, odparła pani Wojska z westchnieniem. Cóż, kiedy niedługo, bo jeno rok niespełna; nadeszła pamiętna zima dwunastego roku. Pułkownik ruszył z wojskiem mospanie,

żona została u matki z maleńkiém dzieckiem u piersi. Oj! płakała nieboga krwawemi łzami, kiedy się mąż oddalił. A widywałam ją często, bo mi żal jéj było okrutnie. Jeździłam więc raz wraz do Kurowa.

Dnia jednego, było to w zimie, przyniesiono list z poczty, pod adresem stolnikowéj; pisany był z Wilna. Stolnikowa dla słabości oczów, sama czytać nie mogła. Pułkownikowa karmiła wówczas swego małego Adasia. Zbladła śmiertelnie, ujrzawszy, jakby ostrzeżona jakiémś złém przeczuciem. Stolnikowa prosiła mnie, żebym list głośno przeczytała. Złamałam pieczątkę, spojrzałam na podpis, byłto list od pana Kalasantego: przebiegłam go w myśli oczyma. Zbladłam jak trup i upuściłam list na ziemię.

Pułkownikowa położyła dziecię w kołyskę, sama zaś drżąc jak liść, uklękła przed obrazem Boga Rodzicy.

— Matko Boża! dodaj mi siły i odwagi, niech zniosę mężnie nieszczęście, zawołała na głos. Uchylam głowę przed wolą Przedwiecznego, bom zasłużyła na ciężką dolę, jaką mi przeznaczył.

— Jużem na wszystko przygotowana, rzekła zwracając się do mnie, powiédz pani, wszak mąż mój nie żyje.

— Tak, nie żyje, odparłam zaledwie dosłyszanym głosem.

List bowiem pana Kalasantego zawierał uwiadomienie, że pierwsza kula pod Berezyną, przeszyła pierś dzielnego pułkownika.

— Biedna, biedna, rzekła pani Karolowa, ocierając łzę spływającą ukradkiem z jéj oka.

— A zniosła téż ona nieszczęście prawdziwie po chrześciańsku, ciągnęła daléj pani Wojska. Święta to była niewiasta zaprawdę. Zbłądziła, jako żywo, nie ma co mówić przeciw temu, ale téż życiem dalszém okupiła błąd jedyny. Wychowała dziatki Panu Bogu na chwałę, ludziom na pożytek. Świat widząc jéj cnoty, zapomniał dawnéj słabości, a kiedy kilka lat temu pobożnie skonała na mém ręku, to zjednoczone głosy wszystkich oddały jéj sprawiedliwość, a Bóg przyjął ją pewno na swe łono w niezmierzoném swojém miłosierdziu.

Dziesiąta godzina wybiła, pani Wojska powstała i czule ścisnęła bratanka i jego młodą żonę, którzy stanowczo zaniechali zamiaru wyjechania z domu nazajutrz.

— Tak, nie żyje, odparłam zaledwie dosłyszanym głosem.

List bowiem pana Kalasantego zawierał uwiadomienie, że pierwsza kula pod Berezyną, przeszyła pierś dzielnego pułkownika.

— Biedny, biedna matka, rzekła pani Karolowa, ocierając łzę wytryskającą chusteczkiem z jękiem. — Została ona — A została tak nieszczęśliwie prawdziwą podobnie matką, ciągnęła dalej pani Wojska. Święta to była niewiasta zaprawdę! — Zdradzała, jako żywo, nic nie co mogłoby przeczyć temu, ale też życiem dalszém okazała, jaką była. Wychowała dzieci Pana Boga na chwałę, oddawszy na wszystek świat wielką jéj cnotę, wspomniał dawnej słabości, a kiedy kilka lat temu podobnie skonała na moich rękach, to zgromadzone głosy wszystkich oddały jéj sprawiedliwość, a Bóg przyjął ją pewnie na swe łono w niezmierzoném swojém miłosierdziu.

Wybiła godzina wyjazdu, pani Wojska powstała i zaczęła żegnać swą ukochaną matkę, która starannie zawiązali w tobołki z domu za szafą.

III.

JAK TO DAWNIÉJ BYWAŁO.

GAWĘDA CIOTUNI.

JAK TO DAWNIÉJ BYWAŁO.

GAWĘDA CIOTUNI.

Oj wesele, wesele! i wy powiadacie, że to wesele? mówiła pani Wojska, potrząsając głową i kręcąc w ręku srebrną tabakierką, która ją ani na chwilę nie odstępowała. Jużciż ślub jak ślub, toć się i odbył co prawda, ale co wesela, to tam jak Bóg na niebie, nie było ani odrobinki.

— Moja ciotuniu, odrzekł pan Karol, znasz mnie przecież z téj strony, że niekoniecznie lubię ganić dawne rzeczy, dlatego że dawne, ale przyznaj tylko sama, czy potrzebne były owe zjazdy, biesiady i uczty, co to niekiedy trwały przeszło tydzień, i to w tak ważnéj i uroczystéj w życiu chwili, jak zawarcie sa-

kramentu małżeństwa? Biedni państwo młodzi, czując zwrócone na siebie oczy obcych, wśród wrzawy i zgiełku, nie mieli nawet czasu zastanowić się dostatecznie i objąć myślą nowe obowiązki, jakie zaciągnąć mieli nawzajem względem siebie i świata.

— Rychło wczas zastanawiać się przystępując do ołtarza, rzekła ciotunia zażywając tabaczkę i otrząsając z niéj palce. A potém, mój kochany, dawniéj ludzie mniéj się może zastanawiali, mniéj roztrząsali każdą rzecz, ale za to więcéj czynili, jako żywo! Nie mówili wprawdzie wiele o obowiązkach, ale je pełnili święcie i sumiennie, nie potrzebowali szukać w pamięci, a tém bardziéj w książce, reguły postępowania; ale zakon boży nosili w sercu wypisany złotemi zgłoskami.

— A jednakże, moja ciotuniu, rzekł pan Karol z uśmiechem, tak dawniéj jak i teraz, nie wszyscy trzymali się podobno prostéj drogi.

— Ba, mój kochany, odparła pani Wojska, ludzie zawsze ludźmi, słabi i nieudolni jak trzcina, ale zaprawdę, dodała poważniéj. dawniéj w błędach nawet i ułomnościach, była jakaś strona serdeczna i poczciwa, toć je téż Pan Bóg odpuszczał nieraz w mi-

łosierdziu swojém, a teraz podobno nie dopatrzyłby owéj poczciwości w mniemanych cnotach waszych.

— Jużciż moja ciotuniu, złe zawsze złém, a dobre dobrém, i nie wchodząc jakie pobudki wiodą nas do uniknienia pierwszego, a pełnienia drugiego, skutek zawsze pomyślny, jeśli się ludzie poprawią.

— Ej, mój kochany, długoby o tém mówić. Bóg wszechmogący sam to kiedyś osądzi w sprawiedliwości swojéj. Mnie się jednako w głowie pomieścić nie może, żeby Pan Bóg miał miłém okiem poglądać na ów chłód, co tak obwiał ziemię, że aż serca pokrzepły ludziom w piersi; a jeżeli tak daléj będzie, toć zaprawdę skamienieją istnie jakby bryły lodu, chyba że Duch święty spuści na ziemię promień swéj łaski, i roznieci znowu zagasłe ognisko.

— Nie tak ci jeszcze źle na świecie, jak myślisz ciotuniu, przerwał pan Karol, jeszcze związki rodzinne bywają czczone i szanowane, a iskierka miłości bliźniego kryje się jeszcze pod popiołem.

— Tak, to też baczcie pilnie, żeby jéj popiół nie przydusił. Ależ wy ślepi, sami dążycie do zguby, jakby was kto popychał.

— A toż jakim sposobem ciotuniu?

— Jakim? Oto żyjecie sami w sobie, skryci i zawarci, jakbyście się wstydzili, że wam Pan Bóg zachował jeszcze odrobinę serca: oto uciekacie jak od ognia od ludzi, braci waszych, i pysznicie się niebaczni, że potraficie sobie wystarczyć lepiéj niż ojcowie wasi, którzy w prostocie ducha szukali się nawzajem, to na butelczynę, to na pogadankę, to aby się podzielić smutkiem i radością. Teraz oto ścieżki pozarastały chwastem do domostw waszych, a wy cieszycie się nieoględni i nazywacie to postępem!

— Co to, to prawda kochana ciotuniu, rzekł pan Karol, że wolę książkę, jak lada jakie towarzystwo.

— O! tak, książkę, książkę, pomrukiwała pani Wojska, teraz cały rozum przeszedł w książki, a ustąpił z życia. Dawniejsi ludzie nie ślepli tak jak dziś nad księgami, nie tyle co wy napsuli papieru i atramentu, ale za to lepiéj od was umieli czytać w owéj wielkiéj księdze mądrości, którą Bóg napisał dla wszystkich, w któréj każdy człowiek osobną jest zgłoską.

— Nie wieleby moja ciociu i w tych zgłoskach wyczytać dziś można, szkoda czasu i atłasu, jak mówi dawne przysłowie. Choćby człowiek i zapragnął żyć z ludźmi, to i z kimże żyć będzie? Weźmy oto

naszą okolicę. Szlachta Bogu duszę winna, poczciwi prostaczkowie, ale ubodzy na duchu, aż litość bierze; panowie pseudo-magnaci dmą aż strach, trudno się zdobyć na odwagę, aby przestąpić ich wysokie progi; kto się znów własną pracą jakiéj takiéj dorobił fortunki, sam nie wié jaką ma odgrywać rolę; zbytki, przesada, próżność, i nic więcéj! Nie lepiéj-że w domu siedzieć i żartować sobie ze świata?

— Oj! nie lepiéj, nie lepiéj, mój kochany, odparła ciotunia. I dawniéj bywało złe zaprawdę, i dawniéj ludzie nie byli doskonali, jeno że snadniéj przebaczali sobie nawzajem drobne wady, bo mieli w sercu więcéj pobłażania i miłości. Teraz oto każdy, jak mówi pismo święte, widzi belkę w oku bliźniego, a nie rad dopatrzyć źdźbła w własnéj źrenicy. Nikt dziś nie troszczy się o drugich, i nie chce nawzajem, aby się o niego troszczono, bo to wiek postępu, oświaty, każdy sobie wystarcza. Żyjem więc jak żółwie albo ślimaki w swojéj skorupie, i nic dziwnego, żywie Bóg, że miłość święta gaśnie między wami, bo zaprawdę, nie wypadnie iskra z krzemienia, póki go nie trącisz o stalkę, a nie obudzisz miłości w sercu, jeno przez starcie z ludźmi, braćmi twemi.

Pan Karol westchnął i milczał głęboko. Pani Woj-

ska otworzyła srebrną tabakierkę, uśmiechnęła się złośliwie, spojrzała z pod oka na bratanka i podała mu do zażycia tabaczki. Pan Karol zażył ją z roztargnieniem.

— I cóż wasze na to? rzekła starowina, będzieszże jeszcze gadał na wesela? A co, czy nie potrzebne były owe zjazdy i biesiady, gdzie to kum z kumem, przyjaciel z przyjacielem, zobaczył się i nacieszył po długiém niewidzeniu, i odświeżył serce radością i weselem, jakoby rosą niebieską! A choć się tam co prawda, nie obyło niekiedy bez zwady i obrazy boskiéj, toć jednak Bóg snadno przebaczał, bo jako żywo, więcéj zawsze ztąd wynikło dobrego niż złego.

— Moja ciotuniu, odparł pan Karol, jak woda wstecz nie popłynie, tak téż nie powrócą dawne obyczaje; a choćby je człowiek naśladował, nie na wiele by się dziś przydało. Dobre były, przypuszczam, zjazdy i uczty w swoim czasie, ale dziś co z nich komu przyjdzie? Niechże się dziś zjedzie sąsiedztwo, cóż robią? oto zgrywają się w karty nawzajem, mierzą się okiem złośliwie, przyganiają sobie zcicha, każdy myśli tylko o tém, żeby się samemu w najkorzystniejszém ukazać świetle, żeby własnym blaskiem olśnić i upokorzyć drugiego. W oczy przesadzają się

wszyscy na jedwabne słówka, z boku zaś szarpią się bez litości; słowem, odgrywają istną komedyę, z któréj ani nikt nic nie nauczy, ani się téż nią bynajmniéj nie zabawi. Nie lepiéj-że więc ciotuniu pilnować własnego komina, jak Bóg przykazał, aniżeli zajadać cudze trufle i pasztety, spijać szampana, a wraz z niemi połykać nudy, a nieraz i upokorzenie?

— Mój Karolu, rzekła ciotka, wszyscy teraz narzekacie na nudy, a dlaczego? oto, boście się pozbyli świętéj prostoty w sercach waszych. Oj! ciężko ręka boża zawisła nad wami, moje dziecko, bo wam zakryła owo niewyczerpane źródło niewinnéj radości, jedynéj pociechy w trudach i troskach żywota.

— Oj! prawda, prawda ciotuniu, przerwał Karol z zapałem, ale i cóż czynić, żeby otworzyć znów ów strumień żywéj wody, któréj brak tak dotkliwie czuć się już daje?

— Chwalić Boga moje dziecko, uczynkiem i słowy, kochać bliźniego jak siebie samego, z jego wadami i ułomnościami, a nie zamykać się w sobie, boć to zaprawdę po pogańsku, a nie według świętego zakonu Chrystusa.

— Zgoda, zgoda ciotuniu, odparł smutno pan Karol.

— Aha! przyszła koza do woza, rzekła pani Wojska. I cóż? dodała z uśmiechem, będziesz-że waszmość jeszcze obstawał za takiém weselem, jak to, co się onegdaj odbyło w Borowie?

— Juściż, że nie było huczno, mniejsza o to, rzekł Karol, ale że nie było na ślubie matki ani siostr pana młodego, to już doprawdy nie do darowania.

— To zgroza! mój kochany, przerwała pani Wojska z oburzeniem. Jeżeli matka zachorowała na prawdę, to było ślub odwlec; co się odwlecze, to nie uciecze. Aleć ja tam nie wierzę w te nagłe choroby, mówiąc między nami. Nie chciało się subiekcyi i zachodu jéjmości dobrodziéjce, i wolała zostać sobie w Warszawie, znajdując wymówkę na pogotowiu. Oj nieszczęście! nieszczęście! dodała po chwili, rozprzęgają się coraz bardziéj związki rodzinne. Dawniéj krewny za krewnym, brat za bratem, że pominę już rodziców i dzieci, poszliby w piekło jedno za drugiém; teraz każdy chodzi samopas, nie łamiąc sobie głowy co się stanie z drugiemi, choćby i najbliższemi krwią i powinowactwem. Bóg jedyny wié, gdzie ten nowomodny obyczaj zaprowadzi. Dziękuję ja codzień na kolanach Panu Bogu, że mi się ot teraz urodzić

nie kazał, zapłakałabym się próżno z żalu, gdyby mi nieboszczka matka, takie ni to, ni owo wyprawić miała wesele, jak téj biedaczce Anusi. Oj tak! tak! dodała wstrząsając głową, nie było wesela w dzień ślubu, nie będzie go zaprawdę i w życiu!

— Moja droga ciotuniu, rzekła pani Karolowa, która szyjąc dotąd pilnie przy stoliku, nie mieszała się do rozmowy, nie chwalę ja tego, że matka pana młodego nie była z córkami na ślubie; wiem jakby mi było boleśnie, gdyby mnie coś podobnego spotkać miało; ale że wesele odbyło się cicho, bez zgiełku, toć to podobno i lepiéj. Minęły to już nieszczęściem czasy owych rodzinnych i przyjacielskich zjazdów, gdzie to każdy witał się z drugim z serdecznym uśmiechem, rozstawał z łzą szczerego żalu. Co dziś sprowadza ludzi? oto próżność i chęć popisu z rozumem, urodą, znaczeniem lub dostatkami. Nie ma już w sercach owego współczucia, które dawniéj stanowiło cały urok życia, a miejsce jego zajęło obrzydłe samolubstwo.

Pani Wojska nic nie mówiąc, smutno kiwała głową.

— Słyszałaś zapewne ciotuniu o przenosinach pana Janusza, co się odbyły w adwencie, ciągnęła da-

léj pani Karolowa. Rodzice radzi, że syn żeni się bogato, sprosili krewnych i znajomych ze wszystkich stron kraju. Co tylko można mieć za pieniądze, wszystko to znalazło się w domu starych prezesostwa, rodziców pana młodego. Na miesiąc przed ślubem, o niczém nie mówiono, tylko o wielkim balu w Wrzosowie. Kobiety naradzały się bez ustanku, jeździły do Warszawy za sprawunkami, zapisywały nawet z Paryża kwiaty i stroje. Cała okolica nabrała sztucznego życia, jakby ją kto wskrzesił cudowną łaską. Dziwna jakaś gorączka opanowała wszystkich. Ci obawiali się, czy ich nie pominą przypadkiem zaprosiny, tamci sprzedawali na gwałt zboże na pniu, albo wełnę na owcach, inni wycinali ostatek lasu, byleby tylko wystąpić przyzwoicie w świetném zgromadzeniu, bo krążyła pogłoska, że prezes zaprosił na gody aż dwóch książąt i dziesięciu hrabiów, nie licząc innych nietytułowanych magnatów. Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany. Prezes nikogo nie przepomniał, listy drukowane rozsypały się jak grad w okolicy. W dzień umówiony, aż czarno było na drodze od karet i pojazdów. Obszerne sale wrzosowskiego pałacu zapełniły się tłumnie. Gwarno było i głośno, a jednak, powiédz-że sam Karolu, czyś-

my choć na jednéj twarzy dopatrzyli prawdziwe zadowolenie? Kobiety postrojone jak malowane lalki na żurnalu, śledziły się tylko okiem złośliwie, piękniejsze i strojniejsze, patrząc na drugie z dumą i pogardą, biedniejsze i brzydsze z zawiścią i upokorzeniem. Panowie poglądali z góry na szlachtę, i raczyli im zaledwie niekiedy rzucić słówko jak jałmużnę. Szlachta szydziła między sobą z dumy panów, a jednak przywtarzała im na wyścigi, przyklaskiwała ich dowcipkowaniu, płaszczyła się z ujmą własnéj godności. Matki bladły i zagryzały usta z gniewu, jeżeli w tańcu, w miejscu hrabiego, stanął obok córki jaki nieznaczący szlachetka, dziewczęta nawet przyglądały się sobie okiem niechętném i nieprzychylném. Każdy z obecnych, pomimo sztucznego uśmiechu na ustach, tłumił ziewanie, nudził się serdecznie, raz po raz poglądał na zegarek, i oczekiwał niecierpliwie końca męki i przymusu; a kiedy nakoniec wybiła szczęśliwie godzina wyjazdu, każdy odetchnął swobodnie, że już przecie po wszystkiém. Otóż to są tak zwane dzisiejsze zabawy! Przecież w Wrzosowie nie brakło niczego; pierwsi kucharze i pasztetnicy urządzali ucztę, najsłynniejsza warszawska muzyka przygrywała do tańca, pełno było kwiatów, złota i brylantów,

brakło tylko życia i ochoty, brakło tylko szczeréj i serdecznéj zabawy i uciechy.

— Bo brakło w sercach prostoty, odparła poważnie pani Wojska, bo każdy myślał o sobie, zarażony nieszczęśliwą próżnością, co się lęgnie w sercach, istnie, jakoby robak w grobie, i toczy je powoli, aż je w końcu stoczy na plugawe próchno.

— Prawda, prawda, odparł Karol skłaniając głowę. Nikt podobno nie znajdzie zadowolenia na téj drodze, bo próżność nie ma granic, gardzi niewinnemi uciechy, pragnie jedynie hołdów i czci, i tłumi w sercu źródło niewinnéj radości, do któréj ojcowie nasi tak byli niegdyś pochopni.

— To téż wy przynajmniéj moje dzieci, rzekła pani Wojska, strzeżcie jak oka w głowie waszych serc, żeby nie tonęły w téj straszliwéj powodzi, bo ja wam powiadam: dopóki cnota i poczciwość mieszkać będzie, choćby w kilku niewinnych sercach, dopóty nie zaginie na ziemi jako żywo, a ludzie pobłąkawszy się i tu i owdzie, wrócą nareszcie na jéj błogosławioną drogę.

— Daj to Boże najprędzéj, rzekł pan Karol smutno.

Pani Karolowa westchnęła, i wlepiła oczy w robotę.

— Moje dzieci, rzekła pani Wojska, podając im po kolei tabakierkę, zgodziliśmy się na jedno, toć nam nie zabrakło wątka do gawędy, bo człowiek kiedy się spiera i obstaje na swojém, to jakoś najraźniéj obraca językiem. Zawsze jednak lepsza zgoda, i bodajby ta trwała nienaruszona między nami. Owóż żebyście się nie nudzili, bo wieczór jeszcze długi, opowiem wam o weselu panny podczaszanki, co mi się na niém zdarzyło być w młodości. Oj! byłoż to wesele co się zowie, aż się dusza śmieje, jak o niém czasami pomyślę! a powiadam wam, że wszystkich co tam byli, już się dawno kości rozsypały w próchno; mnie tylko Pan Jezus trzyma jeszcze na świecie, jak kierz samotny na miedzy, albo jak ostatni kłos na polu, kiedy wszystkie inne padły pod sierpem i kosą.

— Opowiédz nam droga ciotuniu, ty wiész jak my radzi słuchamy słów twoich, rzekł pan Karol zapalając cygaro.

Pani Karolowa położyła na chwilę robotę i wlepiła oczy w poważną postać pani Wojskiéj, jakby dla lepszego zebrania myśli.

— Owóż powiadam wam moje dzieci, rzekła starowina, dorzucając parę drewek na kominek, było to na parę lat przed mojém zamęzciem; zaczęłam tyl-

ko co szesnasty rok życia, a jak wam już mówiłam nie raz, chowałam się przy ciotce cześnikowéj Łukomskiej. O drugą granicę od nas, mieszkali państwo podczaszostwo na Makowie, Makowieccy. Zacny to był dom mospanie. Podczaszy sam skoligacony był ze wszystkiemi znaczniejszemi domami dokoła; a drzewo jego genealogiczne, sięgało konarami swemi aż do owych Leliwów, co to za króla Łokietka, dokazywali dzielnie w Mazowszu i Wielkopolsce. Oj! toć téż podczaszy lubił mówić o dawnym splendorze swego rodu! a jak mówił, byłoć czego posłuchać, bo tak mu słowa płynęły, zwłaszcza po jednym i drugim kielichu węgrzyna lub miodu, jakby je czytał w księdze. I podczaszyna zacna była matrona, Panie daj jéj niebo, ba powiedziawszy nawet prawdę, więcéj ona jeszcze ustawicznemi zabiegami przyczyniła się do pomnożenia dobrego bytu w domu, niżeli sam podczaszy swoją erudycyą. A byłoć téż i o czém pomyśléć mospanie! Siedmioro dzieci zdrowych i dorodnych, rosło by na drożdżach pod domową strzechą, nie brakłoć więc i gąb do nakarmienia, a i każdego także należało przyzwoicie przyodziać, nadewszystko zaś, dać wszystkim wychowanie stosowne do zacnego imienia, jakie im Pan Bóg nosić pozwolił. A by-

ło powiadam wam, cztery dziewcząt i trzech chłopców. Chłopaki małe jeszcze sposobili się do szkół, pod okiem księdza Onufrego ex-jezuity; dziewczynki dwie starsze, tylko co wróciły z klasztoru panien Sakramentek z Warszawy, i uczyły tymczasowo dwie młodsze, co je także rodzice odwieść mieli do klasztoru dla dokończenia nauki. Oj! wesołoć téż to było i gwarno w domu podczaszostwa! aż serce rosło, patrząc, jak poczciwa matka obdzielała wszystkie dziatki śniadaniem albo podwieczorkiem, równo sprawiedliwie, żeby Boże broń! żadnego nie pokrzywdzić. Co się tyczy podczaszego, ten, Panie odpuść, bardziéj jakoś ważył sobie chłopców, pamiętam sama, jak mówił do nieboszczki ciotki, która mu to raz wymawiała.

— Moja mościa dobrodziéjko! i cóż mi przyjdzie z dziewczyny? wpądnie jako żywo w obce ręce, pan zięć zabierze jak swoje, jeszcze nie powié za to i marnego słowa; dobrzeć to mówi przysłowie: „Czesz, myj, jeszcze zapłać komu, żeby ci to zabrał z domu.“ Z chłopcem inna rzecz mosanie, wychowaj go jeno poczciwie, napędź mu rozumu do głowy, niechajby batogiem, toć i będziesz miał pociechę jak Bóg Bogiem; a choćbyś temu nie zostawił i tynfa, toć prze-

cie świat długi i szeroki, a chłopak z pięknem imieniem, to się w końcu dochrapie fortunki i nie pójdzie na marne, jeżeli tylko sam się dobrowolnie nie sponiewiera.

— Ej, mój panie podczaszy, mówiła na to nieboszczka ciotka, bodaj, czy to już nie mijają czasy owe złote! małożmy to mamy intruzów pomiędzy naszą szlachtą, co się to na nich jak grad sypią starostwa i zaszczyty, a niejedna mitra tymczasem, Panie odpuść, poniewiera się w błocie!

— Nie tak jeszcze źle na świecie, jak się asińdzce widzi, moja mościa cześnikowo, mówił podczaszy, jeszcze ród ma nieposlednie znaczenie, a ludzie zacni i rozumni, zawsze wyżéj nad pieniądze stawiają piękne imię. Chybaby wszystko na świecie musiało się przewrócić do góry nogami, żeby inaczéj być miało. Ufam Bogu Najwyższemu, że mi nie da doczekać takiéj sromoty i hańby.

— Coby téż powiedział pan podczaszy, rzekł pan Karol z uśmiechem, żeby doczekał dzisiejszych czasów!

— Umarłby jako żywo po raz drugi, gdyby przypadkiem powstał z grobu, przerwała pani Wojska zażywając tabaczkę. Owóż mówię wam, że pan pod-

czaszy z dumy i fumy, był wielkim panem, choć fortunka była sobie po prostu szlachecka, i gdyby nie rządy podczaszynéj, kto wié, czyby i bieda nie zajrzała kiedy do domu. Cóż robić, tak to już na świecie, że każdy ma swoje ale! Oj! trzeba to było widziéć, jak to wszystko było po magnacku w Makowie! Nigdy, uchowaj Boże, podczaszy nie pozwolił żonie jechać kolasą ani karyolą w sąsiedztwo, albo do parafialnego kościoła, tylko mospanie karetą, co ją sobie aż z Wiednia sprowadził, a zawsze obok drzwiczek asystował na koniu uzbrojony huzar, a strzelec jeden siedział na koźle, drugi za karetą.

— Znają pana po cholewach, mówił raz przy mnie do żony, gdy biedaczka molestowała, żeby jéj pozwolił wyjechać karyolką dla złéj drogi, jak cię ludzie widzą, tak cię i piszą mościa panno!

— Co nam to po tém państwie, mój mężu, odparła na to podczaszyna, dał nam Bóg oto siedmioro dziatek z miłosierdzia swego, trzeba dobrze głowy nałamać, żeby to wszystko nakarmić i przyodziać. Spuściłbyś oto z tonu i zaniechał swoich pańskich fantazyj.

— Co téż tobie w głowie, moja Dosiu? alboż-to mój ojciec nie był starostą, a dziad świętéj pamięci

wojewodą? Moi antenaci, aż do dwunastego pokolenia chodzili w karmazynie.

— Bodajby synowie i wnuki, nie chodzili za to w pakłaku; co po tytule, kiedy pustki w szkatule, mówiła zcicha podczaszyna.

— Mościa panno, rzekł na to podczaszy zarumieniony od gniewu, żebym nie wiedział z jakiego aśćka jesteś rodu, posądziłbym cię, że nie szlachecka krew płynie w twoich żyłach. Miałaś się aśćka jak widzę, urodzić w prostym stanie, tylko kur zapiał, i urodziłaś się kasztelanką. Ale kiedy cię Opatrzność postawiła na tym stopniu, powinnaś się do niego zastosować jak należy.

Na takie zapowiedzenie, mówiła daléj pani Wojska, nieboga podczaszyna milczała jak trusia; zapłakała tylko sobie nieraz gorzko w cichości serca, ale nikt o tém i nie wiedział, oprócz nieboszczki ciotki, co jéj się często gęsto wyspowiadała ze wszystkich dolegliwości, bo się obiedwie kochały jakby rodzone siostry; a było nawet pomiędzy niemi jakieś dalekie pokrewieństwo.

Oj! byłoż to było korowodów, jak panny podczaszanki zaczęły coraz bardziéj nadrastać; a piękne były dziewczęta, istnie krew z mlekiem, i dobre, potul-

ne, jakby to trzech zliczyć nie umiało. Podczaszy radby był coraz to szumniéj występować, a tu jakby na złość nie przybywało dochodu, a nawet często gęsto trzeba było zaciągnąć i dłużek. Biedna podczaszyna smażyła sobie głowę, zkąd tu będzie wziąć zięciów: dwór był pański, lada jaki hetka-pętelka nie śmiałby się odezwać o rękę panny podczaszanki, a bogaci panicze szukali téż jak zwyczajnie bogatych dziedziczek w małżeństwo; boć to nie darmo mówi przysłowie: że od przybytku nigdy głowa nie boli.

A trzeba wam wiedziéć, że niedaleko Makowa mieszkał starosta Modliborski, człowiek stateczny, wdowiec, ale bezdzietny. Starszą podczaszanka, panna Zuzanna, wpadła mu jakoś w oko, a że w starym piecu djabeł pali, tak téż i nasz starosta rozkochał się na dobre w Zuzi. Podczaszy rad był temu, jeno pokręcał wąsa i gładził czuprynę, kiedy kolasa starosty huczno i buńczuczno zajeżdżała na dziedziniec makowski. Ów starosta był spokrewniony z samą podczaszyną, ale że pokrewieństwo było dalekie, nie przeszkadzało więc wcale małżeństwu z podczaszanką. Oj! niemiłyć to był człowiek: zatabaczony, żółty jak pargamin, utykał do tego na jednę nogę,

i tak pochmurnie patrzał, jakby chciał kogo zabić; a co gorsza, różni różnie mówili, że pono niekoniecznie prostą drogą trafił do starostwa. Ale co tam już wywłóczyć z grobu stare dzieje; odpowiadać on sam za siebie będzie przed Bogiem; nie do nas sądzić należy, nadewszystko umarłych. Owóż starosta miał siostrzyczkę także starościnę, ależ owo starostwo bardziéj było podejrzane! Tu już ludzie nie szeptali, ale całą gębą krzyczeli na starostę, jéj męża, co się jeno zawsze słaniał koło dworskiéj klamki, i gotów był świecić bakę każdemu, byleby tylko co zyskać, a dla pieniędzy byłby sprzedał i własną żonę. Jednego lata, pamiętam jak dziś, na same Zielone Świątki starościna przyjechała do brata. Nuż starosta w prośby do pani siostry, żeby mu robiła interesa u panny Zuzanny i podczaszyny. Starościnie nie w smak był zamysł brata, byłaby wolała ogarnąć po nim majątek, ale widząc, że zamiar starosty nieodmienny, że chociażby i nie z Zuzią, to się i tak ożeni, kiedy mu małżeństwo do głowy zajechało; a że do tego, jak to zwyczajnie kobieta, lubiła swatać, nuż ci w konszachty i namowy.

— Nie bądź dzieckiem moja śliczna Zuziu, mówiła do dziewczęcia, będziesz starościną, będziesz mia-

ła śliczne cugi, karety i klejnoty, będziesz chodziła w pekinie i atłasie.

— Alboż ja tego zwyczajna, odparła Zuzia nieśmiało, alboż to mi źle w moim rąbkowym kabaciku? proszę tylko Boga, żeby mi dał taki do śmierci.

— Ależ moja dziewczko, zastanów się przecie, pojedziesz z mężem do Warszawy, ja sama przedstawię cię królowi jegomości, a wszyscy będą ci zazdrościć urody, strojów i dostatków. Nie porzucaj oto szczęścia, które ci samo wpada w ręce.

— Przepraszam panią starościnę dobrodziéjkę, odparło niebożątko, że nie mogę uczynić zadosyć jéj woli; ależ co robić? trudno rozkazać sercu, ja nie kocham starosty.

— I gdzież to waćpannę nauczono takich romansów? czy w klasztorze panien Sakramentek? W waćpanny wieku nie należałoby nawet wiedzieć o kochaniu, rzekła z urazą starościna.

— Słyszałam przecie od matki, odparła zapłoniona Zuzia, że żona powinna kochać męża, i że ciężki ma grzech ta, co inaczéj czyni. Nie chcę więc ściągać skazy na sumienie, bo wiem, żeby mi było trudno przywiązać się do starosty.

— Jak sobie chcesz, mościa panno, odparła starościna, zdaje mi się jednak, że pan podczaszy, ojciec waćpanny, wynajdzie bardziéj przekonywające argumenta, i że mu łatwiéj przyjdzie trafić z waćpanną do końca.

Zuzia biedaczka zapłakała sobie w kąciku, gdy starościna odjechała z bratem po owéj rozmowie. Lękała się nieboga jak ognia owych ojcowskich argumentów, bo wiedziała, że z podczaszym nie przelewki. Nuż więc w prośby do matki. Ale słowa podczaszyny daremne były, jakby kto groch rzucał o ścianę. Podczaszemu zachciało się koniecznie mieć córkę starościną.

— Mój mężu, mówiła sama podczaszyna, nie zabijaj własną ręką rodzonego dziecka. Gotowe jeszcze zamrzéć niebożątko, już i tak wychudło i zmieniło się do niepoznania. Co ci po splendorze, jeżeli go biedna Zuzia życiem okupi, a że tak będzie, to jak słońce na niebie.

— Co wasani w głowie, moja panno? odparł podczaszy, nie tak to łatwo umrzéć jak się zdaje, dusza rogata mospanie, a jeszcze w dziewczynie! Niechże mi Zuzia porzuci te wszystkie androny, bo jak się

z nią rozmówię po swojemu, to popamięta z jaki ruski miesiąc.

Poczciwa podczaszyna płakała i załamywała ręce, ale nic nie pomogło; podczaszy jak swoje tak swoje. Starościna formalnie oświadczyła brata. Starosta obiecał sto tysięcy zapisać Zuzi intercyzą, a oprócz tego zapewnić jéj dożywocie na połowie majątku. Co większa, starościna bąknęła przez zęby o jakiémsić wakującém starostwie, że mąż jéj może poszepnąć o niém królowi, u którego ma względy. Podczaszemu w to jeno graj mospanie! aż podrósł, oko zaiskrzyło mu się dziwną radością, rozrzucił w tył wyloty od kontusza, poprawił pasa, pogładził czuprynę, jakby już został na prawdę starostą.

Oj! byłyć to były istne zamki na lodzie; Pan Bóg znać inaczéj przeznaczył w Opatrzności swojéj, i inną Zuzi zgotował dolę. Aleć trzeba wam wszystko opowiedziéć porządkiem:

Podczaszy więc nie zważając ani na prośby żony, ani na łzy i narzekania córki, zapowiedział, że ślub odbędzie się w sobotę przed ostatkami, a właśnie nowy rok nadchodził. Nie było co powiedziéć przeciw temu, bo podczaszy się uparł, żeby koniecznie na swojéj postawić. Daremnie nieboszczka ciotka, która

była w wielkiej estymie u niego, przekładała mu, że to ciężki grzech przed Bogiem, zgotować nieszczęście własnemu dziecku; nic nie pomogło, jako żywo. Podczaszyna chociaż zalewała się łzami, kręciła się jednak około wyprawy, dobywała z sepetów srebra, makaty, kosztowne futra i klejnoty, i co mogła bez ukrzywdzenia drugich dzieci, wtykała nieboraczce Zuzi, żeby jéj przecież łzy otrzéć. Zuzia jednak, jak płakała, tak płakała; a im bliżéj było dnia ślubu, tém sroższym był żal niebogi.

Podczaszyna nareszcie wybierać się poczęła do Warszawy po sprawunkach; zabrała z sobą parę dyamentowych sygnetów, aby z nich kazać zrobić zausznice dla córki, oraz część starych sreber do złotnika, aby je przerobił na świeższy fason, i dodał nieco frauzilbru. (*) Podczaszy tylko co sprzedał pszenicę, sypnął więc pieniędzmi na wyprawę. Zuzia pojechała także z matką, ale daremnie chodziła od sklepu do sklepu, gdzie podczaszyna przy pomocy starościny skupowała bogate pekiny, atłasy, kroazy, grzyzetki i angielskie gazy na robrony, lewitki i salopki; daremnie u Lazarewiczowéj przymierzała kornetów i to-

(*) Feinsilber, srebro wyższej próby.

ków z kwiatami, piórami, i Bóg wié nie czém, biedna Zuzia nigdy się ani uśmiechnęła, bo jéj wciąż stał na myśli stary mąż z zatabaczonym nosem, któremu miała przysiądz, że go będzie czcić i kochać, aż do grobowéj deski. Zuzi jakoś nie mogło się to pomieścić w głowie, nie bawiły ją więc ani stroje, ani przepychy, choć do nich biedaczka i nie nawykła, bo dotąd kabacik sycowy, rąbkowy, albo téż przerobiony z staréj matczynéj lewitki, służył jéj za największą paradę. Koniec końcem, oczy Zuzi nie osychały z łez, a podczaszynie jeno się serce krajało, patrząc na biedaczkę.

Już sprawunki załatwione były co do jednego, poczciwa matka nie przepomniała nic, ani trzewików ślubnych na wysokich korkach, wyszywanych złotemi blaszkami, ani téż innych fatałaszków, potrzebnych do niewieściego stroju. Otóż mówię wam, właśnie nazajutrz raniuteńko, podczaszyna z córką miały wyjechać do domu, gdy wtém przyjechała z wizytą starościna, i oznajmiła, że wieczorem mają grać w teatrze po raz pierwszy „Meropę“, tragedyę wierszem, owego sławnego Woltera, co to niekoniecznie dobrze zasłużył się Panu Bogu, i pewno na tamtym świecie srodze odpowiada za dusze, które fałszywą swoją

mądrością zaprowadził prościusieńko do piekła. Zacna podczaszyna zgorszyła się strasznie, gdy wyczytała jego imię na afiszu, i powiedziała, że za żadne skarby nie będzie na tragedyi, bo nie ma duszy na zbycie; ale jak starościna jęła przekładać i namawiać, jak wreszcie przyszedł ksiądz kustosz brat stryjeczny podczaszego, i zapewnił, że w tém nie ma żadnego zgorszenia, że może śmiało bez obrazy boskiéj iść na teatr, tak się téż kobiecisko dało w końcu nakłonić. Starościna upomniała podczaszynę, żeby się ubrała w co ma najlepszego, i żeby téż Zuzię wystroiła w lewitkę z błękitnéj gazy, co ją dopiero przynieśli od Lazarewiczowéj, bo król jegomość miał być w teatrze; a byłoby to z obrazą majestatu, żeby się nie ubrać przystojnie.

Matczysko przystroiło Zuzię istnie, jakby święcony obrazek. Aż skraśniała dziewczka, przejrzawszy się w zwierciedle, tak pięknie jéj było w błękitnéj jak niebo lewitce, obszytéj srebrną kolbertyną i w fryzurze ułożonéj w melon. Fryzyer, którego przed południem jeszcze przysłała starościna, utrefił ją nowomodnie: wszystkie włosy zczesał do góry, przepiął przy głowie klamrą złotą z turkusami, i rozpuścił wijące na ramiona, a miała włosy po kostki, miękkie

jak jedwab, czarne jak krucze skrzydło; cóż, kiedy z pod pudru nie dopatrzyłbyś ich barwy. Między nami mówiąc, dobra to była moda na starych, co chcieli być jeszcze młodemi, boć wtedy wszyscy byli siwiuteńcy jak gołąbki. Owóż nasza Zuzia, śliczną była jak anioł, lica jéj kraśniały jak różyczka przypięta z niechcenia poniżéj skroni, a mówiła mi to ciotka, która tego samego wieczoru była także w teatrze. Podczaszyna w sukni atłasowéj guldekanar, (*) w toku z piórami i salopce milflorowéj, siedziała poważnie obok córki w loży starościnéj, i z macierzyńską dumą patrzała, jak wszystkie oczy zwracały się na piękną dzieweczkę. Król jegomość nawet raczył na nią spojrzéć przez lornetkę, a starościna nie posiadała się z radości, i już układała sobie w głowie, jak to nowe fawory sypać się będą gradem, za pośrednictwem młodéj i pięknéj bratowéj.

Zdarzenie mieć chciało, że właśnie tegoż samego dnia był na służbie u króla, kapitan gwardyi koronnéj, podczaszyc Stobiński, którego wszyscy nazywali pięknym Jasiem, bo mu Jan było na imię. Jako na służbie będący, stał on w królewskiéj loży, i razem

(*) Col de canard.

z innemi ścigał okiem śliczną Zuzię; a tak mu jakoś przypadła do serca, że jak ją pierwszy raz zobaczył, tak już na inne dziewczęta, choćby najpiękniejsze, nie miał ochoty patrzeć. Zuzia także rada nie rada, rzuciwszy okiem na królewską łożę, spotkała się oko w oko ze spojrzeniem pana Jana, i dziwna rzecz, jak mi sama potém mówiła, tak jéj jakoś zakołatało serduszko, jakby zobaczyła kogo od najdawniejszych lat znajomego, a ona nieboga nigdy go dotąd nie widziała. Oj! ciężkoż to było na sercu biedaczce, jak się starosta odezwał chrapowatym głosem, jak zacierał ręce, rad z powodzenia bogdanki, i oświadczał jéj na ucho swoje gorące affekta. Oj! cięźéj było podobno stokroć, gdy porównała narzeczonego z pięknym Jasiem, który tak słodko poglądał na nię z królewskiéj łoży! Jednak biedna Zuzia rada jakoś była, sama nie wiedząc czemu, i pełna niepojętéj otuchy.

Nazajutrz z rana, podczaszyna zbierać poczęła manatki; Zuzi żal się trochę zrobiło, wybierała się jednak, ale niechętnie, a mieli wyjechać od południa i ściągnąć na nocleg do Błonia. Było to właśnie w piątek. Podczaszyna, jak zwyczajnie pani pobożna i bogobojna, zakupiła w wigilię jeszcze mszę świętą przed Panem Jezusem u Fary, i zaledwie brzask dzien-

ny zajaśniał na niebie, poszła z Zuzią do kościoła. Biedne dziewczynisko modliło się gorąco, klęcząc przed ołtarzem ukrzyżowanego Chrystusa. Dopóki trwała msza święta, nie obejrzała się ani razu, jeno oczy wlepiła w swój złoty ołtarzyk, a łzy kapały gradem na książeczkę; dopiero gdy ksiądz odszedł od ołtarza, podczaszyna powstała zwolna, skinęła na córkę, i obiedwie skłoniwszy się pobożnie, wyszły z kaplicy. Wtém biedna Zuzia doszedłszy do pół kościoła, stanęła jak wryta, nogi zatrzęsły się pod niebogą. Zgadnijcież dlaczego? Oto zobaczyła kapitana, jak wsparty o pilastr, patrzał na nią takiemiż samemi, jak wczoraj oczyma! Serce uderzyło niebodze jakby młotkiem, a rumieniec jaskrawy wystąpił jéj na twarzy, choć zimno przejęło wszystkie członki, i drżała jak listek osiny.

Podczaszyna przyszedłszy z córką do zajezdnego domu na Podwalu, gdzie stały, jęła się na gwałt wybierać, gdy wtém woźnica Michał przyszedł z wiadomością, że ressor uszkodził się trochę u karety, gdy wracali wczoraj z teatru, że spostrzegł to dopiero z rana, i zaraz powóz odprowadził do stelmacha, który obiecuje go narządzić jutro dopiero na południe. Zafrasowało się kobiecisko, bo podczaszy miał

czekać w sobotę jéj powrotu. W niedzielę jechać, grzech jakoś, ociągać się znów z wyjazdem nie wypada, bo ostatki za pasem, już tylko tydzień do ślubu, a goście dawnym obyczajem zjeżdżać się mieli na trzy dni naprzód. Ależ trudna rada! Podczaszyna ofiarowała Panu Bogu swój ciężki frasunek, a Zuzieczka za to ucieszyła się serdecznie, choć sama nie wiedziała dlaczego; już to tak widać Pan Jezus natchnął ją dziwném jakiémś przeczuciem.

Tegoż samego dnia, starościna zaprosiła podczaszynę z córką na wieczór. Miała być herbata, co pod ten czas było wielką osobliwością; ale że starościna była swego czasu wielką szarmantką, znała więc jak pacierz obyczaje zamorskie, a trzymała ich się, fraszka żyd talmudu. Owóż podczaszyna wystroiła znowu swoję Zuzię w lewitkę gryzetkową koloru morskiéj wody, opięła jéj na szyi chusteczkę białą gazową, fryzurę kazała jéj ułożyć w melon, jak w dniu poprzedzającym, bo taka najlepiéj przystawała do jéj okrągłéj jak bursztówka twarzyczki, i najętą karetą pojechała z nią do starościny. Goście téż zgromadzać się zaczęli, i niedługo aż się czerniło w bawialnéj sali. Ugalonowana służba roznosiła na wszystkie strony herbatę. Jedni krzywili nosy na nowomodny tru-

nek i doprawiali go jak mogli rumem, inni chwalil dlatego, że wchodził w modę; inni wreszcie kosztowali przez ciekawość. Zuzia siedziała na taborecie pod oknem, obok jakiéjś nieznajoméj panienki, a starosta stojąc za nią, szeptał jéj coś na ucho. Wtém drzwi się otworzyły, i wszedł kapitan ubrany błękitno, brząkając szpadą utwierdzoną do pasa. Zbliżył się naprzód do gospodyni domu, a powitawszy ją grzecznie, powiódł okiem po sali, i odkrył siedzącą w kąciku Zuzię. Dziewczęciu serduszko zakołatało na gwałt, a oczów nie śmiało podnieść niebożątko od ziemi; cóż dopiero, jak kapitan zbliżył się poufale do starosty, podał mu rękę, szepnął coś do ucha, a starosta przedstawił go przyszłéj żonie.

Nie był ci to żaden wielki festyn ani gala, tylko ot tak po prostu wieczorek dla przyjaciół, in gratiam, że starościna dostała świeżo w darze kilka funtów herbaty od księcia I...., z którym w przyjaznych zostawała związkach. Jednak ponieważ się zebrało dosyć młodzieży, daléjże i w tany. Podczaszyna powyciągała córce końce od lewitki, przez rozcięte po bokach otwory, żeby jéj powłoczysty ogon nie zawadzał w tańcu. Starościna sama zasiadła do szpinetu

i zagrała poloneza, a potém ankarta. (*) Starosta wziął do poloneza piękną Zuzię, ale ręka dziewczęcia drżała z całéj siły, gdy dotknęła wyschłéj ręki przyszłego małżonka. Uśmiechnęła się za to Zuzienka, gdy po kilkokrotném obejściu sal , kapitan zbliżył się gracko, klasnął w ręce, i odbił ją z tryumfem staroście. Oj! już téż do wieczora nie puścił ją kapitan. Stanął z nią w parze do ankarta, a staroście ledwo oczy nie wyszły na wierzch z zazdrości; aż pożółkł nieborak, zwłaszcza jak mu młodzież jęła docinać i mówić (niby między sobą, tak jednak, że on słyszał wszystko co do słowa), że jak się stary z młodą żeni, to tak, jakby do starego wozu szalone zaprzągł konie.

Zuzienka tymczasem bawiła się jakby za dobrych czasów, i skłaniała uszko do jedwabnych słówek kapitana, a i pan Jan, co prawda, nie zasypiał gruszek w popiele, jeno palił koperczaki, aż skry sypały mu się z oczów.

Wieczór zleciał jakby mgnienie oka, północ wybiła, i wszyscy rozjeżdżać się poczęli. Kapitan wybiegł za podczaszyną, i podczas gdy starosta szukał

(*) Enquatre: tak zwano mazura, którego tańczono w cztery pary.

matczynéj lisiury, on podał szubkę zieloną atłasową, podbitą kunami, pannie Zuzannie, i opinał złote brandebury, aby się nie zaziębiła, bo mróz dochodził dwudziestu stopni.

— Panno Zuzanno, szepnął jéj do ucha, już ja pani nie zobaczę jeno starościną; bądź mi więc zdrowa i szczęśliwa, a wspomnij choć kiedy o wiernym słudze swoim.

Zuzia westchnęła, i dwie łzy jak perły zabłysły w czarném oku dziewczęcia, ale ani jedno słowo nie mogło się wydrzéć z ust, jakby jéj głosu zabrakło w piersi.

Podczaszyna tymczasem ubrana w znalezioną przecie szubę, skinęła na córkę i wsiadła pierwsza do karety, wspierając się na ramieniu starosty, Zuzia wskoczyła za nią leciuchno jak ptaszek, a kapitan podał jéj rękę, i ścisnął podobno za serdeczny paluszek, jak się Zuzia potém przyznała.

Biedne dziewczę całą noc przepłakało jak Bóg przykazał, a nazajutrz aż oczy temu zapuchły. Podczaszyna niewiele z tego mogła zmiarkować, bo już nawykła patrzéć na łzy córki; pocieszała jeno jak mogła nieboraczkę, i radziła modlitwę, jako najpewniejszy środek na wszelkie na ziemi niedole. To téż Zu-

zia całém sercem uciekła się do Boga. Dostała właśnie była od księdza kustosza, stryja swego, kilka czerwonych złotych na kornecik, a że miała wszystkiego już podostatkiem, zachowała je sobie na dalsze potrzeby. Naradziwszy się więc z matką, kupiła złote serduszko, i powiesiła je jako votum u stóp ukrzyżowanego Chrystusa. Dopełniwszy ofiary, zdało się jéj, że kamień spadł z jéj serca, tak dziwna jakaś wstąpiła w nią otucha.

Około południa kareta była już gotowa; podczaszyna wsiadła więc z Zuzią, opakowawszy się obie w lisie szuby i ciepłe watowane szarafany, głowy obwiązały chustkami, tak, że im oczu trudno było dopatrzéć. Dopatrzył jednak kapitan czarnych oczu Zuzieńki, bo czatował na nią od rana niedaleko rogatek Wolskich, dowiedziawszy się, że tamtędy wypadała im droga. Podczaszyna nie spostrzegła go nawet, ale Zuzia ustrzeliła go oczkiem, i ujrzawszy go, skraśniała jak malina, a przez całe pół dnia, do wieczora, milczała niebogа jak zaklęta, jedno dziwne jakieś myśli snuły się jéj po głowie, coby ich i na wołowéj skórze nie spisał.

Owóż powiadam wam, mówiła daléj pani Wojska orzeźwiwszy się tabaczką, w poniedziałek około

południa, podczaszyna przyjechała z Zuzią do domu. Podczaszy w sobotę jeszcze spodziewał się żony z powrotem, a tu nieprzewidziany wypadek zatrzymał je dłużéj nad zamiar, zresztą i niedziela zaskoczyła w drodze, a w święto, zwłaszcza do południa, uchowaj Boże być w podróży.

Oj! co się to tam nie działo w makowskim dworze! Hałas, tartas, jakby na sądzie ostatecznym. Podczaszyna z córkami piekła baby, placki, kołacze i pierniki, przyprawiała słodkie wódki i rozmaite specyały. Podczaszy sam doglądał wszystkiego, i baczył pilnie, żeby w niczém nie szwankował honor domu. Zuzisko tylko chodziło jak błędne; przeczucie jakieś mówiło jéj wyraźnie, że nie ma się czego trwożyć, gdy tymczasem wszystko oczywiście zmierzało do końca, a lękała się biedaczka dnia ślubu, fraszka straszliwego dnia bożego sądu.

Nadszedł nareszcie Tłusty czwartek. Już połowa większa gości zjechała do Makowa. Ja z nieboszczką ciotką, pamiętam jak dziś, przyjechałam jeszcze we środę, a szczęśliwa byłam, jakby mnie kto na sto koni wsadził, bo mi ciotka podarowała prześliczną różową lewitkę, z takąż spódnicą z falbanami. To téż czekałam dnia ślubu, jakby zbawienia dusznego! Na

inne dnie, matka sprawiła mi umyślnie biały rąbkowy kabacik z karokiem, i drugi sycowy w wielkie kwiaty.

Starościna zjechała także na wesele z Warszawy, ale ponieważ to była wielka wykwintnicka, a u podczaszostwa ciasno było okrutnie, i wszyscy musieli się mieścić jak kto mógł; to téż jéjmość dobrodziéjka codzień przy pochodniach odjeżdżała do Modliborza razem ze starostą, a nie mieli do domu więcéj jak dobre pół mili.

Owóż mówię wam, we czwartek wybiła pierwsza z południa. Podczaszy kręcił się jakoś, bo nadszedł czas obiadu, a starosty z siostrą ani oka. Jeden i drugi szeptali sobie coś na ucho. My dziewczęta, wyjąwszy pannę młodą, radebyśmy były, żeby się co rychléj ułatwić z obiadem i poskakać sobie przecie przy Tłustym czwartku. Do tego jeszcze układał się kulig. Mieliśmy się przebierać za żydów i cyganów, i zajechać huczno sankami. Cóż, kiedy starosty jak nie ma, tak nie ma. Aż tu około drugiéj, wpada co duchu posłaniec z listem od starościny, że brat bardzo słaby, i że wysyła natychmiast po Gagatkiewicza do Warszawy; nakoniec prosi podczaszego, żeby mógł koniecznie przyjechać do Modliborza.

Otóż wystawcie sobie, co się działo w Makowie! Wszyscy jak to mówią, pospuszczali nosy na kwintę, jęli tylko radzić a radzić. Zuzia nieboraczka zbladła jak lilia, ale na jéj twarzyczcze nie było ani radości, ani smutku, rzekłbyś, że to posąg wyciosany z kamienia. Co do mnie, jeśli mam prawdę powiedziéć, bałam się, żeby wesele nie spełzło, bo mi szło o moję różową lewitkę. Zwyczajnie młodość, płochość! Nie szukać wtedy rozumu w głowie mospanie! Cóż robić? tak było od początku świata, tak i po nas będzie.

Wieczorem przyjechał podczaszy, smutny i zmieniony. Spojrzawszy na niego, można było odgadnąć nieszczęście. Jakoż starosta tylko co skonał na ręku niedoszłego swego teścia, rażony paraliżem.

Starościna przyjechała zaraz za podczaszym. Oj! wyprawiała nam téż, Panie odpuść modne spazmy! za mało znać miała nieboga spektatorów w Modliborzu, a chciało jéj się popisywać na większéj publice. Toć téż krzyczała i śmiała się istnie opętana, a wszyscy patrzyli na nią jakby na raroga, i w miejsce politowania, ruszali jeno ramionami.

Zamiast wesela, odbył się w sobotę pogrzeb starosty. Krewni i znajomi pochowali go w familijnym

grobie, i strzaskali tarczę z herbem, jako po ostatnim z rodu. Pamiętam jak dziś, byliśmy wszyscy na pogrzebie. Oj! dopieroż to nowy był kłopot z żałobną odzieżą! trzeba było rozsyłać na wszystkie strony do domów i miasteczek. Każdy jak mógł, sobie radził.

Zuzia modliła się na pogrzebie szczerze a gorąco. Na jéj twarzy dziwną widać było powagę, a co się działo w głębi duszy, Bogu to tylko mogło być wiadome. Biedne dziewczę rade było, nie ma co mówić, że małżeństwo nie doszło do skutku, a jednak wolałaby zapewne, żeby inna przeszkoda stanęła temu na zawadzie.

Podczaszy cierpiał najwięcéj ze wszystkich; oj! więcéj ci zapewne jak starościna, choć nie spazmował i nie chorował na serce. Zdawało się nieborakowi, że mu ktoś dmuchnął starostwo z pod nosa, bo żeby je był dostał przy pomocy zięcia, który miał mir u króla, to prawda jak amen w pacierzu.

Oj! smutneż to były ostatki, mówiła daléj pani Wojska, sztukając lewym palcem w tabakierkę, a otwierając ją prawą ręką, nadewszystko dla nas, cośmy sobie na nie szykowały nogi. Każdy jeno chodził z kąta w kąt, i ziewał jak Bóg przykazał. Żadna zabawa nie ułożyła się w okolicy, bo wszyscy jakby

wymiótł, powyjeżdżali do Makowa na wesele, aż tu piękne mi wesele! starsi panowie grali jeno w kiksa, maryasza i drużbarta, panie sprzeczały się przy ćwiku i kasztelanie; młodzież obsiadła do koła piec i komin, i pocieszała się jak mogła; jaki taki szepnął na ucho komplement dziewczęciu; mnie się tam nie wiele z tego wszystkiego okroiło, bom jeszcze była niedorosła dziewczynka, a każdy rad jakoś poglądał na starsze, pocieszałem się jeno myśląc, że przecie i na mnie przyjdzie koléj. To mówiąc pani Wojska uśmiechnęła się i zażyła tabaczki.

— Toć téż i przyszła, rzekł pan Karol, sięgając do ciotczynéj tabakierki, nieprawdaż ciotuniu? No, ależ co do panny podczaszanki, toć się pewnie nie długo pocieszyła po śmierci starosty. Jużciż tam kapitan nie zaspał gruszek w popiele.

— Oj, że nie, to nie, jakbyś waszmość wiedział, ale téż konkury nie poszły mu jak to mówią po maśle: zapocił nieborak czoła i dobrze, zanim otrzymał rękę ślicznéj Zuzi. Podczaszemu jak raz starostwo zajechało do głowy, tak téż ani rusz nie mógł go sobie wybić z mózgu, i pomrukiwał tylko pod nosem:

— No, proszę, żeby był umarł choćby we trzy

dni po weselu, byłaby moja Zuzia starościną; a i sto tysięcy zapisu nie fraszka, toć to piechotą nie chodzi.

— Wié Pan Bóg co robi, mówiła na to matka; nie chciał znać dopuścić obrazy świętego swojego imienia.

— Moja panno, u aśćki zawsze jeno romanse w głowie, rzekł na to podczaszy, choć Panie odpuść, smętarzowe kwiatki przyprószyły ją nie żartem.

— A u jegomości państwo się jeno uwija po myśli, we śnie i na jawie, odparła żona z łagodnym uśmiechem. Zapomina jegomość, że jak przyjdzie stanąć przed majestatem boskim, za marne pójdą herby i pargaminowe dokumenta.

— Ej, moja panno, aśćce jak widzę nie żartem farmazonerya zabałamuciła rozum.

— Niech mię Pan Jezus od niéj chroni, odrzekła nieboga, urodziłam się w świętéj wierze Chrystusowéj, i dochowam ją w sercu do grobowéj deski.

Dopieroż to, mówiła daléj pani Wojska, jak w pół roku niespełna po śmierci starosty, kapitan zaczął zajeżdżać do Makowa, podczaszy jał stroić fochy i ceregiele! Bo trzeba wam wiedzieć, że pan Jan, choć szlachcic z ojca i dziada, nie miał jednak wysokich koligacyj. Przodkowie jego jako żywo, nie chodzili

w karmazynie, jeno orali pługiem swoją skibę, boć to była sobie po prostu zagonowa szlachta. Ojciec pana Jana, jak wyprawiał w świat syna, to mu nie dał nic więcéj, jeno jaką taką szkapkę, pachołka, lichą kontusinę na plecy i z pół kopy bizunów na zadatek przyszłéj poczciwości i rozumu. Ale nasz Jaś miał tęgą minę i taki rezon mospanie, że sobie nie pozwolił dmuchać w kaszę, choćby i samemu wojewodzie, a poszło mu téż jakoś ręką. Z przybocznéj hetmańskiéj straży, dostał się wnet do królewskiéj gwardyi, wpadł w oko królowi, i rychło dosłużył się wyższéj rangi. Wszystko to jednak niewiele znaczyło u podczaszego, bo już on taką miał żyłkę do państwa, że zawsze wyżéj cenił urodzenie, niżeli samą zasługę.

Zuzia jednak nieboraczka, od pierwszego zaraz widzenia, jak wosk przylgnęła do pięknego Jasia. Na jego to intencyę ofiarowała ona, jakem wam mówiła, złote serce do Pana Jezusa do Fary, a dopieroż to, jak ją śmierć starosty zwolniła z zobowiązania, tak téż o niczém już nie myślała, jeno o nim a o nim. Oj! nie zapomnę ja nigdy, choćbym sto lat żyła, pierwszych jego odwiedzin. Było to jakoś ku jesieni, ja z ciotką nieboszczką byłyśmy na świętą Teklę w Ma-

kowie, gdzie był odpust. Podczaszostwo zaprosili nas do siebie na obiad, jako téż i resztę sąsiedztwa. Między innemi zjawił się w kościele, ni ztąd ni zowąd kapitan z ciotką swoją sędziną grodzką Zabielską. Dobra to była i zacna niewiasta, wszyscy w okolicy szanowali ją jak przystało. Podczaszy rad nie rad, musiał ją zaprosić, choć to nie była żadna pani, jeno sobie po prostu szlachcianeczka. Oj miły Boże! co téż się to działo z niebogą Zuzią, jak spostrzegła pana Jana. Zmieniło się niebożątko, istnie cudowny obrazek, a tak się trzęsła jakby listek osiczyny, kiedy nim wiatr powiewa. Pan Jan też przez całe nabożeństwo, jak Pan Bóg przykazał, nie spuszczał oka z swojéj bogdanki, i bardziéj pono o niéj myślał, niżeli o modlitwie; choć prawdę mówiąc, miał za co Panu Bogu dziękować. Przy obiedzie także, nasz kapitan patrzał jak w tęczę w swoję Zuzieńkę. Podczaszy jeno podkręcał wąsa i nastrajał sumiastą minę, a matczysko, jak z jednéj strony rade było serdecznie, tak z drugiéj przemyślała jeno, co téż to z tego będzie.

Koniec końcem, po długich korowodach i fanaberyach bez liku, podczaszy pozwolił na związek małżeński Zuzi z kapitanem. Oj, bo żeby téż był nie po-

zwolił, pewnoby ujrzał swoję Zuzieńkę na marach. Niebożątko tak bladło i chudło, jakby je złe urzekło, i po całych nocach zalewało się jeno łzami.

— Mój mężu, rzekła raz podczaszyna, miéj téż jegomość politowanie nad własném dzieckiem, zamrze jak Bóg na niebie.

— Moja panno, odparł podczaszy, nie rok, nie dwa żyję na świecie, a jeszcze nie słyszałem o takim wypadku, żeby kto umarł z tak marnéj choroby. Nie będzie jéj nic, nie troszcz się daremnie.

— Zobaczymy, rzekła matka. Daj Boże, aby się moje słowa nie sprawdziły; ale ja w tém nic dobrego nie przewiduję.

— Ej, bo téż jéjmosć zawsze jeno przewidujesz niestworzone rzeczy, moja panno, i frasujesz się choć nie ma czego, rzekł podczaszy.

— A jegomość budujesz jeno zamki na lodzie, i chcesz zaprzedać własne dziecko za marne tytuły, co tyle znaczą przed Bogiem, jak ten wiatr co wieje.

— Gadasz, gadasz moja panno, jakby Piekarski na mękach, za nic-że sobie ważysz splendor domu i estymę u ludzi? dodał poprawiając pasa.

— Splendor, splendor, powtórzyła żona, toć mi najwyższy splendor ten, który daje poczciwość a cno-

ta. Kto żyje jak Pan Bóg przykazał, ten jako żywo znajdzie estymę u świata, choćby był chudo-pachołkiem, a nie panem.

— Co tam wam niewiastom o tém wyrokować! zagadnął podczaszy. Żadna z was nie rozumié nawet, co to zacność imienia, już was tak Pan Bóg stworzył, i nie dziwota, kiedy was nawet nie osądził godnemi, aby nosić jedno imię od kolebki do grobu.

— Ej, nie gadałbyś mój mężu daremnie, odparła żona, znać, żeśmy jeszcze nie ostatnie, kiedy nam powierzacie z dobréj woli wasz klejnot najdroższy do piastowania. Powiédz-że mój Adamie, czym ci go splamiła aby odrobinkę?

— Nie, moja złota Dosieńku, odparł podczaszy ściskając żonę, niech mnie Bóg broni, żebym miał narzekać na ciebie.

Podczaszyna pocałowała męża w czoło z powagą.

— No, mój Adamie, rzekła, już mi się ty nie wykręcisz; póty ci nie dam pokoju, póki nie pozwolisz na małżeństwo Zuzi z kapitanem.

— Ale, bo to widzisz moja panno, odparł podczaszy, żeby to Basi albo Agatce, toćbym i pozwolił jako żywo, ale Zuzia, toć to najurodziwsza z nich wszystkich, a potém jak jeno wydamy pierwszą za

lada jakiego szerepetkę, toć się o drugą i trzecią nic porządnego nie zgłosi.

— Bądź spokojny mój kochany, rzekła żona, każda znajdzie tego, kogo jéj Bóg od wieków w opatrzności swojéj naznaczył. A jak zamrze biedactwo, to i cóż ci z niéj przyjdzie? dodała zalewając się łzami, już mi tak wychudło, istnie jakby pasyjka!

— Hm, hm, mruczał podczaszy chodząc po pokoju i kręcąc głową, głupstwo jak żywo; żeby był starosta umarł po weselu; jakby Zuzia zakosztowała tytułu starościny, toćby go nie porzuciła dla byle czego.

— Jak Bóg na niebie, poszłaby za kapitana, rzekła żona.

— Prawdać to, odparł podczaszy; u kobiet włosy długie, rozum krótki, mówi niedarmo przysłowie.

— Ale serce poczciwe i kochające, przerwała żona, a to podobno więcéj warto, niż wszystko. A co, czy nieprawda mój Adamie, dodała, obejmując głowę męża i całując go w łysinę.

— Ej, kto tam dojdzie ładu z wami kobietami, rzekł nakoniec udobruchany podczaszy. Róbcież już sobie, co chcecie.

Podczaszyna pocałowała męża w rękę, co jéj się nie często zdarzało, i pobiegła co żywo po Zuzię.

Dziewczę zalało się łzami z wielkiego szczęścia, i padło jak długie do stóp ojcowskich.

Zdarzyło się właśnie, żeśmy tego samego dnia przyjechały z nieboszczką ciotką do Makowa: ucieszona matczysko, powtórzyła co do słowa rozmowę z swoim panem, i utulić się nie mogła z wielkiéj a niespodziewanéj radości. A co Zuzia, to aż wypiękniała nieboga, jak kwiat, kiedy go deszcz opłucze, a potém słonko zaświeci mu z po-za chmury. Całowała nas wszystkie po kolei i siostry i mnie, i zdało się istnie, jakby jéj serca przyrosło. Oj, bo szczęście, to rzecz nie lada, dodała pani Wojska, dobywając z kieszeni tabakierkę, zaraz człowiek i lepszy i serdeczniejszy, kiedy mu wszystko idzie po myśli.

Koniec końcem, ciągnęła daléj, przed adwentem odbyło się wesele Zuzi i pana Jana. Oj! byłoć to wesele, o jakiém teraz ani słychu. Byłam na niém mospanie, i powiém śmiało, że chyba na swojém własném, com się lepiéj zabawiła. A odbyło się wszystko jak Bóg przykazał uczciwie i po formie, nie tak oto jak teraz, co to żal się Boże nazywać próżno weselem. Oj! boć te wasze wesela bardziéj pono do pogrzebu podobne, jeno, że w miejscu jednego trupa na katafalku, widzimy aż dwa żyjące przed ołtarzem.

— Moja ciotuniu, rzekła z uśmiechem pani Karolowa, powiedziałaś niechcący to samo, co niedawno wyrzekł nasz wielki poeta:

Gdy na kobietę zawołają: żono,
Już ją żywcem pogrzebiono.....

— I powiedział prawdę jako żywo, przerwała pani Wojska. Oj! długoby o tém mówić; dajmy temu lepiéj pokój, ale mogę was zapewnić, że nie tak przedtém bywało.

— Są przecież i teraz wyjątki ciotuniu, rzekł pan Karol obejmując wysmukłą kibić żony, nieprawdaż Tereniu?

Pani Karolowa w miejsce odpowiedzi, tkliwie uścisnęła męża.

— Nulla regula sine exceptione, rzekła ciotka otwierając tabakierkę, to téż całe w tém szczęście!

— No, ależ ciotuniu, przerwał pan Karol, opowiédz-że nam o owém weselu panny podczaszanki.

— Z całego serca, moje kochane dzieci, rzekła pani Wojska. Owóż mówię wam, na trzy dni przed ślubem, zjechało huk gości do Makowa, choć i droga była krwawa i czas słotny i dzień krótki, jak to

zwyczajnie przed adwentem, bo ślub miał się odbyć w sam dzień św. Katarzyny. Ale dawniéj ludzie nie ustraszali się małemi rzeczami jak teraz. Niéma złéj drogi do mojéj niebogi, powtarzał każdy, bo téż Zuzię kochali wszyscy w całéj okolicy, i było za co zaprawdę. Złoto nie dziewczyna: dobre, potulne, ciche jak trusia, niewinne jak baranek, każdy téż zabierał się jak mógł, to do karety, to do kolasy, albo téż w końcu i do karyolki, na co kogo stało, i wlókł się po złéj drodze do Makowa, a każdy rad był i wesół, i jechał z dobrą miną, jak to zwyczajnie na wesele. W wigilię ślubu w piątek, już nikogo nie brakło, odrachowali się wszyscy co do jednego. Gospodarz zacierał jeno ręce i poprawiał pasa, boć to był w gruncie zacny człowiek, tylko że mu państwo zbytecznie zajechało do głowy; ale mu to każdy z serca przebaczał, boć i on miał serce dla ludzi mospanie. Gospodyni[1] krzątała się, i jeno przemyślała, jakby to wszystkim dogodzić. Dziewczęta domowe kręciły się jak jaskółki po-nad wodą; to téż nie dziwota, że i gościom nie zbywało na ochocie.

Oj! dopieroż to tam w dzień wesela huczno było i szumno! Służby uwijało się huk, i obcych ci nie brakło, a i domowych była chmara, bo chłopaki od

bydła, stadniny i trzody, powdziewali jeno barwę zawieszoną na kołku, i kręcili się istnie by muchy w ukropie, a tłukli, jakby najęci szkło i farfury.

Od samego rana, w bawialnym pokoju stół wielki wystawiono na środek, podesłano wspaniałym kobiercem, okryto makatą zdobytą jeszcze na Tureczczyznie, przez rodzonego dziada podczaszego, który z królem Janem odbywał wiedeńską wyprawę. Na owym stole druchny ustawiły drzewko rozmarynowe, opięły zieloną kitajką w sztuczne buffy i festony. Poważne matrony zasiadły do koła stołu. Podczaszyna powiodła okiem po wszystkich, i po długim namyśle, porównawszy znać w pamięci stopnie pokrewieństwa i kolligacyi, jakie dom jéj łączyły ze zgromadzonemi osobami, wybrała podkomorzynę Konarzewską, zacną i poważną matronę, i podała jéj łubek złoty, szeroki prawie na palec.

— Mościa podkomorzyno dobrodziéjko, rzekła do niéj z poszanowaniem, nie racz nam w dniu tak ważnym odmawiać przyjacielskiéj posługi, i chciéj własną ręką uwić wianeczek dla naszéj Zuzi, tak, jakeś ją podawała do sakramentu chrztu świętego.

— Moja droga podczaszyno, odparła podkomorzyna, Bóg mi świadkiem, żebym ci niczego w życiu

nie chciała nigdy odmówić, ani téż mojéj ukochanéj chrześniaczce; ale Bóg ciężko mnie nawiedził wdowim stanem, niechże moje ręce nie dotykają naszéj panny młodéj, żeby jéj się przypadkiem nie czepiło nieszczęście, jakiém mnie Pan Jezus z woli swojéj doświadcza; nie miéj mi więc za złe, że na ten raz nie mogę zadosyć uczynić twéj woli.

Podczaszyna ucałowała ramię szanownéj matrony, i obróciła się z prośbą do krewnéj męża swego, pani podwojewodziny Łobodzkiéj.

Podwojewodzina przyjęła łubek z powagą.

— Niechże się tak całe życie wije naszéj Zuzi, jak my jéj ten ślubny wianeczek wijemy, rzekła, obracając mowę do obecnych matron. Ależ szanowne panie raczcie mi dopomódz i podawać gałązki.

— I owszem, bardzo chętnie, odparły jednozgodnie wszystkie matrony, (wyjąwszy podkomorzynéj, i dwie inne wdowy, które nie śmiały dotknąć rozmarynu), nie należy odmawiać przyjacielskiéj posługi.

To mówiąc, każda z poważnych niewiast uszczknęła gałązkę z drzewka rozmarynowego, i urównawszy ją stosownie do miary, podała podwojewodzinéj, która z kolei przytwierdzała wszystkie do złotego łubka.

W drugim pokoju tymczasem, druchny stroiły pannę młodą. Piękna Zuzia okryta pudermantłem, siedziała na taborecie przed srebrną gotowalnią; młodsza siostra Frania, układała jéj wysoką fryzurę w melon i przytwierdzała włosy do poduszki wpiętéj wraz z grzebieniem, na samym środku głowy, młodsza Basia pudrowała włosy za pomocą maleńkiego mieszka; Agatka szykowała wodę na srebrnéj miednicy. Każda druchna znalazła coś do roboty; ja jako najmłodsza trzymałam w ręku białe atłasowe trzewiczki haftowane złotem, w które miałam obuć pannę młodą.

W niespełna godzinę, nasza Zuzia już była gotowiuteńka do ołtarza; a prześlicznie jéj było w białéj gazowéj lewitce z ogonem, przerabianéj w kwiaty i takiéjże sukni pod spodem. Podwojewodzina uwiła tymczasem wianeczek, pobłogosławiła go z powagą, wszystkie matrony toż samo uczyniły, podając go sobie z rąk do rąk. Podkomorzyna tylko i dwie wdowy, przeżegnały go zdaleka. Podczaszyna nakoniec odebrała wianek, zawinęła w biały płatek odrobinę chleba, soli i cukru, oraz pieniądz złoty, i przywiązała to wszystko nieznacznie pod spodem do złotego łubka, a przeżegnawszy wianek krzyżem świętym, odmówiła krótką modlitewkę, i przypięła go na samym

środku fryzury ukochanéj córce, zalewając się łzami. Zuzia upadła do nóg matki jak długa. Drzwi się tymczasem otworzyły, i zgromadzeni panowie weszli tłumem do pokoju, a w pośrodku nich pan młody. Oj! dzielny to był chłopak mospanie! nie darmo wszyscy w Warszawie nazywali go pięknym Jasiem. Ubrany był wspaniale, jakby na królewskie pokoje, ale i bez stroju nie brakłoby mu urody. Oczy miał czarne, pełne i błyszczące, a rumieniec świeży jak u panny, co pięknie odbijało przy upudrowanéj czuprynie, jeno mi się okrutnie nie podobał ów czarny harbejtel z kokardą, co mu się spuszczał z tyłu głowy aż na plecy. Piękniejsze były daleko podgolone pałki naszych panów; cóż, kiedy kapitan musiał się trzymać dworskiego obyczaju. To téż i według dworskiéj mody, nie miał na sobie kontusza ani żupana, jeno suknię błękitną ze stalowemi guzami, wielkiemi jak talary, co się zdaleka świeciły jakby dyamenty, a pod spodem miał długą, białą atłasową kamizelę, wyszywaną suto w różnobarwne ptaki, świecącą folgą, blaszkami i bajorkiem. W miejsce zaś butów, miał jedwabne pończochy i trzewiki ze złotemi sprzączkami. Oj! nie jedno dziewczę zazdrościło Zuzi w cichości serca pięknego narzeczonego; ale co starsze panie, to

choć lubiły pana Jana, nie rade patrzały na jego strój nowomodny, a co panowie, to głośno szeptali pomiędzy sobą, i powtarzali jeno pod nosem: „Oj błazeństwo! błazeństwo!"

Tu pani Wojska zażyła znów tabaki, lekko potrząsając głową.

— Owóż mówię wam, ciągnęła po chwili, jak się wszyscy zgromadzili do sali, pierwsza swacha, a była nią stolnikowa sochaczewska, jęła obchodzić wszystkich panów do koła, dygnęła przed każdym grzecznie, i prosiła o pożyczenie spinek i pierścieni dyamentowych do przystrojenia panny młodéj. Każdy oddał co mógł, i niebawem chustka, którą stolnikowa trzymała w ręku, pełna była drogocennych klejnotów. Nikt jéj nie śmiał odmówić, bo téż to była miła i urodziwa pani, choć już nie pierwszéj młodości. Pamiętam jak dziś, ufryzowaną była w miotłę, na samym czubku głowy, przypięty miała do poduszki kornecik z różami i pękiem piór, a końce od korneta spuszczały się na plecy, aż poniżéj pasa. Na sobie zaś miała suknię koloru łososia z falbanami i robron guldekanarowy z ogonem, z ciężkiego pekinu, bogato haftowanego w kwiaty.

Kiedy już stolnikowa zebrała dostatkiem klejno-

tów, wysypała je z chustki na stół, a druchny jęły przytwierdzać pierścienie i spinki do długich iglic, i wpinały je rzędem we włosy po-nad czołem panny młodéj, tak, że tylko same czubki świeciły nad wysoką fryzurą, a było ich z górą dwadzieścia. To téż ślicznie Zuzia wyglądała, istnie jakby królowa w koronie, a kapitan omało co jéj nie zjadł oczyma.

Kiedy już wszystko było gotowe, otworzyły się podwoje do wielkiéj sali, gdzie był ustawiony ołtarz zdobny w srebrne świeczniki i wazony pełne rzadkich kwiatów; stopnie ołtarza wysłane były bogatym kobiercem. Dla deszczu i słoty, trudno było jechać do kościoła, dlatego ślub odbył się w pokoju, za pozwoleniem miejscowego proboszcza.

Państwo młodzi upadli do nóg rodzicom. Podczaszy pobłogosławił ich drżącą ręką. Podczaszyna zapłakała nieboga, zwyczajnie jak to matka, i wszystkim téż łzy puściły się z oczów. Starszy podczaszyc poprowadził siostrę do ołtarza; Basia i Frania wzięły pod ręce pana młodego, i wszyscy za niemi weszli na salę przemienioną w kaplicę. Pięknie było patrzéć na poważne panie, strojne w atłasowe i pekinowe lewitki i robrony; długie ogony wlokły się za niemi po posadzce, pęki piór kołysały się im na wy-

sokich fryzurach, a klejnoty świeciły na nich jakby gwiazdy. I dziewczętom nie źle było w gazowych kabacikach, boć im sama młodość dodawała krasy.

Kapela zagrzmiała Veni creator, moździerze huknęły na dziedzińcu, aż się wszystkie okna zatrzęsły; ksiądz kustosz, brat stryjeczny podczaszego, wystąpił przed ołtarz w sutéj rokiecie, i po długiéj przemowie, związał ręce państwu młodym. Zuzia biedaczka zanosiła się aż od ciężkiego płaczu, bo choć nieboga kochała kapitana, przecież nie mogła suchém okiem patrzéć na łzy matki i rodzeństwa. Oj! ale za to nie długo oschły jéj z łez oczy, jak jeno spojrzała na uszczęśliwionego małżonka, boć ją téż kapitan kochał całém sercem, i nie kochał rok ani dwa, ale jak Bóg przykazał, aż do grobowéj deski; a i Zuzia téż odpłaciła mu się nawzajem.

Wieczorem odbyły się oczepiny w pokoju państwa młodych, a wszystko szło po formie według dawnego obyczaju; jednak nic wam o tém nie powiém, bom tam nie była; my dziewczęta tańczyłyśmy tymczasem w bawialnéj sali, kędy nam przyniesiono nie jednę tacę cukrów i słodyczy z wspaniałéj kolacyi, do któréj tylko poważne matrony przystęp miały.

Oj! bawiliśmy się, bawili, trzy dni i trzy noce bez

ustanku! Już nie wiem, jak tam rąk stało kapeli, a nam jak nóg starczyło do tańca, to tylko pamiętam, że nikomu nie brakło ochoty. Grzmiały wiwaty przy stole, za oknami huczały moździerze, a wszystkim jeno serca skakały w piersi, boć to było prawdziwe wesele!

Umilkła starowina i wlepiła oko w dogasający na kominku płomień, a zajęta cała wspomnieniem, nie zażyła nawet tabaczki, lubo trzymała tabakierkę w ręku.

— I gdzież się to wszystko podziało? rzekła po chwili drżącym głosem. Kędyż są ci wszyscy, co wtedy żyli i byli szczęśliwi? Rozsypali się oto na wszystkie strony, jakby suche liście po lesie, pędzone wichrem jesiennym! Zalegli groby i cmentarze, a robak stoczył ich ciała! Ja jedna pozostałam, jak ostatni pień na polu, kędy niegdyś rosły poważne dęby, a jak mnie Pan Bóg powoła do siebie, nie będzie nawet nikogo, coby wspomniał: jak to niegdyś bywało!....

I dwie łzy pełne potoczyły się po zwiędłych jagodach starowiny.

— Niech cię Bóg zachowa w najdłuższe lata ciotuniu! rzekł rozrzewniony pan Karol, ale bądź spo-

kojna, bo kiedy ciebie już nie stanie, my przekażemy następnym twoje powieści i wspomnienia.

Pani Wojska nie odrzekła ani słowa, podniosła tylko do nieba wzrok zamglony, a po poruszeniu ust znać było, że się modliła. Uśmiech przelotny, jakby połysk nadziemskiéj nadziei, ożywił chwilowo jéj lica, i drżącą ręką złożyła krzyżyk nad głowami Karola i Teresy.

IV.

CÓRKA POETY.

POWIEŚĆ.

CÓRKA POETY.

POWIEŚĆ.

Drogą wiodącą z Kutna do Łęczycy, sunęła szybko parokonna pocztowa bryczka. Odgłos trąbki rozlegał się po obszerném polu, przerzniętém zaledwie małym dębowym laskiem. Złote kłosy dojrzewającéj pszenicy kołysały się na niwie po obu stronach drogi. Opodal nieco, żyto poukładane w kopy, wznosiło się w długich szeregach, a bydło bujało ochoczo po rżysku, karmiąc się pozostawionym gdzieniegdzie kłosem, lub bujną trawą zieleniejącą wpośród rżyska. Wielkie półtoraczne wozy ciągnione w cztery konie, toczyły się zwolna polem ku stodole, a dziarskie parobczaki potrzaskując

długim biczem, śpiewali mazowieckie piosenki kończące się za każdą zwrotką ulubionym okrzykiem: dana! dana!

Pod samą wsią, do któréj zdążała pocztowa bryczka, gromadka ludzi dorzynała żyta na polu. Robota szła z niesłychanym pośpiechem, bo słońce chyliło się właśnie ku zachodowi, a kilka jeszcze zagonów pozostało nietkniętych sierpem; karbowy siedział na przewróconym snopie, paląc krótką fajeczkę.

Na odgłos trąbki pocztowéj, dziewczęta podniosły głowy pochylone ku ziemi, otarły z potu uznojone czoła, odgarnęły włosy i popatrzały chwilę.

— No, żwawo, żwawo dzieci! zawołał karbowy łagodnie, wszakże wiécie, żem przyrzekł naszéj pani, że dziś dorzniemy resztę żyta. Pan Bóg dał przecież pogodę, trzeba łapać co można.

— Oj! to téż spieszywa się co siły, odparła młoda jeszcze kobieta, zajmując sierpem dobrą garść zboża. Boć téż to dla takiéj pani jak nasza, nie żal człowiekowi pracować, ba! i krwi z pod serca nie pożałowałoby się w potrzebie.

— Bogać nie, odparła podeszła Frąckowa. Oj! nie wszędzie to tak jak w naszéj wiosce. Pan Bóg miłościwy nad nami sierotami: roboty ma człowiek po-

dostatkiem, jak przyjdzie przednowek, to jest za co kupić kawałek chleba, a choć ci wej zabraknie, to pójdziesz do dworu, jak do własnéj komory.

— To téż ludzie trzymają się Zadola, rzekł gospodarz Paweł, nie przerywając pracy, bo i dlaczegożby się trzymać nie mieli, kiedyć ci tu jak u Pana Boga za piecem. Zimą znajdzie się i gałązka na ogień, latem pastwiska dostatkiem dla bydła i trzody, w czasie nieurodzaju zapomoga, w chorobie lekarstwo i rada, a zawsze dobre słowo i święta sprawiedliwość. Oj! dzieci, dzieci, powinniśta na kolanach Panu Bogu podziękować za waszą dolę!

— Toć my téż i nie narzekamy, mój gospodarzu, odparł młody Franek, ale powiedzta sami, czy to tak wszędzie być nie powinno? Pan Bóg przecie dał wszystkiego podostatkiem dla wszystkich, jeno ludzie jakoś popsuli: jedni wzięli zawiele, to téż nie dziwota, że drugim zostało się zamało.

— Powinno, powinno, pomrukiwał Paweł pod nosem, jużcić zapewne, że powinno, ale czy to zawsze na świecie tak się dzieje, jak się dziać powinno? Koniec końcem, u nas lepiéj jest jak gdzie indziéj; dziękować za to Panu Jezusowi i Matce Najświętszéj,

a prosić Ich majestat o najdłuższe zdrowie i życie naszéj pani.

— Oj! prosimyćwa, prosimy codzień rano i wieczór, przerwała Frąckowa, cóż, kiedy jakoś Pan Jezus próśb naszych słuchać nie chce. Byłam wczoraj rano we dworze, widziałam naszą panią, jak się krzątała koło ogrodu, ale jakoś nie domaga niebożątko; taka blada i chuda, istny trup.

— Wiécie co dzieci? rzekł Paweł, złóżwa się po parę groszy, boć to przecie nikogo nie zuboży, a jak jeno sprzątniem co pilniejsze, to pojedziem z księdzem proboszczem do Topoli. Może téż Matka Najświętsza cudowna weźmie nas sieroty pod swoję opiekę i powróci zdrowie naszéj kochanéj pani.

— Święte wasze słowa gospodarzu, odparła Frąckowa, ale spieszcie się, radzę wam, bo już chyba jeno Pan Bóg może wszystko przemienić na dobre; ludzie tu podobno niewiele poradzą.

To mówiąc, podeszła niewiasta otarła nieznacznie łzę płynącą po zwiędłém licu, grubym rękawem od koszuli.

Bryczka tymczasem zbliżała się do wsi szybkim kłusem. Pocztylion przygrywał na zwykłą nutę. Na bryczce siedział mężczyzna około trzydziestoletni, zna-

czących pociągłych rysów twarzy, ale blady i nieco zamyślony.

Na tle zrumienionego blaskiem zachodu nieba, rysowała się niewielka wioska, zarzucona malowniczo po obu stronach drogi.

Chaty wieśniacze nikły w cieniu grusz, śliw i jabłoni, okalających je z trzech stron. Jedną stroną tylko każda z nich dotykała do podwórka zagrodzonego płotem, które służyło gospodarzom za skład drzewa i różnych porządków rolniczych. Lekki dym unosił się po-nad wioską, połączony z mgłą wieczorną. Na prawo wznosiła się szara wieżyczka drewnianego kościołka, otoczonego wiejskim cmentarzem, na którym w pośród pomniejszych krzyżyków i mogił, odznaczał się krzyż kamienny, napół ukryty w cieniu zielonych świerków. Na szczycie staréj gruszy spoczywało gniazdo bocianie, puste obecnie, bo chwilowy jego mieszkaniec uleciał niedawno do cieplejszych krajów. Z lewéj strony wioski, na wzgórzu, rysowały się rozłożyste śmigi wiatraka, a blizko niego przy drodze, stał krzyż pochylony laty. W głębi, na przeciwko drogi, widać było zdala biały nie wielki dworek o czterech oknach, z zielonemi okiennicami; przed nim ładne podwórze, pokryte jak ko-

biercem bujną zieloną trawą, osadzone po bokach krzewami, okrążone żywopłotem ze strzyżonéj wierzbiny, za dworkiem zaś rozciągał się dosyć obszerny ogród zakończony strugą płynącą wśród pięknéj olszyny. Ładna to była wioska, choć przyroda nie była dla niéj hojniejszą jak dla innych w okolicy. Ale tu co krok znać było rękę baczną i smak wykształcony. Wyniosłe topole otaczały śpichlerz, stodoły i inne gospodarskie budowle. Droga idąca środkiem wsi, wysadzona była akacyą i jarzębiną, uwieńczoną w pęki korali, jaśniejące w téj chwili całym swym blaskiem. Ptastwo zbiegało się do dojrzałych jagód, i szczebiotaniem swojém dodawało życia owéj cichéj i nadobnéj ustroni.

Zadole, od lat wielu należało do niezbyt zamożnéj rodziny Z..... Poprzedni właściciele owéj wioski znani byli w okolicy jako ludzie prawi, poczciwi, przyjacielscy, a nadewszystko dobrzy i łagodni dla włościan, wyrozumiali na ich potrzeby, nie chciwi na korzyści okupione krzywdą ludzką, lub téż zbyt uciążliwą pracą i znojem. Kilka lat temu, umarł właśnie ostatni właściciel Zadola, sędzia Z., pozostawiwszy żonę i jedyną córkę, która obecnie zostawała w posiadaniu wioski.

Joanna w siedmnastym roku, wkrótce po śmierci ojca, poszła za młodego Wacława. Sędzia krzywém okiem patrzał na ten związek. Długo, długo nie chciał dać przyzwolenia, a na końcu pokonany prośbą córki i żony, przystał ale niechętnie. W chwili śmierci nawet nie okazał się łaskawszym; skonał, zaczém się namyślił dać ostatnie błogosławieństwo narzeczonym. Nie odstręczało go bynajmniéj ubóstwo Wacława, ostrzegał go raczéj jakiś niewytłumaczony instynkt rodzicielski, który mówił mu wyraźnie, że jego Joasia nie będzie z Wacławem szczęśliwą.

Po kilkoletniém pożyciu, Wacław umarł na anewryzm serca. Joanna pozostała sama z maleńką córeczką Wandzią. Sędzina, która po zamężciu córki zamieszkała w Warszawie, na jéj usilne prośby i nalegania, przeniosła się do Zadola. Minęło już lat sześć od śmierci Wacława; mała Wandzia tylko co zaczęła jedenasty rok życia.

W chwili, o któréj mowa, Joanna siedziała na ławeczce przed dworem, otulona w watowany płaszczyk, mimo, że wieczór ciepły był i pogodny; twarz jéj blada była i wynędzniała, czoło porysowane przedwcześnie, kilka zmarszczek okrążyło jéj ciemne i piękne oko, płonące dziwnym blaskiem. Obok niéj sie-

działa podeszła sędzina, przebierając żwawo drutami od pończoszki. Milczały obiedwie, tylko krótki kaszel Joanny przerywał co chwila głęboką ciszę. Nieco opodal, na miękkiéj murawie siedziała dziesięcioletnia Wandzia. Oko błękitne dziewczęcia ścigało ostatnie promienie słońca, przebijające różowo z po-za obłoków rozproszonych po niebie, jakoby złote stada gołębi. Smutną była i zamyślona, spoczywała nieruchomie, drobne ręce splotła na piersi, a rysy dziecinnéj jéj twarzyczki zapowiadały myśl rozwijającą się przedwcześnie.

— Wandziu! Wandziu! zawołała sędzina, przeleć się aniołku po podwórzu. Złap oto jakiego motyla, a tyle ich w południe latało tu dokoła.

— Motylki śpią babulko, odparło dziecię, przytuliły się do gałązek róży: po co im przerywać spoczynek?

— To idź do ogrodu, urwij ładnych kwiatków, i postaw w szklance na stoliku mamy.

— Pozwól im babciu droga, niech sobie kwitną, w ogródku im tak dobrze i miło. Nieprawdaż mamo kochana?

Joanna uśmiechnęła się smutnie, i w miejsce odpowiedzi, objęła tkliwie okiem jasnowłosą dziewczynkę.

— Ależ tak siedzisz, mój aniołku; w twoim wieku potrzeba koniecznie ruchu i zabawy, rzekła sędzina.

— O! moja babciu, mnie tak miło jak poglądam w to prześliczne niebo, gdzie jak powiadasz sama, mieszka Pan Bóg z aniołkami. A jeszcze dziś, patrz, jakie piękne, jaki blask różowy bije z owego okienka, które aniołowie zamkną za chwilę.

— Z jakiego okienka? moja Wandziu.

— A czyż to słońce nie jest okienkiem nieba, odparła dziewczynka. O! jakże tam być musi wewnątrz, kiedy przez okienko tyle bije blasku i ciepła!

— Mylisz się moje dziecię; słońce, to takie ciało jak i ziemia.

— Żartujesz babciu, odpowiedziała dziewczynka z uśmiechem, tu tak czarno i zimno, a tam tak jasno i cudnie; i mogłożby to być jedno? Nie gniewaj się babciu, ale ja ci nie wierzę.

— Uwierzysz moje dzięcię, jak będziesz starsza, jak wyższa nauka dostępną będzie dla twego umysłu.

— O! już ja wolałabym nic nie umiéć, jak wiedzieć, że słońce to nie okienko od nieba. Mój Boże, a ja się tak cieszyłam, myśląc sobie, że może Pan Bóg tém okienkiem wygląda czasem na swoję ziemię, i patrzy na nas sam niewidzialny.

I twarzyczka dziewczynki posmutniała widocznie; spojrzała w ziemię, a cień długich rzęsów odrysował się w dwóch ciemnych półłukach na białém tle jéj lica.

— Poetka! rzekła półgłosem sędzina, skinęła smutnie głową, i ciężkie westchnienie wydobyło się z jéj piersi.

— Biedna, biedna poetka! powtórzyła Joanna, i łza zabłysła w ciemném jéj oku.

W téj chwili trąbka pocztowa odezwała się opodal. Turkot z razu słabo, niewyraźnie dał się słyszéć na drodze, i w kilka minut, po-za żywopłotem z wierzbiny, ukazała się bryczka, otoczona gęstym tumanem kurzu; skręciła w bramę na dziedziniec, zajechała przed biały dworek, i mężczyzna dosyć jeszcze młody, wyskoczył z niéj spiesznie.

— Stanisław! zawołała Joanna, wyciągając do przybyłego białą i wychudłą rękę.

Stanisław ujął ją z uczuciem, przycisnął do ust w milczeniu, rzucił okiem na zmienioną postać Joanny, i westchnął ciężko, boleśnie.

— Mój Stasiu! mój dobry, poczciwy Stasiu! mówiła sędzina całując go w głowę prawdziwie po macierzyńsku; czyż się należało tak o nas zupełnie za-

pomniéć? Jakeś się zasiedział w Warszawie, tak cię już ani zobaczyć na wsi.

— Przebacz droga ciociu, radbym był szczerze nie raz zajrzéć do Zadola, ale obowiązki urzędowania mego zatrzymywały mnie dotąd w Warszawie; sercem jednak, wierzcie mi, przebywałem zawsze z wami.

— O! my też nie wątpimy o twém sercu, mój poczciwy Stasiu, rzekła sędzina.

Stanisław tymczasem zbliżył się do Wandzi, przycisnął ją do piersi, pocałował gładkie czoło dziewczęcia, i smutném okiem objął nadobną jéj postać.

— A cóż Wandziu, nie zapomniałaś wujaszka? zapytał tkliwie.

— Ja nigdy nie zapominam tych, których kocham, odparła zcicha dziewczynka.

Wietrzyk wieczorny zawiał w téj chwili nieco mocniéj.

— Joasiu! rzekła matka, pójdźmy do pokoju; powietrze wilgotne od rosy, może ci zaszkodzić.

— Dobrze, moja mamo, odparła młoda kobieta, i wszyscy razem weszli do pokoju.

Sędzina zaprowadziła Stanisława do bawialnego pokoju. Joanna tymczasem poszła z sieni w przeciwną stronę, a Wandzia pobiegła za matką.

— Stasiu! mój Stasiu! rzekła podeszła sędzina do siostrzeńca, ujmując jego rękę, cóż ty mówisz na stan jéj zdrowia? jakżeś ją znalazł po kilku miesiącach niewidzenia? To mówiąc, przenikliwém okiem patrzała biedna matka w oczy zagadnionego, chcąc zbadać myśl jego tajemną.

— Bądź spokojna, droga ciociu, odparł nieśmiało Stanisław spuszczając powieki w ziemię dla ukrycia łzy krążącéj mu w oku, mizerna cokolwiek, ale przecież wiek sam zwalczy chorobę.

— Wiek! odparła matka z westchnieniem. O! nie, mój Stasiu, właśnie, im wiek młodszy, tém choroba tego rodzaju działa gwałtowniéj; biedna, biedna Joasia!

— Ciociu, ufaj w Bogu, On cię nie opuści, On wróci zdrowie twéj córce.

— Powiédz raczéj: On mi doda siły do zniesienia strasznego ciosu, na jaki skazała mię wola Przedwiecznego.

To mówiąc, sędzina zapłakała gorzko. Stanisław w miejsce odpowiedzi, otarł nieznacznie łzy spływające wzdłuż męzkiego i bladego jego lica.

W téj chwili Joanna wróciła do pokoju. Łzy matki, pomieszanie Stanisława, nie uszły bacznego jéj

oka; udała jednak, że tego bynajmniéj nie spostrzega; uśmiech nadobny rozjaśnił nawet łagodne jéj rysy. Wandzia trzymała matkę za rękę.

Niedługo wniesiono świecę i herbatę. Sędzina wyręczając córkę, podała filiżankę Stanisławowi, sama wzięła drugą; Joanna nalała ziółek, i wszyscy posilali się, rozmawiając swobodnie. Wandzia tylko jeść nic nie chciała, usiadła w oknie, i błękitne oczy wlepiła w niebo zasiane milionem gwiazd, w pośród których księżyc w kształcie świetnego sierpa, rozsiewał srebrne promienie, i odbijał jasno o krzyż blaszany, zakończający dzwonnicę kościołka.

— Wandziu! Wandziu! zawołała sędzina.

Dziewczynka drgnęła widocznie, zdało się, że przykrym był jéj głos ludzki, który odrywał duszę jéj z błogiego marzenia.

— Co rozkażesz, babuniu? zapytała, zwracając na sędzinę swe piękne, błękitne oczy.

— Weź pończoszkę aniołku, i siadaj tu z nami przy stoliku, a pamiętaj kochanko, że kobieta powinna sobie wziąć za zasadę w życiu, żeby nigdy ani jednéj chwili nie zmarnować napróżno. Praca, Wandziu moja, to cała mądrość i cała zasługa kobiety.

— Droga babciu! alboż to tracimy czas wtedy, gdy poglądamy na świat boży, gdy dusza nasza leci do nieba, i myślą modli się do Boga?

— Nie, zapewne, odparła babka z widoczném pomieszaniem, ależ moje dziecię, na wszystko jest czas właściwy. Praca nasza miłą jest także Panu Bogu.

Stanisław z smutnym uśmiechem zbliżył się do dziewczynki, ujął drobną jéj rączkę i przycisnął do piersi.

— Cóżeś tam zobaczyła droga Wandziu? zapytał wskazując na okno, co tak oderwało duszę twą od ziemi?

— Patrz wujaszku, patrz, odparło dziewczę wskazując na niebo iskrzące gwiazdami, jak tam pięknie, cicho i błogo! Gwiazdy, to oczy aniołków, któremi patrzą z wysokości swéj na świat boży; nieprawdaż wujaszku?

Stanisław uśmiechnął się.

— Nie, moje życie, odparł, aniołki, to czyste duchy bez ciała; oko ich nasze nie dojrzy, tylko dusza nasza czuje ich wpływ tajemniczy, dopóki sama czysta i niewinna jak one.

— O! to już ja wiem, odparła dziewczynka, gwia-

zdki, to zapewne łzy, któremi Pan Bóg i święci płaczą nad nędzą ludzi; nieprawdaż wujaszku?

— Nie, kochanko, w niebie wieczna panuje radość i wesele; tam łzy nieznane, bo łzy, to smutny przywilej ziemi.

— Żartujesz chyba wujciu, a przecież Pan Bóg kocha człowieka; miałżeby nigdy nie zapłakać nad jego niedolą i nędzą? Wszakże i Chrystus był Bogiem, a płakał w ogrodzie Oliwnym, gdy się modlił do Ojca swego w niebie.

— Bo wówczas ciało ludzkie gniotło go swym ciężarem, bo był na ziemi, moje dziecię.

— Wandziu! Wandziu! dałabyś już pokój, przerwała sędzina. Co tobie tam w to wchodzić, co robi Pan Bóg i aniołowie w niebie, nie człowieka to rzecz suszyć sobie głowę nad tém daremnie.

Joanna założywszy ręce na piersi, okiem pełném miłości i smutku, patrzała na dziewczynkę, która odeszła zwolna od okna, wzięła pończoszkę w rękę, i usiadła w milczeniu opodal nieco od stolika.

— Poetka! rzekła zcicha sędzina do Stanisława, podając mu drugą filiżankę herbaty. Oj! ciężko, ciężko nas Pan Bóg dotyka.

Stanisław skinął głową w milczeniu.

* * *

Na drugi dzień, Joanna ożywiona przybyciem Stanisława, czuła się zdrowszą i silniejszą. Sędzina obchodziła od samego rana kobiece gospodarstwo, zastępując słabą córkę. Wandzia uczyła się zadanéj przez matkę lekcyi. Joanna wsparta na ramieniu młodego krewnego, wraz z nim upatrzywszy stosowną chwilę, udała się drogą ku niewielkiemu laskowi.

Poranek był cudowny, prawdziwie letni. Ani jedna chmurka nie ćmiła jasnego błękitu nieba, wszystko na bożym świecie oddychało błogą ciszą i spokojem. Ptastwo śpiewało ranną piosenkę, pstre motyle przelatywały swobodnie z krzaczka na krzaczek, pszczoły brzęcząc, wysysały miód z wonnych kielichów, zapach rozkwitłéj lipiny mile nęcił zmysły; wszystko żyło, wszystko pieśnią lub wonią dziękować się zdawało Stwórcy, za krótkie chwile istnienia.

Długo, długo Joanna postępowała w milczeniu obok Stanisława; chciała widocznie coś mówić, ale słowa konały jéj w ustach, głos nie chciał się prze-

drzéć z piersi. Stanisław z swéj strony lękał się być natrętnym; czuł on, że zwierzenie miało być przykre i bolesne, pragnął więc jak mógł oddalić jego chwilę.

Zaszli nakoniec do lasku; woń żywiczna sosen, orzeźwiła nieco płuca Joanny, cień rzucony na ziemię rozłożystemi gałęziami dębów, dodał jéj śmiałości. Usiadła na zielonéj murawie, posłuchała chwilę owego leśnego szumu, tak pełnego dziwnego jakiegoś uroku, powiodła okiem po owych białych brzozach, chylących ku ziemi płaczące swe gałęzie, nareszcie po krótkim namyśle, zebrawszy dostateczną siłę, wyciągnęła do Stanisława drżącą i wychudłą rękę.

— Przybyłeś bracie na wezwanie moje, rzekła zcicha, dzięki ci za to!

— Każdéj chwili Joanno, gotów jestem i będę na wezwanie twoje; rozkaż tylko, a uczynię co zażądasz.

— Bracie! rzekła młoda kobieta spuszczając oczy ku ziemi, Bóg policzył dni moje: niewiele mi ich po zostaje. Wezwałam cię jedynie, chcąc ci oddać w opiekę dziecię moje, moję biedną Wandę.

— Porzuć te smutne myśli, siostro ukochana! Bóg pozwoli ci życia, nie wątpię o tém; będziesz jeszcze patrzéć na szczęście twojéj córki.

— Bóg oszczędzi mi widoku jéj lez i niedoli, odparła Joanna zcicha, lecz stanowczo. Tak, Stanisławie, czuję śmierć tu w piersi mojéj; chwila krótka, a zerwie się wątła nić życia, która mnie jeszcze wiąże do ziemi.

— Jeżelić taka wola Przedwiecznego, odparł smutnie Stanisław, czemu, przebacz Joanno, ale wierzyć nie mogę: wówczas bądź pewna siostro, Wanda znajdzie we mnie ojca.

— Nie wątpię o tém, bracie drogi, dlatego też śmiało udałam się do ciebie. Ale Stanisławie, uprzedzić cię powinnam, że ciężki, bardzo ciężki obowiązek wkładam na barki twoje. Wanda nie jest takiém dzieckiem jak inne; wyobraźnia jéj chorobliwa, odrywa ją nieustannie od ziemi, a pcha ją w krainę dumania i poezyi, gdzie nie ma podobno szczęścia, zwłaszcza dla kobiety. Wanda, to wierny obraz Wacława, dodała drżącym i cichym głosem.

— A przecież Wacław uszczęśliwić cię potrafił droga siostro, odparł Stanisław, a przecież sam był szczęśliwym.

— Stanisławie, rzekła Joanna zwolna, uroczyście na grobie męża przysięgłam wieczne milczenie; serce moje było do téj chwili grobem, w którym cicho, ta-

jemniczo spoczywały dotąd łzy moje, cierpienia i zawody. Dziś po raz pierwszy postanowiłam ci uchylić ową zasłonę, i nie mam wyrzutu, bo czynię to jedynie dla szczęścia mego dziecka, dziecka Wacława.

— Jakto, tyś nie była szczęśliwą Joanno? zapytał zdziwiony Stanisław, być-że to może?

— Byłam szczęśliwą, bracie, ale niestety zaledwie krótką chwilę. Ojciec umierając, nie dał mi błogosławieństwa, o które błagałam ze łzami, klęcząc z Wacławem u stóp jego łoża; to téż i Bóg odmówił w życiu pociechy. Wacław był poetą; duch jego krążąc w nadziemskich sferach, nie umiał się zniżyć do potrzeb codziennego życia. Wychowanie moje, jak wiész, skromne było i proste, umysł mój nie sięgał daleko, ale serce moje biło żywo i gorąco, sercem odgadywałam szczytne marzenia Wacława. Jemu to jednak nie wystarczało. W kilka miesięcy po ślubie, dodała coraz bardziéj drżącym i zmienionym głosem, uczułam wyraźnie, że miłość męża mego stygnąć zwolna poczyna, i zamienia się nie w tkliwą przyjaźń jak zwykle, ale raczéj w chłodną obojętność, a kto wié, czy nie w pogardę. Wacław kochał we mnie ideał, który w własnéj wymarzył duszy; bliższe pożycie zwiało urok, który mnie niegdyś w oczach

jego otaczał. Ileż to ja wylałam łez gorzkich, błagając Boga, aby oświecił mój umysł, aby mnie uczynił godną miłości Wacława. Wszystek czas zbywający od koniecznych zatrudnień domowych poświęcałam nauce. Postępowałam codziennie, myśl moja wznosiła się coraz wyżéj, koło wyobraźni mojéj rozprzestrzeniało się nieskończenie, ale Wacław już tego nie dostrzegał. Już serce jego ostygło dla mnie nazawsze, ja zaś w obec niego nieśmiała i drżąca, nie umiałam nawet dać poznać rzeczywistéj mojéj wartości.

Urodzenie Wandzi wzmocniło nieco osłabiony już węzeł. Zdawało mi się chwilę, że Wacław kocha mię więcéj niż kiedy. I znów byłam szczęśliwą, szczęśliwą bez miary. Ale był to ostatni odblask zachodzącego słońca. Miłość moja, któréj nie umiałam być panią, znudziła Wacława. Wówczas to właśnie wydrukowano jego prace, które zyskały poklask powszechny. Dawni znajomi i przyjaciele wezwali go do Warszawy. Wacław wyjechał, zostawiwszy mnie samą, łzami oblewającą kolebkę dziecka. Biedna Wandzia wraz z mlekiem ssała z piersi mojéj ból i gorycz zawiedzionego i znękanego serca. Zdrowie dzieciny wątłe było i słabe; drżałam nieustannie o jéj życie. Warszawa, jak wiész, świetnie przyjęła Wacława;

pisma i dzienniki brzmiały pochwałą jego pracy. Odblask sławy jego spadał i na mnie, ależ o Boże! jakże gorzko okupiłam jego sławę! Wyprawiano dla Wacława uczty, zabawy i wieczory; kobiety ubiegały się na wyścigi o każde jego słowo lub spojrzenie. Jedna z nich nawet, piękna i rozumna, a nadto próżna i lekkomyślna, opanowała umysł jego tak skłonny do wrażeń. Wacław powrócił. wybiegłam naprzeciw niego, niosąc na ręku moję małą Wandzię. Powitał mnie obojętnie, dziecię popieścił zaledwie. Odtąd smutny był, zimny i milczący. Z większym, niż kiedykolwiek zapałem oddał się literackiéj pracy; poranki całe trawił w swoim pokoju, wieczory i noce przesiadywał przy biurku, otoczony zapylonemi księgami i rękopismami. Gospodarstwo szło źle i niedbale. Książki i ryciny pochłaniały zbyt wielkie na nasz majątek summy. Znaglona koniecznością, bacząc na przyszłość biednéj Wandzi, musiałam wyjść z obrębu właściwego kobiecie: musiałam się zająć nie tylko zarządem domowym, ale nadto rolą i interesami. Okoliczność ta więcéj jeszcze oddaliła odemnie Wacława. Żyliśmy obok siebie, obcy prawie i samotni. Wacław nie domyślał się nawet, co się dzieje

w mojéj duszy. Co do mnie, godziłam się z życiem jak mogłam, poświęcając Bogu łzy moje i boleści.

— Biedna, biedna Joanno! tyś cierpiała, a my wszyscy mniemaliśmy, żeś szczęśliwa! matka twoja nawet nie wiedziała o niczém.

— Domyślała się ona wprawdzie, że serce moje cierpi, widząc mnie niknącą prawie codziennie: ale cicha i pobożna, składała u stóp krzyża nieszczęście, na które nie było ratunku. Praca zbyteczna nakoniec, ciągnęła Joanna, obok wewnętrznego udręczenia i niepokoju, strawiła Wacława: umarł z piórem w ręku, skutkiem pęknięcia żyły w sercu.

Tu młoda kobieta otarła łzy płynące po bladém i zapadłém licu.

— Po śmierci jego, dodała zcicha, znalazłam między papierami, listy téj, która mi odebrała resztę mojego szczęścia. To mówiąc, zaszlochała głośno.

— Biedna, biedna Joanno! rzekł Stanisław z westchnieniem, cisnąc do ust skostniałą rękę młodéj kobiety.

— Wówczas dopiero otworzyły mi się oczy, mówiła daléj Joanna, nie wiedziałam bowiem wcale o słabości Wacława. Chłodną jego obojętność brałam dotąd za skutek zbytniego zamiłowania pracy: mniema-

łam, że sztuka jedyną jest moją współzawodniczką; przekonałam się, że było inaczéj. Com cierpiała, Bogu to tylko wiadomo. Bóg uchronił mnie od rozpaczy. Stanisławie, dodała po chwili, u stóp Jego złożyłam wieniec uwity z cierni życia, ale zdrowie moje stargało się na zawsze, dotąd wiek młody walczył ze zbliżającą się śmiercią, dziś zrywa się nić nazbyt długo wytężona.

Stanisław w miejsce odpowiedzi, ocierał nieznacznie łzę, wydzierającą się gwałtem z pod powieki.

— Bracie, oto wszystko co ci powiedziéć miałam; czuwaj nad mojém dzieckiem, czuwaj nad biedną Wandą. Odziedziczyła ona burzliwy umysł ojca, mażącą jego duszę. Zwracaj zawczasu myśl jéj młodocianą do Boga i religii. Nie wydzieraj jéj nazbyt gwałtownie z krainy poezyi, w któréj jéj tak błogo i dobrze, jak to czyni niebacznie matka moja. Podrażniony umysł tém bardziéj lgnie do tego, czego mu bronią. Wskaż jéj raczéj bracie, że poezya nietylko w mglistych spoczywa obłokach, ale że ziemia cała zarówno jéj przybytkiem, że i na niéj rosną kwiaty, które pielęgnować, i sercem ukochać należy. Bracie, w twoje ręce oddaję dziecię moje; przyrzecz mi, że jéj nie opuścisz, a wówczas umrę spokojna.

— Nigdy, nigdy Joanno! Dziecię twoje, będzie dzieckiem mojém. Bądź spokojną, biedna, biedna kobieto!

— Dziękuję ci, drogi bracie, wierny przyjacielu!

Milcząc oboje, zwolna wrócili drogą ku domowi.

*

* *

W kilka dni potém, Stanisław odjechał do Warszawy.

— Bracie, mówiła słabym i ledwie dosłyszanym głosem do odjeżdżającego, nie zapomnij twego przyrzeczenia.

— Nie czyń powątpiewaniem krzywdy sercu memu, odparł Stanisław zcicha.

— Podaj mi bracie rękę, bo to już podobno raz ostatni.

To mówiąc, ścisnęła z uczuciem rękę krewnego. Stanisław chciał coś odpowiedzieć, ale słowa pociechy skonały mu na ustach, gdy rzucił okiem na wychudłą i woskowéj bladości postać Joanny, podobniejszéj do grobowego zjawiska, niżeli do żyjącéj istoty. Zbladł tylko, zadrżał, łzy stanęły mu w oczach,

i wskoczył czémprędzéj na bryczkę, chcąc ukryć pomieszanie przed oczyma obecnych.

Joanna po odjeździe Stanisława czuła się coraz słabszą; siły opuszczać ją widocznie zaczęły, krzepiła się jednak jak mogła, nie chcąc zdzierać ostatecznéj zasłony z oczu sędziwéj matki, która z swéj strony taiła przed córką boleść, dręczącą macierzyńskie jéj serce.

* * *

Żniwa zbliżały się do końca. Już resztę pszenicy zwieziono do stodoły, pozostało tylko na pniu nieco późnego owsa i jęczmienia. Paweł, najstarszy gospodarz wioski, naradziwszy się z Frąckową, umyślili przywieść do skutku zamierzoną pobożną pielgrzymkę do Topoli. Zajęli się więc oboje zbieraniem składki na wotywę i świece do Najświętszéj Panny, za pomocą których, mieli nadzieję okupić zdrowie dobréj pani. Każdy we wsi, nie wyłączając i najuboższych, przyłożył się chętnie do ofiary; a w niedzielę, ksiądz proboszcz ogłosił z ambony, że da Bóg doczekać w następujący czwartek, pójdzie sam na czele pobożnéj gromadki.

Nadszedł czwartek. Od samego świtu włościanie z Zadola, niewiasty i dziewczęta, gromadzić się poczęli za bramą na drodze; proboszcz miejscowy stał na ich czele. Pobożna sędzina wyszła ze dworu z głową pochyloną pod brzemieniem smutku i troski, prowadząc za rękę małą Wandzię. Połączyła się z gromadką, witając ze łzą w oku poczciwych włościan, skłaniających się do jéj kolan. Ksiądz proboszcz zaśpiewał drżącym nieco głosem: „Pod Twoję obronę uciekamy się święta Boża R dzicielko!“ wszyscy chórem śpiewali dalsze słowa modlitwy. Zjednoczone głosy płynąc z rosą poranną, rozlegały się po obszerném błoniu, a echo niedalekiéj dąbrowy powtarzało je stokrotnie.

Poranek dnia tego był cudowny, lekka mgła unosiła się po-nad okolicą. Minąwszy przyległy lasek, pobożna nasza gromadka ujrzała się w niezmierzonéj okiem przestrzeni, wśród któréj siniały przymglone mury oddalonéj o mil kilka Łęczycy. Na lewo odznaczały się na bladém tle nieba, dwie wyniosłe wieże kollegiaty tumskiéj, bliżéj nieco stérczała góra świętéj Małgorzaty, uwieńczona maleńkim kościołkiem, a po obu stronach rozciągały się szeroko słynne łęczyckie błota, przerznięte bystrém korytem Bzury.

Około ósméj godziny, grono naszych pobożnych wchodziło z pokorą w niskie podwoje drewnianego kościołka. Dziadek kościelny odkrył zasłonięte oblicze Najświętszéj Panny prostego pęzla, lecz według miejscowego podania, słynące rozlicznemi cudami. Zapalono na ołtarzu przyniesione w darze cztery jarzące świéce; kapłan odprawił ofiarę mszy świętéj, pobożny lud wznosił do nieba prostą modlitwę pełną nadziei i wiary, a usta wszystkich powtarzały, wskazując na klęczącą u stóp ołtarza Wandzię. „Matko Najświętsza! nie zostawiaj jéj sierotą!“

Nie podobało się jednak Bogu wysłuchać modłów wdzięcznego ludu. Joanna w miesiąc potém skonała, tuląc jedną ręką, rękę sędziwéj matki do zapadłéj piersi, drugą zaś składając na jasnéj głowie Wandzi, podczas gdy kapłan odmawiał akty przy konających, a pobożni włościanie, klęcząc kornie pochyleni, błagali majestat boski, już nie o zdrowie swéj dobréj pani, ale o wieczny i rychły pokój jéj cnotliwéj duszy.

*
* *

Stanisław powróciwszy z Zadola do Warszawy, podał się natychmiast o uwolnienie ze służby, którą

pełnił w sądownictwie od lat kilku. Przewidując zbliżającą się smutną chwilę, w któréj będzie zmuszonym uczynić zadosyć przyrzeczeniu danemu Joannie, postanowił uwolnić się z nciążliwych obowiązków, któreby mu stanęły na zawadzie do sumiennego zajęcia się wychowaniem sieroty. Gdy go więc doszła wieść o śmierci ciotecznéj siostry, wyjechał spiesznie do Zadola, zajął się pogrzebem, powrócił na czas krótki do Warszawy, a urządziwszy ostatecznie własne interesa, opuścił miasto na zawsze. Do następnego świętego Jana umyślił mieszkać wraz z ciotką w Zadolu; późniéj zaś chciał zadzierżawić w sąsiedztwie maleńką wioseczkę, aby nie spuszczać z oka ani na chwilę powierzonego mu skarbu.

Nadeszła niebawem zima. Sędzina uspokajać się zwolna zaczęła, godząc się z wolą Stwórcy. Oko jéj zachodziło często jeszcze łzą gorzką i bolesną, ale usta nigdy żadnéj nie wymówiły skargi. Biedna Wandzia zrazu wybladła, wychudła, i co chwila zalewała się łzami na wspomnienie matki, ale czas i ciągłe zajęcie pod troskliwém okiem Stanisława, przyniosły jéj nakoniec błogie zaspokojenie.

Cicho, spokojnie, jednostajnie, upłynęło lat cztery, a żadna zmiana nie zaszła w Zadolu. Wandzia coraz bardziéj z dziecka wyrastała na dziewicę; sędzina tylko pochyliła się ku ziemi pod brzemieniem lat i troski, a pan Stanisław wyłysiał, zpoważniał, i reszta pozostałych włosów pokrywać się zaczęła siwizną.

Sędzina znać niezupełnie była zadowoloną z kierunku, jaki brało wychowanie Wandy. Pragnęłaby była zawieść ją na czas jakiś do Warszawy, dla nadania jéj pewnego poloru i ogłady, i oddawna już zbierała się, aby o tém stanowczo pomówić z Stanisławem.

Dnia jednego o szaréj godzinie, siedzieli oboje przy kominku. Sędzina robiła pończoszkę podług zwyczaju; Stanisław poglądał w dogorywający płomień.

— Mój Stasiu, rzekła podeszła niewiasta, przystępując odrazu do rzeczy, trzebaby to na seryo pomyśléć o dalszém wychowaniu Wandzi. Dziewczyna rośnie jak na drożdżach; dzięki tobie, przybywa wprawdzie ile tyle nauki w głowę, ależ przyznaj sam, że oprócz nauki, trzeba przecież trochę ogłady, trochę otarcia w świecie, a i talencik jaki taki nie zawadziłby dziewczynie. Rysuje wprawdzie nieźle, ale co do muzyki, nie ma o niéj wcale wyobrażenia; a i po

francuzku nie potrafiłaby się zapewne rozmówić jak należy.

— Przebacz droga ciociu, rzekł Stanisław, całując rękę sędziny, że ci śmiem stawić opór; ale winienem przedewszystkiém uczynić zadosyć wewnętrznemu memu przekonaniu. Co do mnie, nie sądzę, ażeby kobieta przeznaczona na to, aby życie całe spędziła w wiejskiéj zaciszy, potrzebowała koniecznie mówić paryzkim akcentem po francuzku. Język przecież zna dokładnie, pierwsze dzieła francuzkiéj literatury, dziś już nie są jéj obcemi; rozumie doskonale co czyta, w razie potrzeby, potrafi nawet napisać list bez błędu, a jeżeli uchybi niekiedy przeciw warunkom czystéj wymowy, wierz mi ciociu, nic w tém tak dalece zdrożnego.

— Jużciż ja nie mówię, żeby to była zbrodnia względem społeczeństwa, odparła sędzina zażywając tabakę, ale widzisz mój kochany, świat wymaga tego od kobiety, a i wymaganiom jego, choćby i trochę niedorzecznym, uczynić niekiedy zadość wypada.

— Co do mnie, wcale nie widzę tego potrzeby, odparł Stanisław, owszem, za bardzo błędne w wychowaniu, zwłaszcza kobiety, uważam zbytnie stosowanie się do wymagań świata. O! wierz mi ciociu,

więcéj ztąd wypływa złego, niż się na pozór zdaje. Cóżbyśmy powiedzieli o ogrodniku, któryby pielęgnując drzewa w sadzie, zwrócił głównie uwagę na to, aby kwiat bujny wydały, nie troszcząc się o owoc? Uznalibyśmy że szalony, i słusznie. Tak się jednakże dzieje z wychowaniem kobiet, a świat przyszedł do tego stopnia zaślepienia, że go powszechne szaleństwo razić nakoniec przestało. Ztąd to tyle widzimy smutnych ofiar pomiędzy kobietami; ztąd takie ogólne rozprzężenie w społeczeństwie, ztąd tyle okropnych dla ogółu skutków. I któraż dziś kobieta potrafi stanąć w obec rzeczywistości, zmierzyć się z życiem, wyrzec się osobistego szczęścia, żyć wyłącznie życiem drugich, bez względu na siebie? Żadna, żadna, chyba ta, któréj nieszczęście nie szczędzilo ciężkiéj chłosty, która przez wieloletnią boleść, przez łzy i tysiączne zawody, doszła przypadkiem do poznania prawdy. A ileż to zatonie wśród burzy, zanim się ręka Opatrzności, choćby nad jedną użali, i wyrwie ją z otchłani!

Umilkł Stanisław, a oko jego ścigało gasnący płomień ogniska, oświecający słabo ściany pokoju.

Sędzina tymczasem zażywała zwolna tabakę i kiwała smutnie głową, znać niezupełnie jeszcze przekonana.

— Mój Stasiu! rzekła nakoniec, tobie nieboszczka powierzyła wychowanie córki. Umierając, błagała mnie ze łzami, abym się w niczém nie sprzeciwiała twéj woli; czyń więc jak ci się podoba, ale nie miéj mi za złe, że ci niekiedy objawiam moje zdanie. Gdyby to jednak odemnie zależało, chciałabym, żeby można wychować Wandę i dla Boga i dla ludzi.

— Tak, i dla Boga i dla ludzi, odparł stanowczo Stanisław, to jest mój cel jedyny. Ja téż chcę usilnie wychować Wandę dla ludzi, ale nie po to, żeby im służyłą za chwilowe bawidełko, jak tyle innych kobiet; raczéj na to, żeby uczuła w własném sercu, żeby pojęła własnym umysłem, że ją Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje, że jest człowiekiem zdolnym podzielić z drugiemi brzemię życia, a nie lalką, przeznaczoną do zabawy dorosłym dzieciom. O! wierz mi ciociu, ja wychowam Wandę dla Boga i dla ludzi, choć może nie nauczę jéj mówić czystym akcentem po francuzku.

— No, mniejsza już o francuzczyznę, odparła ciotka, ale czemuż się dziewczyna nie ma nauczyć choć trochę muzyki? Przyznajże sam, że to wcale miły talent, dziś zwłaszcza tak upowszechniony.

— Moja ciociu, kto chce wszystko umiéć, ten się

niewątpliwie niczego nie nauczy. Życie ludzkie zbyt krótkie, czas zbyt drogi, żeby go można z równą korzyścią wielu przedmiotom poświęcić. Wanda ma znakomity dar do rysunku, do muzyki zaś żadnéj nie okazuje zdolności. Brak jej zupełnie słuchu: po co więc czas trwonić daremnie, i męczyć ją próżno nauką tego, czego się nigdy dokładnie nie nauczy?

— Czyń jak chcesz, mój Stasiu, odparła sędzina, wszakże przyrzekłam Joasi, że ci w niczém woli tamować nie będę. Co do mnie jednak, wyznam ci szczerze, ża nie dałabym dziewczęciu tylu książek do czytania. Nauka nie powinna być wyłączném zajęciem kobiety, ba! i mężczyznie nie zawsze przyniesie szczęście. Masz oto przykład w Wacławie: cóż mu z tego przyszło, że gonił za jakiémsiś próżném urojeniem? Gdzież go zaprowadziły książki? do grobu oto, do grobu mój Stasiu, a z nim i biedną moję Joasię, która choć Bogu duszę winna, niczego przecież dobrego nie użyła na świecie nieboga.

To mówiąc sędzina, otarła łzę spływającą zwolna po bladém i zwiędłém licu.

— Moja ciociu, nie utrzymuję ja tego bynajmniéj, żeby książka miała być wyłącznym celem życia kobiety, bo według mnie, nic wyłącznego nie powinno

być w życiu ludzkiém. Bóg użyczył nam wiele darów, i z każdego z nich zażąda kiedyś rachunku, każdego bowiem winniśmy użyć na chwałę Jego, a na pożytek bliźnich; a potém szczęśliwsza zapewne kobieta, która życie swoje w jak najmniejszém zamknie kółku, któréj istnienia świat się nawet nie domyśla, która cicho, nieznacznie, jak wianek z drobnych kwiatków, zaplata życie z drobnych, nieznaczących wypadków. Takiego istnienia życzę z serca każdéj kobiecie; ale jeżeli która z nich uczuje, że Bóg naznaczył myśl jéj piętnem wybranych, że ją przeznaczył na to, aby wskazywała innym drogę, aby dla sióstr swoich prostowała ścieżki Pańskie, aby przemówiła do nich wyjętemi wprost z serca, a zatém zrozumiałemi słowy; powiédz-że sama ciociu, czy taka kobieta nie ma obowiązku żywić wszelkiemi siłami w duszy swojéj święte ognisko, którego promienie mają kiedyś ogrzać i oświecić drugich? Ci zaś, którzy czuwają nad wychowaniem podobnéj istoty, byliby występni w obec społeczeństwa, gdyby lękając się narazić jéj osobiste szczęście, narzucać mieli jéj myśli zbyt krępujące wędzidła, gdyby ją gwałtem usiłowali zwrócić z drogi, jaką jéj Bóg przeznaczył.

— Prawda to wszystko, co mówisz, mój Stasiu,

odparła sędzina, nie przeczę ci bynajmniéj; lecz nie dziw mi się mój drogi: ja ją kocham, chciałabym więc, żeby była szczęśliwą.

— I ja ją kocham, odparł Stanisław, to téż chciałbym, żeby odpowiedziała godnie powołaniu swemu, a wówczas dopiero prawdziwie, jak ja rozumiem, szczęśliwą i zadowoloną być może.

Sędzina skinęła głową.

— Szczęśliwi! dodała po chwili, ci tylko, którzy średnią obrali drogę.

— Szczęśliwi, odparł Stanisław, ci, którym Bóg odkrywa tajnię swéj woli, z których czyni narzędzie do świętych celów swoich.

Rozmowę tę przerwało przybycie Wandy; weszła smutna, cicha i nad wiek swój poważna, a błękitne jéj oko jaśniało dziwnym ogniem.

— Cóż cię tak długo zatrzymało, moje dziecię? zapytał Stanisław, możem ci dał nazbyt trudne zadanie, ów rozbiór pieśni Bogdana?

— O! nie mój wujciu, choć, jeśli mam wyznać prawdę, nie lubię rozbiorów. Myśl poety, wówczas tylko świeci pełnym blaskiem, kiedy jéj nie zaczniemy rozdrabniać na części: inaczéj, rozwiewa się cały jéj urok. Błędy nawet i usterki dodają powabu nie

jednemu poecie, jeżeli utwór jego uważać zechcemy zbiorowo; gdy tymczasem rozebrane, są niewątpliwie błędami.

— Źle zrozumiałaś mię Wandziu, odparł Stanisław z uśmiechem, a może ja sam źlem się wyraził. Ja nie żądałem od ciebie rozbioru, ale raczéj ocenienia owych prześlicznych poezyj; żądałem, abyś mi wskazała ich wydatną piękność.

— O! to trudniéj jeszcze wujaszku, łatwiéj podobno wytknąć błędy, niż określić ów dziwny urok, jaki nas zachwyca. Łza mimowoli wywołana z oka, westchnienie bez wiedzy wydarte z serca, po których ci w duszy miło, błogo i jasno, jakby ci ręka niewidzialna otworzyła tajniki nieznanego świata, oto jedynie godne według mnie, ocenienie poety. Niéma podobno słów na określenie piękności, jak niéma słów na określenie szczęścia. O! dla mnie, dodała z zapałem, niéma wyższego szczęścia nad to, gdy widzę myśl piękną, owiniętą w nowe, nieznane dotąd szaty!

— Toć to jest szczęście artysty, odparł Stanisław, a uśmiech zadowolenia rozjaśnił męzkie jego rysy.

— Artysty! odparła Wanda. O! dałby Bóg, żebym zasłużyć kiedyś mogła na to błogosławione imię!

— Jesteś nią już w części, boć nie ten tylko artystą, kto tworzy i wysnuwa piękność, ale i ten, kto ją czuje i pojmuje.

— Dzięki ci, dzięki wujaszku! Tobiem to winna, bo ty usposobiłeś mój umysł do ocenienia prawdy i piękności.

I dwie łzy pełne i czyste, jak dusza dziewczęcia, wytrysły z pod ciemnéj powieki, i spłynęły zwolna po zbladłém licu.

— Poetka, szepnęła zcicha do siebie sędzina, otrząsając palce z tabaki, którą zażyła w téj chwili. Na co się to wszystko zdało? dodała ciszéj jeszcze.

*
* *

Wanda rozwijała się codziennie. Nadobna jéj postać stroiła się nieznacznie w coraz to nowe powaby; umysł jéj bogacił się skutkiem ciągłéj a usilnéj pracy i szczęśliwego kierunku nadanego jéj przez Stanisława, a serce mimo to pozostało zawsze proste, czyste, nieskażone. Stanisław dumny był z swego dzieła, i z czcią i poszanowaniem poglądał na piękną dziewicę, z któréj usiłował utworzyć ideał kobiety, o jakim marzył od lat młodych.

Upłynęło jeszcze lat kilka. Wanda zaczęła ośmnasty rok życia.

Nadeszła właśnie siódma rocznica śmierci Joanny. Od samego rana, dzwonek kościelny wzywał mieszkańców wioski na żałobne nabożeństwo za duszę nieboszczki. Włościanie gromadzili się tłumnie w podwoje skromnego kościołka, i szczere a gorące zanosili modły za duszę zmarłéj, bo pamięć jéj żyła jeszcze w sercach wszystkich. Piękny to zaiste przywiłej dobroci, że nie umiera wraz z śmiercią. Wielkościom świata stawiają pomniki z marmuru: dobrym, w głębi cichych serc, zakładają niezatarte grobowce.

Sędzina, Wanda i Stanisław, udali się także do kościołka. Podeszła matka zapłakała rzewnie nad grobem córki, córka łzą oblała macierzyńską mogiłę, a Stanisław rzekł zcicha w głębi duszy, patrząc na grobowiec. Joanno! dotrzymałem ci przyrzeczenia.

Dzień cały tak pamiętny, przeszedł smutnie, cicho, uroczyście. Sędzina włożywszy na nos okulary, czytała psalmy pobożne w swoim pokoju. Wieczorem, gdy słońce chylić się poczęło ku ku zachodowi, Wanda ujęła rękę Stanisława, i wraz z nim udała się w stronę kościołka. Niebawem stanęli na cmentarzu. Ostatni promień zachodzącego słońca zrumienił w téj

chwili blaszaną dzwonnicę, i przedzierając się przez ciemne gałęzie jodeł i świerków, odsłaniał krzyż bielejący w ich cieniu. Usiedli oboje u stóp krzyża. Wieczór był ciepły, pogodny, lubo jesienny, głęboka cisza panowała w powietrzu, przerywana tylko kiedyniekiedy szelestem pożółkłego liścia, spadającego z wierzchołka drzew rozsadzonych po cmentarzu.

Chwilę trwało milczenie.

— Jak tam jéj dusza cieszyć się musi, rzekła zcicha Wanda, i umilkła, bo łzy zatamowały głos w jéj piersi.

— Cieszy się zapewne, odparł Stanisław. Wando! dodał uroczyście, biorąc rękę dziewczęcia, ilekroć tu przyjdziesz w dzień tak pamiętny dla ciebie, staraj się dziecię, niech serce twe zawsze będzie tak czyste i niewinne, jak w téj chwili; niech dusza twa pełną będzie zawsze świętego i błogiego uczucia, usta twe nieskalane nigdy, jak dotąd, kłamstwem i obłudą; a tym sposobem uczcisz najlepiéj pamięć dobréj i kochającéj matki.

— O! tak! wujciu drogi, przyjdziemy tu co rok, i zawsze z sercem czystém i zadowoloném, z myślą błogą jak teraz, odparła Wanda, ujmując rękę Stanisława, nieprawdaż?

— Moje dziecię, rzekł Stanisław, przyjdzie chwila, że nam się kiedykolwiek rozłączyć wypadnie. Wiek twój Wando wzywa cię do nowego życia, nowa droga otwiera się przed tobą.

— Nowa droga? odparła Wanda. O nie! wujaszku, ja nie porzucę nigdy téj, którąś mi wskazał, którą rozpoczęłam wsparta na twém ramieniu: tą drogą jedynie dojdę do szczęścia.

— Ja téż nie wątpię o tém, moje dziecię, że nie zboczysz nigdy z prostéj drogi, ale świat włoży na ciebie nowe obowiązki, którym zadosyć uczynić będziesz musiała. Będzie to taż sama droga, ale rozleglejsza, może trudniejsza; a ramię, które cię poprowadzi, inne będzie, mój aniołku!

— Nie, nigdy, nigdy! odparła płoniąc się lekko Wanda, ty mnie nigdy nie opuścisz mój wujciu; inaczéj duch matki zasmuciłby się w niebie.

Stanisław uśmiechnął się tkliwie.

— Czuwać nad tobą będę zawsze moje dziecię, choć zdaleka.

— Czemu zdaleka? odparła Wanda, czemuż zrzekasz się dobrowolnie opieki, którąś zaprzysiągł umierającéj matce?

— Ja się jéj bynajmniéj nie zrzekam, odparł Sta-

nisław, owszem, dochowam jéj wiernie, dopóki cię nie oddam w godne ciebie ręce, w ręce człowieka, który cię ocenić i ukochać potrafi.

— A jak się omylisz wujaszku, a jak cię ułudzą pozory, czyż ci nic sumienie nie wyrzuci?

— Człowiek odpowiada za chęci; przyszłość Bóg jeden przewidziéć może.

— A jeżeli jest w mocy człowieka uprzedzić wątpliwe skutki przyszłości? odparła Wanda bardziéj jeszcze zapłoniona.

— Nie rozumiem cię, drogie dziecię, wytłumacz się jaśniéj, rzekł Stanisław.

Wanda milczała chwilę. Lica jéj zakwitły niezwykłym rumieńcem, lekka zasłona na jéj piersi chwiała się od przyspieszonego uderzenia serca.

— Żadna inna kobieta nie powiedziałaby tego, co ci powiedziéć pragnę, rzekła Wanda zwolna, stanowczo, bo téż wychowałeś mnie inaczéj, jak zwykle wychowują kobiety. Nauczyłeś mnie nie kryć żadnéj myśli w głębi duszy: stłumić ją, jeśli zła i naganna, wyjawić, jeśli prawa i szlachetna, bez względu na mniemane prawa przyzwoitości, jakie nam świat narzuca. Żadnemu téż innemu mężczyznie, oprócz ciebie, nie powiedziałabym tego, co ci powiém,

bo żadenby może tego ocenić nie potrafił. Te okoliczności upoważniają mnie do wyjątkowego postępowania. Wuju! dodała biorąc rękę Stanisława, pozwól mi życie całe poświęcić dla ciebie, jeżeli pragniesz, o czém nie wątpię, szczęścia mego w przyszłości. Duch matki mojéj pobłogosławi nasz związek.

To mówiąc, wskazała na grobowiec.

Stanisław odurzony słowy Wandy, milczał chwilę.

— Dziecię moje, rzekł nakoniec wzruszonym głosem, oceniam szlachetność twego serca, dziękuję ci za zaufanie, jakiego dajesz mi dowód, ale przebacz aniele, ja nie mogę przyjąć twéj ofiary.

— Nie możesz? i dlaczego? Czyliż mnie sądzisz niegodną ciebie?

— Nie, Wandziu, żadna z kobiet, jakiekolwiek znałem w mém życiu, równać się z tobą nie może. Kilkanaście lat temu, złożyłbym Bogu na kolanach dzięki, za tak niespodziewane szczęście, ale dziś, znękany i pochylony wiekiem, gdybym przyjął poświęcenie twoje, przestałbym być godnym ciebie.

— Boże! zawołała Wanda, wznosząc do nieba piękne oczy, natchnij go światłem swojém, skieruj Jego wolę, niech nie rozdziera serca, które go czci kocha. Wnju! dodała zwracając się do Stanisława,

tyś mi poświęcił wiek młody, a wzbraniasz się przyjąć ofiarę życia mego, która mię nic nie kosztuje, bo przyjmując ją, uszczęśliwisz mnie. Tyś obudził w duszy méj nowe pojęcia, tyś podniósł myśl moję wysoko, tyś zapalił w mém sercu świętą iskrę, a dziś chcesz mnie porzucić na pastwę pierwszego lepszego, który mię uczcić ani ocenić nie potrafi; chcesz mię porzucić samą na walkę z życiem, któréj może nie podoła ma siła. Jeżeli będę nieszczęśliwą, duch matki mojéj zażąda od ciebie rachunku, żeś mi usunął rękę, gdym cię błagała o pomoc i wsparcie.

To mówiąc, zapłakała gorzko.

— Wando! odparł Stanisław drżący i blady od wzruszenia, serce twe szlachetne łudzi cię, uczucie przyjaźni i wdzięczności, bierzesz za inne tkliwsze uczucie. Wando! dodał, zbyt wielka różnica wieku rozdziela nas. Ależ odzywam się do ciebie, jako do téj, któréj usta nigdy nie skłamały: powiédz, powiédz aniele, czy ty mnie kochasz?

— O jaką miłość zapytujesz mnie Stanisławie? odparła Wanda z niewieścią godnością. Jeżeli o ów szalony i chorobliwy zapał mącący umysł, odbierający działalność woli, rzucający nas bezrozumnie na walkę z sobą i otaczającym nas światem; takiéj miło-

ści nie znam, i znać nigdy nie będę. Twoja czujna opieka, twe własne słowa, twe rady i napomnienia, uchroniły od niéj nazawsze serce moje. Jeżeli miłością zwiesz owe tkliwe uczucie, wiodące serce do poświęcenia się temu, kogo obiera rozum, owę szczerą chęć wsparcia się na ramieniu człowieka godnego czci i szacunku, i przejścia z nim przez życie czystą i nieskalaną stopą; jeżeli miłością nazwiesz owe gorące pragnienie wspólnego z nim pożycia na chwałę Bogu, na pożytek bliźnim, owę chęć znoszenia z nim wspólnie nietylko pociechy i radości, ale i trosk i trudów życia: jeżeli to nazwiesz miłością, wówczas kocham cię Stanisławie.

Oko pięknéj dziewicy płonęło niezrównanym blaskiem. Stanisław z czcią i podziwieniem patrzał na natchnioną jéj postać; wziął zwolna drżącą rękę Wandy, przycisnął ją do ust i serca.

— Wando! rzekł, a gdyby w sercu twém ocknęły się inne pragnienia? a gdybyś kiedy mimowoli uledz miała wpływowi innéj silniejszéj miłości. Znam cię, wiem, żebyś wolała umrzéć, niżeli zdradzić położoną w tobie ufność; ale biedna! biedna! jakże smutną byłabyś ofiarą!

— Opatrzność szczodrą była dla nas Polek, od-

parła Wanda, uchroniła serca nasze od zbyt gwałtownych uczuć; dozwoliła, aby rozum trzymał zawsze straż nad sercem naszém, nad wolą naszą. Miłość nigdy podobno nie powstaje w nas nagła, niezwyciężona, chyba, że skrzywiona i wynarodowiona wyobraźnia, usposobiła nas wprzód do chorobliwych marzeń. Spojrzyj w przeszłość: cnotliwe prababki nasze wychodziły za mąż prosto z po-za klasztornéj kraty, bez miłosnych uniesień, a jednak żyły cnotliwie i poczciwie. Polka, Stanisławie, wtenczas tylko pokocha, gdy pokochać zechce; mówię tu o takich, których umysł nie został zboczony złém i przewrotném wychowaniem. Tyś mnie wychował, odparła z lekkiém uczuciem dumy, wiész zatém do jakich policzyć mnie należy.

— Wando! droga Wando! zawołał Stanisław z młodzieńczém uniesieniem, podaj mi rękę aniele: przyjmuję twoję ofiarę.

— Dzięki ci, odparła Wanda podając mu rękę, upadła na kolana, i wzniosła obie ręce do góry.

— Matko! matko! pobłogosław z nieba dzieciom twoim! zawołała z uczuciem, obejmując krzyż wieńczący grobowiec matki, a strumień łez spłynął po bladém i pięknném jéj licu.

Stanisław ukląkł obok Wandy; milczał głęboko, a wyraz natchniony oblicza zapowiadał, że i myśl jego wraz z myślą Wandy wzniosła się wysoko do nieba.

Słońce tymczasem zaszło zupełnie. Wanda wsparta na ramieniu Stanisława, postępowała zwolna obok niego drogą wiodącą przez wieś ku dworowi. Dzwonek kościelny zadzwonił w téj chwili na Anioł Pański. Lekka mgła zawisła po-nad wierzchołkami drzew wieńczących wioskę. Włościanie powracali do chat po całodziennéj pracy, z kosą na ramieniu; konie ciągnęły za sobą brony, któremi tylko co zawlokły posiane dopiero zboże; bydło wracało zwolna, poważnie do obory. Błoga cisza panowała dokoła; zdało się, że Bóg rad pogląda na ciche ustronie, gdzie dziatki jego w prostocie ducha, żyjąc w pracy, modlitwie, zgodzie i miłości, pełnią ojcowską jego wolę.

Sędzina chodziła samotnie po dziedzińcu, podpierając się kijkiem, w chwili, gdy Wanda wchodziła w bramę obok Stanisława.

— Babuniu! rzekła młoda dziewica, przyciskając do ust pomarszczoną rękę babki, on mi był ojcem i opiekunem, to mówiąc, wskazała na Stanisława, tyś mi była matką, dobrą i tkliwą matką: w imieniu

zmarłéj matki, błagam cię, pobłogosław nam, ja mu przyrzekłam mą rękę.

— A toż co znowu? odparła babka, zkądże tak nagłe postanowienie? moje dziecko. Upamiętajże się Wandziu; ale cóż tu poradzić z szaloną głową? Stasiu, zastanów się, jesteś już przecież człowiek rozważny i stateczny.

Stanisław milczał, nic mając co odpowiedzieć.

— Babciu, rzekła Wanda, wola twoja będzie wolą moją. Jeżeli mi zabronisz być żoną Stanisława, uczynię co zechcesz, ale znasz mię babuniu; wiész, że nic nigdy nie zwykłam mowić napróżno. Jeżeli nie będę jego żoną, żadna siła ludzka nie zmusi mię do innych związków.

— O! wiem ja dobrze o tém, że ty masz swoję wolę, ale pomyśl moje dziecię, że to nie na rok, ani na dwa, ale na całe życie.

— Zastanowiłam się już dobrze, babciu droga, odparła Wanda, w twém ręku los mój dalszy spoczywa.

— Niechże was Bóg i Matka Najświętsza blogosławi, rzekła sędzina skłaniając głowę, i to mówiąc, drżącą ręką skreśliła w powietrzu krzyżyk.

Wanda z uczuciem objęła k lana babki, Stanisław poszedł za jéj przykładem.

— Ciociu! ufaj mi, ja ją uszczęśliwić potrafię, zawołał z zapałem.

— Nie mogliśmy godniéj uczcić dnia zgonu biednéj matki, rzekła Wanda zcicha; dusza jéj zapewne rozraduje się w niebie.

*

* *

W kilka tygodni potém, przed samym adwentem, w małym i skromnym kościołku, stanęła przed ołtarzem Wanda obok Stanisława. Zanim weszli oboje w podwoje poświęconego przybytku, uklękli przed grobowcem rodziców. Łza błyszczała w błękitném oku Wandy, a jednak łza ta nie ćmiła bynajmniéj błogiego wyrazu szczęścia, jaśniejącego na dziewiczém jéj czole. Spojrzała w niebo z wiarą i ufnością, i zdawało się, że Bóg wysłuchał jéj prośby, albowiem blady promień słońca, wysuwając się w téj chwili, z po-za ciemnych obłoków, oblał światłem nadobną jéj postać. Włościanie Zadola zgromadzeni w kościołku, obecni byli uroczystemu obrzędowi. Wanda bez trwogi, bez pomieszania, oddała rękę narzeczonemu,

który przyjął ją z wyrazem czci i poszanowania, a w oku jego czytać można było te słowa: wesprzyj się na mnie śmiało, a nie doznasz zawodu.

Sędzina modliła się gorąco za przyszłe szczęście swéj wnuczki, w głębi duszy, myśląc sobie jednak: po co to taki pośpiech? byłaby się może zdarzyła lepsza partya, a na tę było jeszcze aż nazbyt czasu.

Dzień ów uroczysty zakończył się ucztą wyprawioną we dworze dla włościan z Zadola. Radość jaśniała na wszystkich obliczach. Zewsząd spływały na nowo-zaślubionych życzenia i błogosławieństwa.

*
* *

To téż szczęście najzupełniejsze stało się udziałem Wandy. Stanisław czuwał okiem miłości nad owym rozwijającym się kwiatem, o którym pieczę Bóg mu powierzył. Kształcił z niezmordowaną gorliwością umysł i duszę młodéj kobiety, kierował umiejętnie poetyczną jéj wyobraźnią, chronił ją od chorobliwéj egzaltacyi. Wanda pod tarczą i opieką rozumnego małżonka, umiała użyć korzystnie owych wyższych, lecz niebezpiecznych darów nieba, których jéj Bóg hojną udzielił ręką. Rozsiewała ona że tak powiém,

dokoła siebie nadobne kwiaty poetycznéj swéj duszy, otoczyła ich urokiem i wonią prozę powszechnego życia, pracą nieustającą chroniła się od niepotrzebnych i niebezpiecznych marzeń, a dając szczęście drugim, czuła się sama zupełnie szczęśliwą.

Stara sędzina dziękowała Bogu za pomyślność wnuczki, a modląc się, powtarzała codziennie; „Panie! Twoja opatrzność mędrsza, nad wszelkie przewidywania i rachuby ludzkie!

* * *

Ale jest-że szczęście zupełne na ziemi? Jeżeli zabłyśnie niekiedy, to na krótką zaledwie chwilę, jak marny błysk meteoru, jakby dla pokazania ludziom, że trwała pomyślność nie należy do świata.

Po sześciu latach najszczęśliwszego pożycia, zdrowie Stanisława niknąć zwolna poczęło. Rady umiejętnych lekarzy okazały się bez skutku. Choroba coraz groźniejszy przybierała wyraz, postać jego zmieniła się do niepoznania; wzrok zapadł, oko zapłonęło gorączką, oddech stał się ciężki i krótki.

Wanda dnie i noce trawiła przy łożu męża, ale nie przewidywała jeszcze bynajmniéj grożącego nie-

bezpieczeństwa. Choroba Stanisława postępowała zwolna, oko więc obecnych nie mogło doślédzić niepozornéj, lecz złowróżbnéj zmiany. Stanisław z swéj strony taił jak mógł cierpienie. Wstawał jeszcze na chwilę, wsparty na ramieniu żony, wychodził na dziedziniec lub do ogrodu, spoglądał na świat boży tęskno, łzawo, ale nigdy słowo skargi i narzekania nie wydobyło się z ust jego.

Było to właśnie w początku czerwca; dzień był jasny, ciepły i pogodny, jak zazwyczaj w téj porze.

— Wando! rzekł Stanisław do żony, przejdźmy się do lasku, dawno już tam nie byłem, a czuję, że powietrze i przejażdżka dodadzą mi siły i zdrowia.

Wanda wybiegła spiesznie, kazała zaprządz do pojazdu, otuliła męża starannie, chroniąc go od zaziębienia, mimo ciepła i pogody. W pół godziny potém, była już wraz z nim w głębi zielonéj dąbrowy.

Wysiedli oboje. Stanisław jedną ręką wspierał laską chwiejące swe kroki, drugą oparł się na ramieniu żony. Szli oboje po miękkiéj murawie zwolna, w milczeniu. Ptastwo świegotało po-nad ich głowy, ukryte w cieniu gęstych zarośli, wiewiórki skakały swobodnie z drzewa na drzewo; woń sosen rosnących gdzieniegdzie pomiędzy dębami, rozchodziła się

wraz z wonią macierzanki i innych ziół leśnych, złote muszki przelatywały w powietrzu, snując się dokoła niższych krzewów, rumiana jagoda, koralową swą barwą błyszczała nierzadko, otulona w szerokie liście, słońce przedzierając się przez zielone konary drzew, świetne, jaskrawe, rzucało na ziemię jasne i ciepłe promienie. Z jednéj strony, przez las nieco przerzedzony, z po-za brzóz okrytych białą korą, chylących ku ziemi długie swe warkocze, widać było niebiesko-zielone żyto, kołyszące się zwolna na obszernych łanach.

Stanisław zatrzymał się chwilę, spojrzał dokoła, westchął, i cicho, w milczeniu postępował daléj obok żony.

Doszli nakoniec do owego znanego nam dobrze ustronia. Stanisław spoczął na maleńkim wzgórku. Wanda usiadła u stóp jego.

Długo, długo milczeli oboje. Stanisław zasłonił twarz rękoma, pochylił głowę ku ziemi, a pierś jego unosiła się zlekka cichem łkaniem.

Wanda spojrzała bacznie na męża, dostrzegła jego łzy, dosłyszała tłumione łkanie.

— Boże! co ci jest? zawołała rozdartym głosem,

zbladła śmiertelnie; prawda bowiem straszna stanęła jéj po raz pierwszy przed oczyma.

— Wando! rzekł Stanisław zwolna, uroczyście, niech cię ma słabość nie dziwi. Dzięki tobie aniele, życie zbyt mi jest drogiém, bym je mógł żegnać bez łez, bez boleści.

— Żegnać! masz-że je żegnać mężu? O! nie mów tego Stanisławie, Bóg dobry ulituje się nad nami. Zkąd ci te myśli tak smutne?

— Dawno już poznałem stan mój dokładnie, odparł wstrząsając smutnie głową, nie chciałem tylko przedwcześnie rozdzierać tkliwego twego serca. Dziś przyszła pora: dłużéj taić się przed tobą nie mogę. Wando! Wando! za chwilę będziesz znów sierotą.

Wanda zapłakała głośno; Stanisław otarł łzy w milczeniu.

— Zbierz siłę i odwagę, rzekł po chwili, umiéj być człowiekiem w tak ważnéj i stanowczéj chwili, uchyl głowę przed koniecznością, a raczéj przed niezłomnym wyrokiem Boga.

Ona w miejsce odpowiedzi, cisnęła z rozpaczą do ust wyschłą i gorącą rękę małżonka.

— Wando! mówił daléj Stanisław, tu, w témże samém miejscu, kilkanaście lat temu, umierająca ma-

tka powierzyła mi ciebie, jako zakład święty, błagając, abym czuwał nad tobą, jak nad rozkwitającym kwiatem, abym chronił młode twe lata od szkodliwego wpływu, abym cię wprowadził czystą i nieskażoną na drogę życia. Późniéj, w obec rodzicielskiego grobowca, żądałaś ty sama, abym ci nie usuwał ramienia mego, abym cię wiódł daléj drogą, którą ci w pierwszéj młodości wskazałem. Powierzyłaś mi się z wiarą i ufnością, chcąc tym sposobem nagrodzić poświęcenie moje dla ciebie. I dotrzymałem święcie zobowiązania. Dziś Wando, złamany chorobą, w obec zbliżającéj się śmierci, w témże samém miejscu gdziem cię odebrał z rąk matki, oddaję cię naprzód Bogu w niebie, a potém tobie saméj. Kobieto! zbierz męzką siłę w twéj duszy, stań mężnie do walki z życiem, którego pasmo długie jeszcze rozwija się przed tobą, proś Boga, ufaj Mu, On cię nie opuści.

Wanda padła na ziemię, głowę wsparła na kolanach Stanisława, głuchy jęk wydzierał się z jéj piersi.

Stanisław umilkł, zmęczony długą mową, przerywaną kaszlem co chwila.

— Przysięgnij mi Wando, że czuwać będziesz nad sobą, jakeś czuwała dotąd; że głęboka rozwaga przewodniczyć ci będzie w każdym kroku twego życia.

— Przysięgam ci, przysięgam Stanisławie, odparła młoda kobieta, wznosząc obie ręce do nieba, jakby je brała na świadectwo. Ależ na co mi rozwaga i czuwanie, mężu drogi, gdy życie moje zerwie się wraz z twojém, jeżeli już taka niezmienna wola Boga! Gdybym nawet nie uległa pod wpływem ciężkiéj boleści: takie istnienie złamane i stargane jakie mię odtąd czeka, możnaż nazwać życiem?

— Wszystko na ziemi żyje i odradza się Wando! Patrz na te drzewa i pola: niedawno czarno tu było, pusto i chłodno, dziś jasno i zielono. Tak i w życiu człowieka: nowe życie, nowe złudzenie następuje po boleści i rozpaczy.

— Nigdy! nigdy! zawołała z oburzeniem Wanda, duch twój patrząc z nieba na mnie, pogardziłby mną, i słusznie, gdybym cię zapomniéć miała, gdybym po śmierci odważyła się stargać święty węzeł, który nas połączył na wieki.

— Duchy z nieba inném zapewnie poglądają okiem na czynności ziemi, odparł łagodnie Stanisław. Duch mój nie pogardzi tobą Wando, dopóki serce twe czyste będzie i święte, choćby nowe uczucie miało w niém kiedyś zakwitnąć.

— Mężu! nie rozdzieraj mi serca daremnie.

-- Czemuż w ostatniéj chwili bronisz mi otworzyć myśl moje? Słuchaj Wando: jeżeli znajdziesz człowieka, który będzie godnym ciebie, oddaj mu rękę, a przysięgam ci, nie obrazisz tém mojéj pamięci. Zaklinam cię tylko, bądź baczną, i strzeż dopóty serca twego od uczucia, dopóki głos rozwagi nie potwierdzi twego wyboru.

To mówiąc, przycisnął silnie do piersi płaczącą gorzko kobietę, drżącą ręką pobłogosławił jéj głowę pochyloną, spalone gorączką usta zbliżył do gładkiego jéj czoła, i złożył na niém tkliwy, prawdziwie ojcowski pocałunek.

* * *

Od tego dnia, Słanisław nie opuszczał już łoża; w kilka tygodni potém, skonał na ręku Wandy. Dzwony wiejskiego kościołka zajęczały znów żałobnie. Zgromadzeni włościanie ponieśli na barkach trumnę dobrego pana, i złożyli w wspólnym grobowcu na cmentarzu, obok zwłok Joanny. Wanda blada, postępowała za zwłokami, podając ramię zgrzybiałéj babce, i lubo oddawna umilkły żałosne dzwony, ona

z łzą w oku i boleścią w duszy, długo jeszcze, długo klęczała na grobowcu rodziców i małżonka.

*
* *

Przeszło znów lat kilka od śmierci Stanisława. W Zadolu wszystko było jak dawniéj; sędzina bardziéj jeszcze pochyliła się ku ziemi, zdrowa jednak była i przytomna. Wanda nie zdejmowała dotąd żałobnéj szaty; umysł jéj jednak nie upadł pod wpływem cierpienia, swoboda wróciła znów na gładkie jéj czoło, oko jéj od niedawnego zwłaszcza czasu zatliło na nowo dawnym blaskiem.

*
* *

Na samym końcu wioski, niedaleko kościołka, w chacie staréj Frąckowéj, płonął suchy ogień na kominie, choć to było wśród lata. Podeszła gospodyni krzątała się około przyrządzenia skromnéj wieczerzy dla wnucząt i czeladzi. Skoro wszyscy spożyli dar boży, Frąckowa przysypała głownie zarzewiem, sprzątnęła miski i naczynia, a wyszedłszy przed chatę, usiadła na progu, i dumała poglądając zdala na

bielejące przed kościołkiem krzyże i na blaszaną kopułkę, o którą odbijał się srebrny promień księżyca.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł gospodarz Paweł, zaglądając przez uchylone wrota.

— Na wieki wieków amen, odparła Frąckowa.

— Cóż tam tak przemyślacie, kumo? zapytał gospodarz odmykając furtkę i zbliżając się do chaty.

— Ot, tak sobie siedzę i dumam. Siadajcie i wy Pawle, spocznijcie sobie chwilę. To mówiąc, usnnęła się nieco, zostawiając miejsce próżne obok siebie.

— Alboż to niéma o czém myśléć? dodała Frąckowa, gdy Paweł usiadł obok niéj. Człowiek się nie od wczoraj kołacze po świecie; przeżyło się i to i owo, i dobre i złe przeszło pospołu, a teraz wej oto, pozostała jedno starość i bieda.

— No, juściż starość jak starość, odparł Paweł, ale co na biedę, nie narzekalibyście daremnie kumo.

— Panu Bogu dziękować, odparła niewiasta, jać też nie narzekam na głód ani na niedostatek; obraziłabym daremnie majestat boski, ale przecież i to bieda, kiedy człowiek zostanie sam jeden, jak stary pniak na miedzy. Pochowałam oto zeszłego roku męża i syna, drugi poniewiera się po świecie, i wy mówicie kumo, że mi nie bieda.

To mówiąc, stara niewiasta westchnęła ciężko z głębi serca, i grubym fartuchem otarła w milczeniu łzę spływającą po zwiędłéj twarzy.

— No, jużcić prawda moja kumo, ale cóż robić? taka wola Pana Boga. Dziękujcie lepiéj Najwyższemu za to, co wam w miłosierdziu swojém pozostawił. Macie oto córkę, co wam pilnuje chaty, drugą oddaliście w służbę do dworu: dziewczyna dobra i statek, widzicie oto, że Opatrzność boska niezupełnie was zabaczyła.

— Oj! święte wasze słowa kumie, odparła Frąckowa, ale cóż, kiedy to już taki człowiek: zawsze mu żal tego, co było, a czego już niéma... to mówiąc z westchniem powiodła okiem po cmentarzu.

— Jużcić należy pamiętać o umarłych, toć tego i ksiądz nie broni na ambonie. I ja przecież nie jedno pogrzebałem w życiu, to téż wiele razy spojrzę na cmentarz, zmówię wieczny odpoczynek za ich dusze; ale żeby wiecznie płakać i narzekać na swą dolę, toć to moja kumo, ciężki grzech przed Panem Bogiem.

— Co tam wam, mój kumie, to jeszcze pół biedy, ale nam niewiastom, to ciężéj jakoś na świecie,

kiedy nas Pan Bóg osieroci: cała pociecha, jak sobie człowiek kiedyniekiedy zapłacze.

— Alboż to biedna nasza pani, nie więcéj jeszcze od was pochowała? odparł Paweł, dobywając z brzozowéj kory tabakierkę.

— Zostało niebożątko samo jedno na świecie, a jednak cóż ma począć? Taka wola Pana Boga, trudno człowiekowi głową przebijać mury.

— Biedna panisko! odparła Frąckowa, a dobre i poczciwe, istna nieboszczka. Otóż wiécie co Pawle? dodała, o panić ja to myślałam, jakeście mnie zagadnęli. Powiedziałabym wam coś, to mówiąc, obejrzała się dokoła, czy kto nie słucha, jeno boję się, żebyście nie wypletli.

— Alboż ja to baba? albo co? odparł śmiejąc się Paweł, nie przymawiając wam kumo.

— Proszę, jaki mi wej, rzekła urażona Frąckowa, alboż to i u was język nie miele jak we młynie? Aleć to tak zawsze: na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Oj! biedna nasza dola!

— Nie gniewajcie się matko, bo nie macie o co, powiédzcie mi lepiéj co wiécie o naszéj pani, już ja wam mówię, że mi nawet para z ust nie wyjdzie.

— Otóż nic z tego nie będzie, powiedzilibyście, żem się wygadała, zwyczajnie jak baba. Będę trzymać język za zębami, choćbyście mnie i świętemi słowami prosili.

— Oj matko! matko, kiedy-bo z wami pożartować nawet nie można! Jużciż ja was znam nie od wczora, wiém, żeście poczciwa niewiasta, Bogu duszę winna. Powiedziałem słowo, ot tak na wiatr, a wy-ta zaraz bierzecie do siebie, i gniewacie się, sami nie wiécie o co.

— Ja się nie gniewam, ale co nie powiém, to nie powiém.

— Ej! powiedzielibyście matko bez takich korowodów, bo widzicie, jeżeli się was pytam, toć nie przez próżną ciekawość, aleć i ja kocham naszę panią, tak jak i wy.

— A któżby jéj nie kochał? Taka dobra, jeno do rany przyłożyć. Oj! bodajby się takie na kamieniu rodziły!

— A wiécie wy kumo, rzekł Paweł, dlaczego was się tak dopytuję? Onegdajszéj nocy, z poniedziałku na wtorek, śniły mi się niestworzone rzeczy o naszéj pani, choć ja tam bardzo w to nie wierzę, boć to babska rzecz sny, a i ksiądz proboszcz zabrania da-

wać w to wiarę: jednak ogniście markotno zrobiło mi się na sercu, jakem się obudził o świcie.

— No, i cóż wam się śniło, mój kumie? zapytała zafrasowana Frąckowa.

— A powiécie mi, coście mówić mieli?

— No jużcić, co mam robić z wami? odparła Frąckowa, w któréj ciekawość przemagała wszelkie inne względy.

— Oto widzicie: rzekł Paweł, zdało mi się, że jestem w boru, jakby w téj oto dębinie za wsią, kej to nasza pani zawsze chodzi. Obejrzę się, aż tu słonko świeci jasno, dębniaki zielenią się, aż miło patrzéć, a pełno na nich złocistych żołędzi, brzozki bielą się zdaleka, ale takie białe, jak śnieg w zimie, zanim go zbrudzą marcowe flagi; na ziemi pełno rośnie kwiatów, a takie krasne i modre, że aż się w oczach mienią.

— Oj! zły to sen, zły, przerwała Frąckowa smutnie kiwając głową, kwiaty to znaczą ciężki frasunek. Oj biedna nasza pani! Wielki Boże! pociesz niebogę.

— Ale, dajcież mi dokończyć kumo! Owóż nasza pani leżała sobie na zielonéj murawie, pod największym dębem, tam, kędyto zawsze siaduje, i spała; a taka była śliczna, jakby istny cudowny obraz.

Blada tylko była ogniście, nie przymierzając jak jéj biała sukienka.

— Oj! biała sukienka, i to nic dobrego, mój kumie.

— Ale posłuchajcie jeszcze. Przystępuję nibyto bliżéj, bo widziało mi się, że byłem w boru z siekierą, i zaglądam, bo mi się jakoś zdało, że pani umarła. Wtém, słuchajcieno dobrze, patrzę, aż tu wąż zbliża się pomiędzy trawą, i już ma się okręcić dokoła paninéj ręki.

— Boże wszechmogący zmiłuj się! odwróć nieszczęście! zawołała przerażona Frąckowa, bo że w tém jest coś złego, to jak słońce na niebie! No, i cóż daléj Pawle?

— Owóż powiadam wam, pani nibyto otworzyła trochę oczy, spojrzała, ale zamiast coby miała odrzucić ręką gadzinę, uśmiechnęła się do niéj, i chciała przycisnąć do siebie. Ale ja niewiele myśląc, jak się zamierzę, tak jednym zamachem rozpłatałem ją siekierą na dwoje. Pani zapłakała niby przez sen, ale wnet ocknęła się na dobre, przetarła oczy, podała mi bieluchną rękę, i powiedziała: „dziękuję wam, mój poczciwy Pawle!“ A i wy byliście tam kumo, dodał,

siedzieliśtą opodal na murawie, i kiwaliście głową, istnie oto, jak i teraz.

— Oj kumie! i jakże nie mam się frasować, kiedyć to sen zły, okrutnie zły, a ja wam powiadam: niech sobie ludzie mądrzejsi co chcą mówią, jednak we śnie, to zawsze Pan Bóg daje człowiekowi ostrzeżenie. Kiedy gadzina chce ukąsić, to jak Bóg na niebie, zły człowiek stoi na zdradzie. To tylko wielkie szczęście, żeście zabili tego strasznego węża.

— No, teraz powiedzcież mi kumo, coście tam słyszeli o naszéj pani?

— Oto widzicie kumie, moja Maryśka, co to służy we dworze przy pokoju, powiadała mi, że nasza pani myśli pono iść za mąż.

— A to za kogo? zapytał Paweł ciekawie.

— A dyć za tego panicza z Woli, co to od godów przyjeżdża kiedyniekiedy do Zadola.

— Widziałem ci go w kościele na odpuście w Kutnie, dwie niedziele temu, na Podniesienie świętego Krzyża, ale mu jakoś niedobrze z oczu patrzy.

— A co gorsza, odparła Frąckowa, powiadają ludzie, że to był wielki hulaka i niestatek. Panie zmiłuj się nad niebogą! Teraz ci się jakoś ułożył, istnie

jakby lis; ale wiadomeć to rzeczy: czego się skorupka za młodu napije, tém na starość trąci.

— Oj! prawda! święta prawda, odparł Paweł kiwając głową.

— Widzicie kumie, jak się to układa z waszym snem: wasza gadzina, to istnie jakby ten pan z Woli.

— Prawdę mówicie kumo, prawdę, jak Bóg w niebie. Ale powiédzcie mi jeno, jak to być może, żeby nasza pani, co to taka mądra niewiasta, miała iść za takiego hulaka?

— Ej! bo to widzicie kumie, że pan Jatanazy, jak go tam ludzie nazywają, nie taki hulaka jak inny. On źle robi, ale pokryjomu, a na oko, toby się zdało, że to najlepszy pan w świecie.

— Oj! najgorsi to tacy, moja kumo.

— Zapewne, zapewne; przed wściekłym psem, to każdy opodal ucieka, ale najgorszy taki, co milczkiem chwyta: takiego się nikt nie ustrzeże.

— A zkądże wy wiécie, że on zły, kiedy go wej wszyscy ludzie mają za dobrego?

— Ej! nie ukryjeć się szydło w worku, mój kumie; są tacy, co się zmiarkowali co się święci, i pogadują zwyczajnie, jak to ludzie.

— Wiécież wy co? rzekł Paweł po chwili namysłu, ażeby też to naszéj pani powiedziéć, że o nim ludzie źle mówią?

— Już ja to o tém i bez was myślałam, ale i cóż jéj powiedziéć, kiej sami nie mamy przekonania? Wiémy, że dzwonią, ale nie wiémy w którym kościele.

— Prawda i to, odparł Paweł zażywając tabakę.

— Pani myślałaby jeszcze, dodała Frąckowa, że nam chodzi o własną skórę, bo się boimy nowego pana, a tu Bóg świadkiem mojéj duszy, że to co mówię, świętą jest prawdą.

— A wiécież wy co zrobić?

— No, i cóż? mówcie.

— Ofiarujmy się do Matki Najświętszéj do Topoli, i idźmy oboje; może ta święta Opiekunka nasza ulituje się nad nami, i natchnie, jak sobie w tém poradzić.

— Święte wasze słowa gospodarzu, odparla uradowana niewiasta, a kiedyż się wybierzewa?

— Choćby i jutro: ale poczekajcie, jutro nie mogę: Szymek idzie z siekierą do boru, muszę sam dosiać resztę jęczmienia.

— No, to idźmy w sobotę. Toć to dzień Matki Najświętszéj; wszystko się lepiéj jakoś układa.

— No, a teraz trzeba odpocząć starym kościom, rzekł Paweł powstając z progu. Szczęść wam Boże, kumo.

— Bóg zapłać, Pawle.

I rozeszli się oboje. Paweł poszedł do swojéj chaty, Frąckowa weszła do izby, zamknęła drzwi na kołek, i po chwili pusto było i głucho w wiosce, jakby makiem zasiał, tylko księżyc w pełni roztaczał krąg wspaniały po niebie, a miliony gwiazd cicho, tajemniczo, zdawały się z wysokości swojéj spoglądać na ziemię, i kołysać marzeniem dusze tych, którzy dzień boży w pracy i modlitwie, jak Bóg przykazał strawili.

We dworze tymczasem światło jaśniało rzęsisto we wszystkich oknach; nikt nie myślał jeszcze o wieczornym spoczynku. W pokoju bawialnym przed stolikiem, na kanapce, siedziała Wanda, piękna jak dawniéj, jaśniejąca zdrowiem i swobodą; obok niéj. na fotelu, siedział dorodny młodzieniec, starannie i ze smakiem przybrany: ciemne włosy spływały w pierścieniach na wysokie jego czoło, twarz nieco blada i ogorzała, przedstawiała piękny wzór dla malarza,

tak rysy były kształtne i wykończone: oko pociągłe, ciemne, długą otoczone rzęsą, pełne było życia, w ustach tylko raził niemile lekki wyraz ironii, ale i to znikało przy ogólnéj piękności.

Sędzina w okularach na nosie, drżącą ręką układała kabałę, powtarzając zcicha: „tuz, król, kralka, wyżnik, niżnik, szóstka“, i niekiedy z pod oka spoglądała z uśmiechem na młodą parę siedzącą obok siebie.

Wanda ubrana była w szlafroczek ciemny, starannie przystający do zręcznéj i udatnéj kibici. Włosy gładko uczesane, wijąc się bujnym splotem dokoła kształtnéj głowy, stanowiły całą jéj ozdobę. W ręku trzymała robotkę, ale oko błękitne młodéj kobiety, chętnie odrywało się od niéj i z widoczném zajęciem odpowiadało niekiedy, na pełne zapału spojrzenia młodziana.

— Pani! mówił pan Atanazy półgłosem, nie zwłócz dłużéj chwili mego szczęścia: powiédz jedno słowo, to słowo, które stanowić ma o moim losie.

— Jedno słowo, odparła Wanda, mała rzecz na pozór, a jednak trudno wymówić je lekkomyślnie, albowiem słowo to związać ma całą mą przyszłość, ca-

łe życie na wieki. Pozwól mi pan chwilę jeszcze namysłu.

— O! gdybyś pani wiedziała, jak każda chwila oczekiwania i wątpliwości, okrutną jest dla mnie, miałabyś litość przecie. Wando! Wando! ja cię kocham nad życie, dodał zcicha, zaledwie dosłyszanym głosem.

Wanda zapłoniła się lekko: znać, że słowa młodziana mile brzmiały w jéj uchu, bo piękne jéj oko nie zdradzało gniewu, przeciwnie, dziwna słodycz odbijała w jasnym jego błękicie.

— A ty, kochasz-że mnie Wando? Powiédz, powiédz, dodał młodzian ośmielony łagodném spojrzeniem młodéj kobiety, i to mówiąc, przycisnął do ust białą i drżącą jéj rękę.

— Bądź pan cierpliwym, powtarzam raz jeszcze, odparła Wanda z godnością, za kilka dni powiém panu ostateczne słowo.

— Ja téż już nie śmiem prosić o stanowcze przyrzeczenie; powiédz tylko, że mnie kochasz.

— Skoro wyznam, że kocham, panie Atanazy, wówczas żadna siła nie oderwie mnie od tego, komu powiém to słowo.

— O pani! jakże jesteś zimną i wyrachowaną! Nigdyż ani jedno słówko, niechcący, mimowoli, nie uleci z ust twoich? zawszeż ta nieszczęśliwa rozwaga, przewodniczyć ma każdemu uniesieniu ducha?

— Zawsze, odparła Wanda, to moja zasada; winnam ją człowiekowi, któregom czciła, szanowała i kochała, dopóki Bóg mnie z nim nie rozłączył.

— I który cię owiał grobowym chłodem zimnego i wystudzonego serca.

Wanda surowo spojrzała na Atanazego; lica jéj zbladły, oko zapłonęło oburzeniem.

— Nie znieważaj pan wspomnienia tego, którego pamięć droższa mi nad wszystko, rzekła zcicha, lecz stanowczo.

Atanazy spuścił oczy w ziemię, jakby nie mógł znieść groźnego spojrzenia Wandy.

— Przebacz mi pani, przebacz! pod wpływem uczucia, trudno być zawsze panem siebie, i mierzyć własne słowa szalą rozwagi. Ja tego przynajmniéj nie umiem.

— To źle, bardzo źle, odparła, wola silniejszą być powinna nad wszystko.

— Nad wszystko, tak, nad wszystko, ale nie nad miłość moję dla ciebie pani.

— Nawet i nad miłość, odparła Wanda.

— Co mi to za miłość, rzekł Atanazy wstrząsając zlekka głową, która wiecznie i wiecznie ulega sile rozumowania.

— O! nie żartuj pan z takiéj miłości, odparła Wanda, miłość taka, skoro ją raz potwierdzi rozum i wola, silną jest, i trwa równo z życiem.

Oko Wandy jaśniało niezrównanym ogniem. Atanazy przejęty był mimowoli dziwném poszanowaniem.

— Przebaczasz-że mi pani? zapytał nieśmiało.

— Przebaczam, ale daj mi pan słowo, że ostatni raz w życiu popełniłeś zniewagę.

— Zaręczam honorem, odparł Atanazy, a jeżeli to nie dosyć, gotówem przysiądz na miłość moję dla ciebie pani.

— Poprzestaję na słowie, odparła, ale na owém słowie, którego siła miłości nie zwalczy. dodała z uśmiechem.

Dziesiąta godzina w téj chwili wybiła na zegarze. Wanda spojrzała na podeszłą babkę, która zdrzymnęła się, układając karty kabały. Atanazy spostrzegł poruszenie młodéj kobiety, powstał, pożegnał ją lekkiém ściśnięciem ręki i kilkakrotnym w tęż piękną i drobną rękę pocałunkiem.

— A więc w sobotę wieczór otrzymam twe ostateczne słowo, Wando, rzekł zcicha.

— W sobotę, odrzekła młoda kobieta zaledwie dosłyszanym głosem.

Atanazy wyszedł z pokoju, lekki koczyk zaturkotał głośno na bruku, i znowu wszystko było cicho, spokojnie jak przed chwilą. Sędzina podpierając się kijkiem, przy pomocy wnuczki udała się na nocny spoczynek. Wanda usiadła w otwartém oknie, wychodzącém na ogród: odetchnęła pełną piersią chłodném nocném powietrzem, powiodła okiem po niebie zasianém w miliony gwiazd, wśród których księżyc w pełni świécił poważnie srebrnym promieniem, i odbijał uroczo o blaszaną kopułę kościołka. Młoda kobieta zwróciła łzawe oko na bielejące w oddaleniu, wśród cmentarza krzyże, i westchnęła.

— Matko! Stanisławie! wyrzekła zcicha, wy, których tak kochałam, a których już nie ma, nie odmawiajcie mi opieki waszéj w chwili tak ważnéj i stanowczéj, i niechaj duch wasz czuwa nademną.

Wanda nie zdążyła jeszcze przymknąć okna, gdy puszczyk odezwał się dziko na gruszy, rosnącéj nieopodal domu, a psy zawyły boleśnie, przeciągle, jakby czuły wilka, lub przewidywały nieszczęście.

Zimny dreszcz przebiegł wskroś młodą kobietę; padła na kolana, i po długiéj modlitwie udała się na nocny spoczynek.

*

* *

W sobotę, skoro tylko świtać zaczęło, stary Paweł zapukał do chaty Frąckowéj. Podeszła niewiasta krzątała się już od pół godziny po izbie, rozżarzyła ogień przysypany na noc popiołem, ustawiła na kotlinie garnek barszczu i drugi pełen skrobanych kartofli, posiliła się nieco, zawinęła w czystą szmatę pół bochenka czarnego razowego chleba i dobrą krajankę sera, i przybrała się chędogo w czerwoną chustkę na głowę, w kaftan granatowy kamlotowy i spódnicę wełnianą w pasy domowéj roboty. Fartuch przytwierdziła jeden do pasa, drugi przewiesiła przez głowę i plecy, trzewiki i pończochy białe, dla oszczędności, umieściła w płachcie obok szmaty z posiłkiem, i ów niewielki tłómoczek zarzuciła na ramię.

— Szczęść wam Boże! rzekła do domowników, a sprawujcie się tu po Bogu. Baśka, dodała zwracając się do córki, pilnujże mi chaty jak należy, strzeż od ognia i złych ludzi, sporządź uczciwie strawę: ja przed wieczerzą, da Bóg doczekać, powrócę do chaty.

Basia objęła kolana macierzy.

— Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi matulu, rzekła z poszanowaniem.

Czeladka poszła za przykładem dziewczyny.

W chwili, gdy Paweł zapukał, Frąckowa w podróżnym swym przyborze otwierać miała drzwi chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł gospodarz. Gotowiście już matko?

— Ha, jak mnie widzicie kumie: komu w drogę, temu i czas.

I wyruszyli oboje. Paweł podpierał się sękatym kijem, który więcéj był mu potrzebny do obrony od psów, niżeli do wspierania krzepkich jeszcze kroków, pomimo wieku i długoletniéj pracy. Frąckowa postępowała obok niego żwawo i ochoczo. Smutne myśli, które niedawno dręczyły podeszłą niewiastę, ustąpiły znać zupełnie, a oko jéj jaśniało nawet niezwykłą ufnością i nadzieją.

Słońce nie weszło jeszcze, tylko rumiana zorza roztaczała się po wschodnio-północnéj stronie nieba. Drobne pierzaste chmurki rozpierzchły się na wszystkie strony pod świeżym powiewem rannego wietrzyka; obszerne pola i rozrzucone w oddali laski, ginęły w sinawéj barwie; grusze dzikie rosnące na mie-

dzy, malowniczo rozkładały swe ciemne konary na złoto-różowém tle nieba; ptastwo świegotało na najrozliczniejsze tony, zwiastując dzień nowy, a powietrze było ciepłe i łagodne, jak zazwyczaj w czerwcu.

Już minęli znany nam dobrze lasek dębowy, gdy słońce w kształcie ognistéj kuli okazało się świetne i jasne: naprzód częściowo, aż w końcu zabłysło w całym swym majestacie, i rozradowało ich oczy i serca jakąś tajemniczą otuchą. Milczeli oboje, tylko po lekkiém poruszeniu ust znać że się modlili. Nareszcie Frąckowa cienkim, drżącym nieco głosem, zanuciła pobożny psalm: „Kto się w opiekę". Paweł wtórzył jéj równie drżącym basem, a pieśń ich rozlegała się po obszerném polu. Oddalony odgłos dzwonu zadolskiego kościołka, wzywający w téj chwili pobożnych mieszkańców wioski na modlitwę, łączył się wdzięczną harmonią z ich uroczystym śpiewem.

Umilkli nareszcie zakończywszy psalm, umilkł i dzwonek kościelny.

— Słuchajcie-no ojcze, rzekła Frąckowa, mnie się jakoś widzi, że Matka Najswiętsza przyjmie naszą ofiarę, i uprosi nam u swego Najświętszego Syna łaskę i błogosławieństwo.

— Bogać nie: a kiedyż ta nasza Orędowniczka

nie usłuchała głosu lichego stworzenia? odparł Paweł z wiarą.

— No, jużcić czasem i modlitwa nic nie nada, kiej tam już inaczéj zapisane w niebie, rzekła Frąckowa potrząsając głową.

— A pamiętacie wy, jak my się to modlili za zdrowie nieboszczki pani, a jednak inaczéj znać chciały święte wyroki.

— Moja matko, niezbadane sądy boskie, odparł Paweł, trzebać uchylić przed niemi głowę i nie tracić ufności.

— Zapewne, rzekła Frąckowa, a potém błogoć tam już zapewne duszy nieboszczki w niebie; a choć prośby nasze nie wyjednały jéj życia, sprawiły jednak to, że sierota nie zmarnowała się pomiędzy ludźmi. Toć téż i teraz nie traćmy otuchy, że wszystko dobrze będzie.

— Kto z Bogiem, to i Bóg z nim, mówili zawsze ojcowie nasi.

— Oj! święte wasze słowa, gospodarzu.

Tak gawędząc, zaszli dobrą milę. Słońce przygrzewać zaczęło, więc usiedli oboje pod krzyżem wznoszącym się po-nad drogą. Paweł dobył chleba i sera z podróżnéj torby, Frąckowa chciała równie

dostać posiłku z płachty, ale stary gospodarz podzielił się z nią własnym, nadto poczęstował ją wódką, którą w flaszce miał na dnie torby.

Pokrzepiwszy zwątlone nieco siły, powstali, i żwawo ruszyli w dalszą drogę. Już błonia łęczyckie szeroko rozściełały się przed ich okiem, a w oddaleniu, tuż pod murami Łęczycy widnemi zdala, rysowały się na niebie piramidalne topole, od których wioska, będąca celem ich podróży, otrzymała zapewne miano.

Dochodzili właśnie, gdy dzwonek kościelny odezwał się uroczyście z wieżyczki topolskiego kościołka. Paweł opuścił towarzyszkę, która dobywszy z zanadrza zawiązane w szmatku kilka dziesiątek, wsunęła mu w rękę, aby wraz z swoją ofiarą dał na mszę księdzu proboszczowi. Podeszła niewiasta usiadła tymczasem w cieniu pod kasztanem rosnącym w rogu cmentarza, dobyła z płachty trzewiki i pończochy i obuła się, chcąc przyzwoicie wystąpić przed oblicze cudownéj Matki Zbawiciela. Niebawem powrócił i Paweł z oznajmieniem, że msza święta wychodzi natychmiast. Weszli oboje do znanego nam kościołka, modlili się z wiarą i ufnością, a po skończonéj świętéj ofierze, odeszli w pokorze, pełni dziwnéj jakiéjś otuchy.

Udali się oboje do gospody. Frąckowa odwdzięczając Pawłowi za otrzymany od niego w drodze posiłek, rozłamała z nim chleb własny, podała mu pół krajanki świeżego i białego sera, i za pozostałą dziesiątkę, kazała dać szynkarce parę półkwaterków anyżówki.

Paweł tymczasem położył się na ławce, aby dać wypoczynek strudzonym członkom. Frąckowa usiadła na nizkim zydelku, i zmiatając z kolan okruchy chleba i sera, posypywała je kurczętom, biegającym swobodnie po gościnnéj izbie.

W téj chwili, młody i raźny parobek, z rumianą twarzą, błękitném okiem i spadającemi na ramiona włosami, przystrzyżonemi tylko po-nad czołem, wszedł ochoczo w drzwi gospody.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł zdejmując z głowy kapelusz, opasany krasną życzką.

— Na wieki wieków amen; odparł Paweł, a za nim Frąckowa.

— A zkądże to Pan Bóg prowadzi? bo widzę, żeście podróżni, zagadnął przybyły.

— Ha, na święte miejsce, odparła niewiasta; przyszliśmy dopełnić ofiary, a teraz wej oto, wybieramy się rychlikiem do domu.

— A któręd yż wam droga?

— Prościuchno gościńcem ku Kutnu.

— Toć was i podwiozę trochę, rzekł uczynny parobek, bo widzę, żeśta letni oboje. Jużci wasze nogi nie rok, ani dwa, stąpają po świętéj ziemi, toć wam się i należy trochę spoczynku.

— Bóg zapłać, odparli razem oboje. Paweł powstał i kupił kwaterkę wódki, chcąc się według możności wypłacić za doznaną przysługę.

Przy trunku zawiązała się bliższa znajomość pomiędzy podróżnemi.

— A wy, gdzież to jedziecie? zapytała Frąckowa.

— Jadę z Łęczycy, kędy odwoziłem doktora do Załęcina; ogniste ztąd trzy mile, i to z ogonem. Do Witoni jedna wypada nam droga, tam dopiero zawrócę na prawo.

— A nie będziecież mieli biedy bracie za to, że zabieracie po drodze obcych ludzi? Wasze koniska tęgo się pewno zmachały.

— Nic im nie będzie, odparł parobek. Mój pan dobry i sprawiedliwy, choćby się o tém i dowiedział, toby nie powiedział za to marnego słowa. A potém patrzy wam z oczu, żeście stateczni i poczciwi ludzie, a do tego, jak mówicie sami, wędrujecie ze święte-

go miejsca; toć warto się chociaż obetrzéć o was człowiekowi: możeć za to na duszę spłynie choć kropelka niebieskiéj rosy. Napasłem téż kasztany golutkim owsem w Łęczycy, i nie byłbym tu nawet wstępował, jeno że mi *łysa* zgubiła wej podkowę.

To mówiąc, młody parobek zawinął się żwawo, i zapytał szynkarkę o kowala.

— Siedzić ot tu za stołem, odparła, wskazując na człowieka niskiego, chudego, z posmoloną sadzami twarzą, z rzemiennym fartuchem przed pasem, i blademi od trunku i znużenia oczami.

— Chodźcie-no, chodźcie bracie, jeno żwawo, rzekł parobek, przybijcie kobyłce podkowę.

Kowal ocknął się jakby ze snu, przeciągnął się ziewnął kilkakrotnie, i rad nie rad powstał z za stolu i poszedł ku drzwiom, nie trzymając się zupełnie prostéj linii.

— Mój Boże! rzekł Paweł lekko potrząsając głową, jak to trunek zrobi z człowieka nie boskie stworzenie!

— Ej, nie gadalibyście gospodarzu, rzekła młoda szynkarka wyszczerzając białe zęby, żeby nikt nie pił, w coby się obróciły gospody? Przecież i kieliszek jeden i drugi nie zawadzi człowiekowi po pracy.

— Tak, po pracy, odparł Paweł, toć i ja nie od tego; aleć od samego rana spić się jak bydlę, toć i grzech i sromota. Oj! nasza pani nie trzymałaby we wsi takiego pana majstra.

— Nie chciałabym ja tam szynkować u waszéj pani, rzekła szynkarka, podnosząc z pogardą ramiona w górę.

— Oj zapewne, że karczma nie tęgi u nas przynosi dochód, rzekła Frąckowa, aleć za to wszystkim u nas jak w niebie.

— Wolęć ja nasze piekło, niżeli wasze niebo, rzekła szynkarka.

— Siedźcie sobie w błocie, kiedy wam dobrze, rzekł Paweł w miejsce pożegnania, łącząc do swego przysłowia niepolityczną nazwę zwierzęcia, któréj powtórzyć nam się nie godzi.

I stary gospodarz nasunąwszy kapelusz na oczy, wyszedł z izby, opędzając się kijem czarnemu psu, którego karczmarka niewyraźnie podszczuła, wskazując na niegrzecznego gościa, który się ośmielił powiedzieć w oczy prawdę. Frąckowa wyszła za Pawłem.

Młody parobek Stacho, bo tak mu było na imię, okuł tymczasem wraz z kowalem kobyłkę, i niewiele

myśląc, wszyscy troje wyruszyli w drogę. Bryczka turkotała po kamieniach, a konie parskając, biegły spiesznie, czując, że idą ku domowi.

— To wy służycie w Załęcinie? zagadnął Paweł Stacha.

— A tak-ci, gospodarzu.

— A dobregoć aby macie pana?

— Oj! co dobrego, to dobrego, rzekł Stacho, bodajby się tacy na kamieniach rodzili. A i pani, nie przymierzając, istnie jakby jaka święta: dobra, miłosierna, nikogo nie pokrzywdzi, każdemuby nieba uchylić rada. Alleć ich oto ciężko Pan Jezus nawiedził.

— A toć czém? pewnie chorobą, kiedy oto odwoziliście doktora.

— A jużcić nie czém, odparł Stacho. Nasza panienka zaniemogła, dwie niedziele temu; a śliczna to panienka, istny aniołek.

— A czy jednę tylko panienkę mają wasi państwo?

— Bogać jednę. Oj! żeby jednę, toby pewno była zdrowa jak rybka, boćby ją pan Jatanazy nie porzucił dla innéj.

— Jaki pan Jatanazy? zapytała żywo Frąckowa, spoglądając ze znaczeniem na Pawła.

— A dyć jeden jest pono w okolicy. A ten ci pan Jatanazy z Woli, jeśli go znacie matko.

— Widziałam ci go w Kutnie na Podniesienie Krzyża świętego. Coś mu nie tęgo z oczu patrzy: ja zaraz mówiłam, że to nic dobrego.

— Oj! zgadliście matko, rzekł Stacho, choć ludzie mówią, że to pan mądry i dobry, ale ja wam powiadam, że to chytry lis.

— To on opuścił waszą panienkę? zapytał Paweł ciekawie.

— A tak ci gospodarzu, opuścił niebożątko. A kochała go ogniście biedaczka, aż się jéj krew puściła ustami, jak się dowiedziała, że pan Jatanazy postanowił ożenić się z inną.

— A jegomość, cóż na to? zapytała Frąckowa, jakże on tak pozwolił wyrządzić krzywdę swemu dziecku?

— Oj! jegomość nie zaspałby pewno gruszek w popiele, rzekł Stacho, aleć on podobno o niczém nie wié.

— Jakto, nie wié co się w domu dzieje?

— Bo trzeba wam wiedziéć, żę nasz pan jeździł niedawno gdzieś daleko, aż pono na Ukrainę do krewnych; tymczasem pan Jatanazy zaczął często gęsto

zaglądać do Załęcina, i panience jakoś ogniście przypadł do serduszka; a i pani nasza nie była od tego, bo ludzie mówili, że to człowiek dobry, a do tego nie ubogi. Aż tu jakby uciął: pan Jatanazy jeszcze przed powrotem jegomości przestał bywać w Załęcinie; powiadają, że mu matka inne naraiła ożenienie. Biedne nasze pannisko wychudło, wymizerniało, jakby je złe urzekło, albo wiédźma nawiedziła. Jak jegomość powrócił z drogi, aż zapłakał sobie z żalu i ręce załamał, spojrzawszy na niebogę. Ale mi mówiła moja siostra Baśka, co służy za dziewczynę we dworze, że pani nasza ani pisnęła jegomości, z jakiéj przyczyny panienka tak choruje: nie chciała go znać martwić nieboga, a nadewszystko bała się jakiéj *hawantury*. Baśka powiadała mi, tak sama panienka prosiła i *molestowała*, żeby się ojciec o niczém nie dowiedział.

— Nic to już nie pomoże, mówiło niebożątko do matki; choćby go ojciec zmusił, na cóżby się to zdało, kiedyć już kocha inną!

— Oj! zapewne, zapewne, odparła Frąckowa kiwając głową. Mój mocny Boże! jak to ci panowie sumienia nie mają, choć się uczą Bóg wié w niejakich

tam szkołach; w naszym prostym stanie, niktby sobie tak nie poważył postąpić.

— Oj! że nie, to nie, odparł Stacho.

— Toć też im i Pan Bóg nie błogosławi, rzekł Paweł, który dotąd milczał uporczywie, jakby się namyslał, co tu czynić wypada.

— Oj! krzywda ludzka zawszeć to jakoś sprowadzi boską karę. Wspomnicie moje słowo, że i panu Jatanazemu nie wyjdzie to na dobre.

— Jak Bóg na niebie, rzekł Stacho. Radbym jeno wiedzieć, kogo mu to tam stara jéjmość upatrzyła, pewnoć jaką bogatą; ale co lepszéj i śliczniejszéj jak nasza panienka, to pono nie ma na całym świecie.

Ani Paweł, ani Frąckowa nie odrzekli słowa, spojrzeli tylko po sobie, podczas gdy Stacho żwawo zacinał kasztany.

Po chwili dojechali wreszcie do krzyża stojącego przy rozstajnéj drodze, od którego wązka drożyna skręcała się na prawo. Stacho zatrzymał konie, Frąckowa i Paweł zsiedli zwolna z bryczki.

— Bóg ci zapłać, bracie, rzekł gospodarz, żeście poratowali starych.

— Bóg wam zapłać, powtórzyła Frąckowa.

— Szczęść wam Boże! odparł parobek uchylając kapelusza, a poproście tam Boga o zdrowie naszéj panienki. To mówiąc, skierował lejce, zawrócił na prawo, bryczka potoczyła się szybko, a tuman kurzu okrył ją, jakby obłokiem.

— Cóż wy na to, gospodarzu? zapytała Frąckowa, postępując zwolna obok Pawła.

— Ha, i cóż? odparł Paweł kiwając głową, dziękować Bogu, że Opatrzność Jego święta tak wszystko mądrze urządziła.

— Ej, nie gadalibyście kumie; a toć tu chyba prędzéj złe się wmieszało i bruździ.

— Złe, złe, pomrukiwał gospodarz; co wam się u licha dzieje matko? a toć rzecz oczywista, że Matka Boska Topolska obróciła wszystko na dobre; żebyśmy nie byli poszli do Topoli, nie spotkalibyśmy Stacha, a nasza pani nieświadoma niczego, byłaby poszła za tego niecnotę.

— A dyć co prawda, to prawda ojcze, ale jak tu sobie w tém poradzić? Już ja tam, choćbyście mi obiecywali złote góry, nie pisnę do pani ani marnego słowa.

— Porzucilibyście te babskie ceregiele; wielkie

mi rzeczy powiedziéć, kiedyć tu idzie o pokój całego życia. Oj baba z was, baba!

— Jużci nie co innego, odparła Frąckowa, toć sobie gadajcie sami, kiedy z was taki zuch.

— Ej! wam toby jakoś było składniéj, rzekł Paweł dobywając brzozową tabakierkę; przecieć to rzecz wiadoma, że babski język lepiéj jakoś miele jak chłopski.

— Zaczynacie już widzę ze mną, odparła urażona niewiasta.

— No, nie gniewajcie się matko; ale oto radźmy co tu począć. Widzicie ot tam nasz lasek za górką? Za dobrą godzinę będziemy w Zadolu.

— A pamiętacież kumie, co wam się śniło onegdajszéj nocy? Toć to było wyraźnie boskie ostrzeżenie.

— Bogać miałem zapomniéć. Jeszcze mnie ciarki przechodzą, jak sobie wspomnę tę paskudną godzinę.

— A śniło wam się przecie, żeście ją sami zabili.

— To i cóż z tego?

— To z tego, że musicie sami wszystko powiedziéć; ja się tymczasem przyczaję zdaleka: tak istnie jak było i we śnie.

— Niechże i tak będzie, kiedyć taka wola Pana Boga, odparł Paweł skłaniając głowę.

— Ale, bo to widzicie kumie, ja się ogniście boję, żeby nasza pani nie myślała, że my sobie ot tak zmyślili całą rzecz, żeby się pozbyć nowego pana.

Paweł zamyślił się nieco. Twarz jego oblekła się wyraźnym smutkiem, ale myśl poczciwa przemogła w sercu starego.

— No, i cóż? rzekł, wolno pani myśléć co jéj się podoba; wolno jéj słuchać albo i nie; ale my dlatego powinniśmy zrobić, co nam przykazuje Bóg i sumienie.

— Święte wasze słowa, ojcze, odparła Frąckowa, i szli oboje w milczeniu, układając sobie w myśli jak tu postąpić. Słońce paliło gorącym promieniem, istnie jakby żywy ogień leciał z nieba; spoczywali co chwila, ocierając z potu i kurzu uznojone czoła.

Doszli nareszcie do znanéj nam dobrze dębiny, i usiedli na murawie pod cieniem rozłożystéj gruszy.

— Poczekajcieno kumie, rzekła Frąckowa, pobiegnę do chaty gajowego i przyniosę wam garnuszek wody, boć was pewno pali pragnienie; mnie już aż język stanął kołem.

— Bóg wam zapłać matko; spieszcie się jeno jak możecie, bobym już rad jednéj chwili stanąć doma.

Frąckowa pobiegła spiesznie. Paweł położył się na murawie, spojrzał w błękitne niebo, po którém przesuwały się jasne, przejrzyste obłoczki. Dzięki ci Panie! pomyślał w głębi ducha, a dyć to wszystko sprawa Twojéj Opatrzności!

W kilka minut nadbiegła podeszła niewiasta, niosąc w ręku, w miejsce wody garnuszek mleka, którego jéj chętnie użyczyła poczciwa żona gajowego.

— Kumie, kumie, wiécież wy co? rzekła pomieszana: nasza pani jest tam w dębinie. Widziałam zdaleka między drzewami, jak mi przemignęła biała jéj sukienka.

— To chyba kto inny; wiécie przecież, że pani od śmierci nieboszczyka pana zawsze chodzi szaro; a potém taki upał, gdzieby jéj się tam chciało wychodzić z domu.

— A ja wam powiadam, żem ją widziała, jak słońce na niebie; przecieżem jeszcze dzięki Bogu, nie ślepa.

— Ale wam się mogło przywidzieć.

— Oj! że nie, to nie, chodźcie jeno sami.

Paweł powstał, wypił mleko i skierował kroki w stronę, którą mu wskazała Frąckowa.

Na małym wzgórku z zielonéj murawy, w cieniu

rozłożystych drzew, siedziała, a raczéj napół leżała Wanda. Twarz jéj nosiła ślad głębokiego zamyślenia, na czole znać było niepokój i jakby lekką troskę; na licu jednak kwitł żywy rumieniec, a zasłona na piersi częstém poruszeniem, zdradzała przyspieszone nad miarę bicie serca.

Paweł i Frąckowa podeszli zcicha, a poznawszy dokładnie swoję panią, spojrzeli znacząco po sobie.

Wanda tymczasem sądząc się samą bez świadka, powstała, upadła na kolana, pochyliła się kornie ku ziemi, ręce wzniosła ku niebu, jakby wzywając ztamtąd rady i pomocy.

— Biedne, biedne panisko, rzekła zcicha Frąckowa, modli się biedactwo, żeby ją Pan Jezus oświecił. Nie wié nieboga co ją czeka. To mówiąc, otarła fartuchem łzę, dobywającą się mimowoli z oka.

— A patrzcie-no Pawle, jaka śliczna, dodała po chwili, istnie jakby jaka święta.

— No, w imię Ojca, i Syna i Ducha świętego, rzekł Paweł stanowczo; trzeba już raz skończyć rzecz, kiedyć taka wola Pana Boga.

— Niech wam Matka Najświętsza Topolska dopomoże, rzekła Frąckowa, kreśląc w powietrzu znak krzyża świętego.

Paweł postąpił kilka kroków; suche liście i gałązki zachrzęściały mu pod nogą. Wanda posłyszała szelest, obejrzała się nagle, i w oka mgnieniu powstała przelękniona.

— A, to wy Pawle, rzekła łagodnie, poznając zbliżającego się starego gospodarza.

— A tak, to ja, proszę wielmożnéj pani, odparł stary, obejmując z uczuciem nogi Wandy. Pójdźcieno tu matko, rzekł, skinąwszy na Frąckową, która stała opodal przyczajona za drzewem.

— I wy tutaj także? zapytała młoda kobieta. Zkądże to was Pan Bóg prowadzi? bo widzę, żeście zmęczeni, dodała, obejmując głowę pochylonéj do jéj stóp niewiasty.

— Idziemy sobie ze świętego miejsca, gdzieśmy się ofiarowali, odparł Paweł.

— Z Topoli zapewne, rzekła Wanda. O! pamiętam, pamiętam, jak małą będąc, chodziłam tam razem z wami prosić Matki Najświętszéj o zdrowie mojéj matki; ale inaczéj wówczas zrządziły wyroki Opatrzności.

— Oj! ale co teraz, toć nas wej opiekunka nasza wysłuchała, rzekł stary nieśmiało.

— Jak to, tak prędko? a zkądże wiécie, że prośby wasze otrzymały pożądany skutek?

— Długoćby o tém mówić, wielmożna pani, rzekł Paweł.

— Opowiédzcież mi wszystko, moi kochani; ale widzę, żeście zmęczeni, odpocznijcie sobie na murawie.

To mówiąc, usiadła sama. Paweł i Frąckowa na powtórne jéj naleganie spoczęli zarówno; jednak mimo szczerego postanowienia, stary gospodarz milczał uporczywie, sam nie wiedząc, od czegoby zacząć.

— No, nie lękajcie się niczego, znacie mnie przecie dobrze, a jak sądzę, i kochacie cokolwiek, rzekła Wanda, a miły uśmiech rozjaśnił łagodne jéj lica.

— Oj! że kochamy, to kochamy, odparła Frąckowa i rozpłakała się głośno.

— Co wam jest? zapytała z wzrastającém zajęciem Wanda.

Frąckowa w miejscu odpowiedzi, zasłoniła oczy fartuchem.

— Otóż ja powiém wszystko wielmożnéj pani, rzekł Paweł, boć trzeba raz zrzucić z serca ten kamień, co je tak ogniście gniecie. Jeno niech wielmo-

żna pani będzie cierpliwa, bo to rzecz długa, a człek niebardzo wej nauczny obracać językiem.

— Mówcie, mówcie, jak umiecie, ojcze.

— Owóż, proszę wielmożnéj pani, onegdajszéj nocy śniło mi się, że tu, jakby w tém samém miejscu, zbierałem razem z Frąckową suche gałęzie na opał; wtém zobaczyłem wielmożną panią, *takusieńko* ubraną jak i dziś, w białéj, kieby śnieg sukience, jeno, że koło wielmożnéj pani wiła się straszliwa gadzina.

Wanda zbladła, jakby złowieszczém zatrwożona przeczuciem.

— Cóżeście z nią zrobili? zapytała drżącym głosem.

— Zabiłem ją, proszę wielmożnéj pani.

— Dobry, poczciwy Pawle, to wy i we śnie myślicie o mnie i czuwacie nad mojém bezpieczeństwem.

— Alboż to i wielmożna pani zawsze o nas nie myśli? odparł stary.

— No, i cóż daléj? zapytała ciekawie.

— Ha! jakeśmy jęli radzić z kumą, takeśmy i uradzili, żeby iść do Topoli i błagać Najświętszą Panienkę, żeby wzięła wielmożną panią pod swoję świętą obronę.

— Dziękuję wam, dziękuję z serca, odparła roz-

rzewniona Wanda. No, aleście mówili, że Matka Najświętsza wysłuchała waszéj prośby.

— Otóż to sęk, jak to tu powiedziéć, pomrukiwał Paweł, kumo, gadajcie, już ja zacząłem.

— Jakeście zaczęli, tak i kończcie, odparła Frąckowa.

— Mówcie, mówcie, nie lękajcie się niczego, rzekła Wanda.

— No, toć i powiém krótko a węzłowato; owóż koniec końcem, rzekł wreszcie nieśmiało, obejmując nogi Wandy, dowiedzieliśmy się przypadkiem w drodze, że ten pan Jatanazy, co to tu bywa, to wielkie ladaco, z przeproszeniem wielmożnéj pani: zbałamucił panienkę z Załęcina, co teraz niebożątko może i śmiercią przypieczętuje wszystko.

Wanda zbladła jak śmierć; słowa Pawła jakby gromem raziły serce młodéj kobiety. Przez chwilę nie była zdolną wymówić słowa. Frąckowa tymczasem siedziała nieruchomie, owinąwszy twarz do połowy fartuchem.

Niedługo jednak trwało pomieszanie Wandy. Bóg dodał jéj siły, jak dodaje każdemu w stanowczéj chwili, ktokolwiek błaga o nią w wierze i szczeréj pro-

stocie ducha. Młoda kobieta wybadała dokładnie Pawła i Frąckowę, któréj nakoniec rozwiązały się usta.

— Dziękuję wam, rzekła nakoniec podając obojgu po kolei drżącą rękę; sprawdził się sen wasz, poczciwy Pawle, zabiliście gadzinę.

Paweł ściskał w milczeniu nogi swéj dobréj pani: Frąckowa płakała rzewnie.

— No, pójdźmy już kumie, rzekła stara niewiasta, ciągnąc Pawła za połę od siermięgi, jużeśmy powiedzieli, cośmy mieli powiedzieć; nie przeszkadzajmy dłużéj naszéj pani.

— Moje dzieci, wy mnie nigdy nie przeszkadzacie, odparła Wanda, mnie z wami najmiléj podobno, bo i gdzież szukać takich serc prostych, szczerych a kochających, jak wasze?

— Ba! któżby téż nie kochał takiéj pani? odparła Frackowa. Mybyśmy i krwi naszéj nie pożałowali w potrzebie.

— Oj! zapewne, dodał Paweł.

— Dziękuję wam z serca, dziękuję, rzekła Wanda ocierając z łez swe błękitne oczy. Ale nie odstępujcie mnie, za chwilę pójdę i ja z wami.

To mówiąc, zbierała rozrzucone po murawie rę-

kawiczki i zbliżyła się do pochylonéj brzozy, chcąc odwiązać kapelusz słomkowy, zawieszony na jéj gałęzi.

Wieśniacy usunęli się nieco na bok. Paweł oparł się o spróchniały pniak dębu, Frąckowa zbierała koźlarki rosnące obficie dokoła.

Oddalony turkot dał się słyszéć na drodze. Wanda zadrżała, a lica jéj bardziéj jeszcze zbladły, jak przed chwilą.

Niebawem w pośród gęstwiny zaszeleściało coś zbliska. Piękna postać pana Atanazego ukazała się w pół cieniu.

— Znajduję cię przecie, pani! zawołał z uczuciem spostrzegając Wandę. O! dzięki ci, dzięki za tę białą sukienkę, która cię istotnie podobną czyni do anioła. Dzięki ci Wando! dodał, biorąc rękę młodéj kobiety; w téj jasnéj barwie odgaduję wróżbę mego szczęścia.

Ręka Wandy zimna była i drżąca; milczała, słowa bowiem zamarły w jéj piersi, pod wpływem zbytniego wzruszenia.

— Co ci jest pani?.... drżysz cała...., takaś blada i zmieniona? zapytał Atanazy niespokojnie.

— Nic, to nic, odparła zcicha niewyraźnie.

— Pojmuję pomieszanie twoje, pani: chwila to

ważna i uroczysta, kiedy mamy stanowić o losie całego życia. Ale nie lękaj się przyszłości Wando! ja cię uszczęśliwić potrafię, przysięgam ci to u nóg twoich, dodał padając na kolana.

— Mylisz się pan, odparła chłodno i stanowczo, lubo słabym głosem, jeżeli czynisz sobie nadzieję, któréj ja żadném nie potwierdziłam słowem.

— Ależ twój ubiór, pani, czyliż nie jest dla mnie zapowiednią najmilszych nadziei? Wszakżeś dotąd nie porzuciła żałobnéj szaty, mimo próśb moich i nalegań.

— Na słabéj podstawie budujesz pan przyszłość, odparła; przyrzekłam panu, że dziś wyznam mu ostateczne postanowienie moje; otoż dotrzymując słowa, powiadam panu, że nasz związek nie nastąpi nigdy.

— Nigdy? być-że to może? zawołał Atanazy.

— Nigdy! odparła Wanda.

— A toż dlaczego? powiédz mi pani, zaklinam!

— Dlatego: naprzód, że nie chcę szczęścia okupionego łzą i cierpieniem, a może i życiem drugich; powtóre, że nie mogę łączyć się z człowiekiem nie zasługującym na moję cześć i szacunek.

— Nie rozumiem cię pani; wytłumacz się jaśniéj, na Boga!

— Jaśniejsze tłumaczenie, byłoby dla mnie zbyt bolesném i zupełnie bezużyteczném dla nas obojga; wiész pan dobrze o czém mówię, a jeśli nie wiész, uderz się w piersi, a sumienie własne dopowié ci reszty.

— Pani! zawołał blady od wstydu i upokorzenia Atanazy, domyślam się, o co rzecz idzie: mówiono ci zapewne, że niegdyś, zanim cię poznałem, bywałem w Załęcinie, że młoda Marya zajęła mnie chwilowo. Nie myśl jednak pani, zaklinam cię, żebym ją miał zdradzić; nie czyniłem jéj bowiem żadnego stanowczego przyrzeczenia. A potém, dodał z zapałem, gdybym ją nawet i kochał, mógłżem być panem siebie i nie uledz tylu wdziękom, takiéj niewieściéj wyższości, jaką znalazłem w tobie? O! nie oskarżaj mnie pani, twoja w tém wina jedynie.

— A gdzieżby była rękojmia mego szczęścia, méj przyszłości? odparła Wanda z godnością, gdybym zaufała człowiekowi, który nie umié być panem swego serca?

— W miłości mojéj, Wando!

— W miłości, którąby nowe wrażenie zdmuchnęło jak bańkę na wodzie. O! nie, panie Atanazy, dla mnie taka miłość nie wystarcza: inaczéj ja pojmuję święte uczucie, na którém śmiało kobieta opiera swą

przyszłość; a jeżeli takie uczucie nie istnieje dziś na ziemi, mam dosyć siły, aby przed innóm zamknąć serce nazawsze

— Pani! zaklinam cię, miéj litość nademną: pragniesz chyba mojéj śmierci. Wando! jeżeli postanowienie twoje niezmienne, powiédz, powiédz, a zakończę dobrowolnie życie, któreś takim zaprawiła bólem i goryczą.

— Taka miłość jak pana, nie zaprowadzi do grobu; spokojną jestem zupełnie, odparła Wanda zimno. Żądasz pan stanowczéj odpowiedzi, dałam ją już przed chwilą, i raz jeszcze powtarzam, że nigdy nie zwykłam zmieniać raz wyrzeczonego słowa.

— A więc żegnam panią! zawołał z stłumionym gniewem Atanazy, i nasunąwszy na głowę kapelusz, biegł jak szalony przez gęstwinę. Wkrótce potém bryczka zaturkotała na drodze.

— Bogu Najświętszemu dzięki, rzekł Paweł do Frąckowéj, która w chwili przybycia Atanazego zbliżyła się do starego gospodarza i stanęła obok niego, wspierając się o drzewo.

— Najświętsza Panno Topolska! Twojać to tylko sprawa, odparła Frąckowa wznosząc oczy ku niebu.

Wanda pozostała jeszcze chwilkę nieruchoma. Wtém dzwonek kościelny, jak zazwyczaj w sobotę, odezwał się wzywając pobożnych do modlitwy. Młoda kobieta padła z pokorą na kolana, jasne oko wzniosła z ufnością w niebo, po którego błękicie przepływały białe obłoki.

— Przebaczcie mi, przebaczcie duchy opiekuńcze, które czuwacie nademną; przebaczcie, żem chciała zdala od was znaleść szczęście na ziemi, podnieście ducha mego, ukażcie mi ów świat tajemniczy, niezależny od walk i burzy ziemskich, gdzie niéma łez, boleści i zawodu!

I umilkła, a dziwna pociecha wstąpiła w skołatane jéj serce. Uczuła nieznaną dotąd siłę, a na bladém jéj czole, spoczął wyraz prawdziwie natchniony.

Powstała pokrzepiona, zwróciła się ku drodze wiodącéj do wioski. Przechodząc, spostrzegła Pawła i Frąckowę stojących pod wypruchniałym dębem; podała im rękę, którą oboje ucałowali z głębokiém uczuciem.

Słońce tymczasem ognistą barwą zachodu zrumieniło pół nieba; ostatnie jego promienie drżały na szczycie wyniosłych konarów dębiny; białe brzozy chyląc ku ziemi płaczące gałęzie, drżały za powie-

wem wieczornego chłodu. Wanda przesunęła wśród nich zwolna, wątła i chwiejąca, a biała jéj szata długa i powiewna, ciemne jéj włosy spływające w nieładzie na ramiona, nadawały jéj z niemi dziwne podobieństwo.

Mrok szary zapadał już coraz bardziéj na niebie, gdy młoda kobieta wyszła z dębiny, i zwolna udała się ku wiosce. Paweł i Frąckowa postępowali za nią w milczeniu. Dzwonek kościelny znowu odezwał się na Anioł Pański. Wanda objęła okiem cudownie piękne niebo letniéj nocy, na którém, wraz z rozścielającą się ciemnością, coraz to nowe pojawiały się gwiazdy, jakby je niewidzialna zapalała ręka. Nakoniec księżyc w pełni, jakby ognista kula ukazał się na niebie, naprzód częściowo, następnie w pełnym blasku; mała blaszana kopułka zajaśniała świetnie od srebrnych jego promieni, a białe krzyże cmentarza ukazały się w oddali na pół ukryte w cieniu świerków i jodeł. Wanda powiodła po nich tęskném i wilgotném okiem, westchnęła, zatrzymała się chwilę, skinęła nakoniec głową, pożegnała milcząc Pawła i Frąckową, i weszła w bramę podwórka.

Sędzina siedząc w pokoju przy stoliku układała karty i drżącemi usty powtarzała: tuz, król, kralka,

wyżnik, niżnik, szóstka. Wanda zbliżyła się z poszanowaniem do babki, i pocałowała jéj suchą i pomarszczoną rękę.

— A cóż to, sama jesteś moje dziecię? zapytała niespokojnie.

— Sama, zawsze odtąd sama; odparła młoda kobieta; ale co mówię, nie sama, bo ty jesteś ze mną, droga, ukochana babciu!

— Co tam ja, moje dziecko, wiek mój już niedługi; dziś, jutro, przyjdzie połączyć się z temi, co na mnie czekają. Ale powiédz mi, gdzież Atanazy? Był tu niedawno, powiedziałam mu, żeś w dębinie, i pojechał do ciebie; myślałam, żeście razem powrócili.

— Widziałam go babciu, i pożegnałam nazawsze.

— Jakto! czy to być może? Inne przecież miałaś zamiary.

— Tak, alem je zmieniła, i słusznie; przebacz babuniu, że ci dziś nic więcéj powiedziéć nie mogę: zbyt wieleby mnie to kosztowało. Wierz mi tylko, że on nie był mnie godzien.

— Oj! poetka, poetka, odparła babka wstrząsając głową, istna córka Wacława.....

— I Joanny, odparła Wanda z lekkiém uczuciem

dumy, — a wychowanka Stanisława. To mówiąc, przycisnęła do ust rękę babki.

*

* *

Ktoby chciał wiedzieć o dalszym losie Wandy, powiémy mu tylko, że pomimo wielokrotnych nalegań podeszłéj babki, wcale za mąż iść nie chciała. Dopóki żyła sędzina, tkliwe około niéj starania, oraz szczegółowe zajęcie się losem włościan, nauka i praca zapełniały jéj życie; kiedy zaś w kilka lat potém, na cichym cmentarzu w Zadolu, przybyła jedna mogiła, a na ziemi ubyło jedno serce, które ją tkliwie i serdecznie, lubo po swojemu kochało. Wanda pragnąc usilnie spożytkować wyższe dary, jakiemi ją Opatrzność hojnie uposażyła, zgromadziła dokoła siebie kilka małych dziewczynek, córek najbliższych swych krewnych, i wychowywała je na wzorowe matki i żony, słowem, na mężne niewiasty, według ewangelii. A kiedy otoczona nadto wiejskich dziatek gromadką, miała im mówić o Bogu i o przeznaczeniu kobiety, wybierała ciche ustronie wśród zielonéj dąbrowy, tam oko jéj błękitne, żywszym niż zwykle płonęło ogniem, tam usta jéj pod wpływem dziwnego natchnienia wyma-

wiały słowa wiary i miłości, tam dusza jéj silna i niezwalczona. wznosiła się do nieba, na skrzydłach nadziemskiéj nadziei!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

